MAGAZYN *razem z dodatkami*

Maria Deskur: Bez czytania możemy się cywilizacyjnie cofnąć

● Pierwsza Komunia – przeżycie czy rewia mody ● Rozmowa z Ireneuszem Dudkiem

PLUS TELEMAGAZYN **z programem TV oraz omówieniami**

GAZETA LUBUSKA

Piątek, 8.05.2026 | **www.gazetalubuska.pl** | Nr 105 (22.706) Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Polowania na ptaki w otulinie parku „Ujście Warty" będą zakazane **str. 12-13**

Teraz już będą bezpieczne

Wiemy, kim jest tajemnicza kobieta z filmu odnalezionego w naszym sejfie **str. 8-9**

Gambit Niny. 10-latka jest wicemistrzynią świata w szachach **str. 10**

Nr ISSN 0137-9518 Nr indeksu 350-222

BT/FOT. GETTY IMAGES

REKLAMA 0011513320

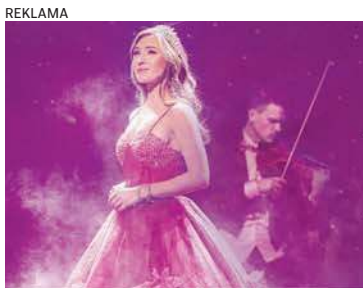

ORKIESTRA KSIĘŻNICZEK

NAJWIĘKSZE PRZEBOJE (5-LECIE) | 24.05.2026 | TEATR IM. J. OSTERWY

BILETY - ORKIESTRAKSIEZNICZEK.PL

eprasa.pl bd0d45656b

TYDZIEŃ Z GAZETĄ LUBUSKĄ

JUTRO
● *przy* **SOBOCIE**
tłumaczy, radzi, bawi...

PONIEDZIAŁEK
● **DODATEK SPORTOWY**
Wyniki, tabele i analizy

WTOREK
● **PULS BIZNESU**
Przepisy prawne, opinie

ŚRODA
● **MAGAZYN ZDROWIE**
Jak zadbać o siebie i bliskich

CZWARTEK
● **POD PARAGRAFEM**
Historie kryminalne

PIĄTEK
● **PULS POLSKI**
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 68 381 70 52, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata@gazetalubuska.pl

Janusz Michalczyk

RATUJEMY, ALE PO CO WŁAŚCIWIE?

Timmy - takie imię ktoś nadał humbakowi i dzięki temu wiele osób śledziło ze zwiększonym zainteresowaniem losy tego podobnego do wieloryba stworzenia, które zabłąkało się na płytkie, niemieckie wybrzeże Bałtyku. Jeżeli masz imię, to jesteś w jakimś sensie osobą i łatwo obdarzyć cię uczuciami. Kiedy kończysz życie, zrozumiała jest żałoba. Z humbakiem będzie prawdopodobnie jak z zaginionym w dramatycznych okolicznościach człowiekiem - należy się liczyć ze śmiercią, ale nie mamy pewności, chyba że cielsko wyląduje na plaży.

Eksperci, a także aktywiści z ekologicznej organizacji Greenpeace, uznali, że należy mocno osłabionemu i cierpiącemu humbakowi dać spokojnie umrzeć, ale znalazło się dwoje bogaczy, którzy postanowili sfinansować akcję ratunkową, polegającą na przeciągnięciu zwierzęcia na Morze Północne za pomocą specjalnego, zanurzonego w wodzie pojemnika. Przyklasnęło temu mnóstwo osób, bo poczuły głębszą więź emocjonalną z Timmy'm i źle się czuły ze świadomością, że nie można mu pomóc. Obserwowaliśmy sceny jakby zaczerpnięte z kina familijnego (statek holujący nazywał się „Robin Hood"). Na koniec zmaltretowanego humbaka wypuszczono na wolność i parę dni temu ślad po nim zaginął. Specjaliści zgadzają się, że jego szanse na przeżycie są nikłe. Do tej sytuacji pasuje chyba powiedzenie: operacja się udała, pacjent zmarł.

Mamy do czynienia ze zjawiskiem, jakie już dawno opisali psychologowie - wypieranie śmierci ze świadomości współczesnego, żyjącego w komfortowych warunkach człowieka, któremu nie grozi głód i chłód. Z tym że teraz nie chodzi już tylko o ludzi, ale też o zwierzęta, na które rzutowane jest współczucie. Kilka lat temu Paul Bloom wydał głośną książkę pt. „Przeciw empatii" i trudno oprzeć się wrażeniu, że miał rację, wskazując na szkodliwość mocno emocjonalnych reakcji, prowadzących do fatalnych skutków. Bloom zalecał racjonalne współczucie, a więc takie, gdy decyzje są przemyślane, a nie podejmowane spontanicznie albo gdy do głosu dochodzi instynkt stadny. Z pewnością ludzie kibicujący akcji z humbakiem poczuli się lepszymi istotami, ale czy ktoś z nich próbował wejść w skórę zwierzęcia? To by wymagało dłuższego namysłu i głębszej refleksji. No i to jednak zwierzę...

Społeczeństwo nie może oczekiwać, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego rozwiąże za nie wszystkie problemy bezpieczeństwa

Płk Grzegorz Mełecki, były szef Agencji Wywiadu

Stolica się nie przybliżyła. Denerwujący rozkład jazdy

Leszek Kalinowski
lkalinowski@gazetalubuska.pl

- To jakiś absurd! To za komuny po starych torach szybciej się jeździło do Warszawy niż dziś. A tyle wydaliśmy grubych milionów złotych, by pociągi omijały Czerwieńsk. Potem cztery lata trwała wymiana torów. Wszystko po to, byśmy szybciej jeździli do stolicy. I co? - denerwują się Zielonogórzanie. W tej sprawie interpelację złożył poseł. Co na nią ministerstwo infrastruktury?

FOT. LESZEK KALINOWSKI

- Mamy dość ciągłego traktowania nas jako po macoszemu. Zielona Góra, Lubuskie wiecznie jest pomijane w Warszawie, bo tam wiedzą od nas lepiej, czego nam potrzeba. Tylko dlatego że leżymy dalej od stolicy, to inaczej jesteśmy postrzegani niż np. Białystok - mówi Teresa Bolewicka z Zielonej Góry, która często jeździ pociągiem do Warszawy .

A miało być tak pięknie. Tłumaczono, że Lubuszanie muszą być cierpliwi, choć modernizacja ślimaczy się latami.

- Musieliśmy jeździć przez lata do Świebodzina. Zaciskaliśmy zęby i jeździliśmy. Albo korzystaliśmy z komunikacji zastępczej. Bo miało być lepiej, szybciej, wygodniej - dodaje Ewa Ruszkiewicz. - No i co z tego wyszło? Jak zawsze. Obiecanki cacanki. Podróż zamiast się skracać, wydłuża się. A jeszcze co to za pomysł, by pociąg puścić przez Inowrocław? Dla kogo to ma być dobrze? Na pewno nie dla nas. Paranoja.

- Może to celowe działanie, by zmusić nas do korzystania z lotów z Babimostu? Kolej powinna dbać o swój interes, a nie fundować nam przesiadki. To już nie te czasy - zauważa Igor Kowalski.

Z przesiadką jest szybciej

W sprawie czasu przejazdów pociągów pomiędzy Zieloną Góra a Warszawą interpelacje do ministra infrastruktury złożył poseł Jerzy Materna. Napisał w niej m.in. „Po wybudowaniu w 2013 r. łącznicy kolejowej omijającej stację w Czerwieńsku i wyeliminowaniu konieczności zmiany kierunku jazdy pociągów na trasie Zielona Góra-Warszawa, uruchomiono połączenia, z czasami przejazdu pomiędzy tymi miastami zbliżonymi do 4 godzin. Tak np. w rozkładzie jazdy od 1.09.2015 r. do 17.10. 2015 czas przejazdu na tej trasie wynosił 4h 8 min., a w rozkładzie jazdy od 13.06.2016 do 13.09.2016 było to 4h 3 min. Niestety w obecnych rozkładach jazdy, dla pociągów Zielona Góra-Warszawa, nie wykorzystuje się faktu ukończenia prac modernizacyjnych na LK nr 3 na odcinku Sochaczew-Swarzędz (Warszawa-Poznań), przeprowadzonych w latach 2017-2023 i w efekcie zwiększenia prędkości na stacjach oraz przywrócenia prędkości 160 km/godz. na szlakach, tam gdzie było to już konieczne. Nie wykorzystuje się też efektu zakończenia w 2023 r. remontu LK nr 358 na odcinku Zbąszynek-Czerwieńsk, sfinansowanego ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego, PKP PLK i Ministerstwa Infrastruktury, który to spowodował zwiększenie prędkości ze 100 km/godz. (na moście w Pomorsku obowiązywało 30 km/godz.) do 120 km na/godz.

Obecne czasy przejazdów pociągów bezpośrednich na trasie Zielona Główna-Warszawa Centralna wynoszą około pięciu godzin. A nawet więcej".

Paradoksalnie, można skrócić czasy przejazdu, korzystając z przesiadek w Poznaniu czy w Zbąszynku na pociągi jadące ze Szczecina, czy też z Berlina. Czasy z przesiadkami są krótsze niż te dla pociągów bezpośrednich, ale cały czas znacząco odbiegają od czasów podróży sprzed remontów.

Do Poznania jakby dalej

Warto odnotować również fakt, że mimo remontu LK 358 i zwiększenia na niej dopuszczalnej prędkości, podróż z Zielonej Góry do Poznania wydłużyła się np. z 1 godz. 25 min. w 2016 r. do 1 godz. 37 min. w 2026 r. (dla pociągu bez wydłużonego postoju w Zbąszynku).

Zielona Góra jest głównym ośrodkiem liczącego 620 tys. mieszkańców subregionu zielonogórskiego, będąc ważnym węzłem drogowym i kolejowym (wraz z Czerwieńskiem). W strefie oddziaływania miasta (w tym stacji Zielona Góra Główna), włączając m.in. północne powiaty województwa dolnośląskiego, mieszka około jednego miliona mieszkańców.

Cztery pociągi bezpośrednie

Odpowiedzi na interpelację posła udzielił podsekretarz stanu Piotr Malepszak. Czytamy w niej:

„Nie jest możliwe zapewnienie w niektórych przypadkach oczekiwanej liczby bezpośrednich połączeń pomiędzy wszystkim miastami w kraju z uwagi na szereg czynników, jak np. możliwości infrastrukturalne na sieci kolejowej czy ograniczenia w dostępności taboru. Z tego względu oferowane są liczne połączenia przesiadkowe, organizowane także we współpracy z przewoźnikami regionalnymi.

W przypadku połączeń z Zielonej Góry do Warszawy podróżni mają w ciągu dnia 14 połączeń (w tym 4 pociągi bezpośrednie) umożliwiające dotarcie do stolicy. W ramach oferty zapewniona jest możliwość dotarcia do stolicy w przypadku najszybszego pociągu w 4 godziny i 2 minuty, dotyczy to przejazdu z jedną przesiadką w Poznaniu. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że w ramach budowy Kolei Dużych Prędkości (KDP), a konkretnie tzw. linii „Y" (Warszawa - Łódź - Poznań/Wrocław) będzie możliwe realne ograniczenie czasu przejazdu z Zielonej Góry do Warszawy do niewiele ponad 3 godzin.

Resort wspomina też, że będzie opracowywane studium wykonalności Magistrali Zachodniej na trasie Wrocław - Zielona Góra - Gorzów - Szczecin. Ale to dotyczy jeszcze dalszej przyszłości.

Tabor jest, tylko jeździ okrężną trasą

Zdaniem zajmującego się od wielu lat transportem w mieście i województwie Kazimierza Łatwińskiego (były doradca wojewody, radny), nie ma ograniczenia w dostępności taboru i trudności infrastrukturalnych. Tabor jest, tylko jeździ okrężną trasą przez Gniezno i Inowrocław. Skoro istnieją 4 połączenia bezpośrednie, to nie przepustowość infrastruktury jest powodem braku szybkich bezpośrednich połączeń Zielona Góra - Warszawa, lecz błędne ustalenie priorytetów.

- Skoro obecnie priorytetem jest bezpośrednie połączenie połączenie Gniezna i Inowrocławia z Warszawą pociągiem jadącym okrężną drogą z Zielonej Góry, proponowałbym powołanie specjalnego zespołu (w ministerstwie) do rozwiązania tego problemu, tak aby znaleźć inne lepsze rozwiązanie dla Gniezna i Inowrocławia i zarazem przywrócić normalne, szybkie i bezpośrednie połączenia Zielona Góra - Warszawa - mówi K. Łatwiński.

Odnośnie połączenia z przesiadką w Poznaniu (4 godz. i 2 min.) uważa, że to krok w dobrym kierunku. - Niemniej jednak w dalszym ciągu jest to połączenie z przesiadką, niekorzystne dla pasażerów niepełnosprawnych, z dużym bagażem, z małymi dziećmi, w starszym wieku lub rzadko korzystających z pociągów - czujących się niepewnie na kolei. Ponadto część połączeń przesiadkowych to skomunikowania z pociągami jadącymi z Berlina - podatnymi na spóźnienia - podkreśla.

eprasa.pl bd0d45656b

nasz REGION

ZIELONA GÓRA
Autobus miejski uderzył w drzewa
Zdarzenie miało miejsce na ulicy Botanicznej. To właśnie tam autobus nagle zjechał z pasa drogi i znalazł się na poboczu uderzając w drzewa.

Jak przekazała „Gazecie Lubuskiej" podinspektor Małgorzata Stanisławska, rzeczniczka Komendy Miejskiej Policji w Zielonej Górze, nikt nie ucierpiał w tym zdarzeniu. W pojeździe poza kierowcą autobusu znajdował się jeden pasażer. Zdarzenie to zostanie uznane za kolizję. Doszło do niej najpewniej z tego powodu, że kierowca jechał zbyt blisko krawędzi jezdni i „złapał pobocze".
UB

FOT. LUBUSKA POLICJA

KRÓTKO

ZIELONA GÓRA

Tablica dla Zbyszko Piwońskiego

Muzeum Ziemi Lubuskiej oraz Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Ziemi Lubuskiej zorganizowali w czwartek uroczyste odsłonięcie pamiątkowej płyty poświęconej Zbyszko Piwońskiemu.

- Cieszę się, że tak wspaniały człowiek zostanie w ten sposób uhonorowany. Często ci, którzy żyli w czasach PRL-u, są niesprawiedliwe oceniani, tylko dlatego, że żyli w tamtych czasach. Nie wolno nam zapominać o tych, którzy wiele dobrego zrobili dla miasta, dla województwa. - zauważa Stefania Barczyk. - Senator Zbyszko Piwoński był bardzo cenionym i lubianym przez środowisko pedagogiem, prawdziwym harcerzem, który z ZHP związany był do końca swoich chwil.

Zbyszko Piwoński urodził się 9 lipca 1929 r. w Stawiskach, a zmarł 2 sierpnia 2022 roku w Zielonej Górze. Wieloletni nauczyciel, przez trzynaście lat był kuratorem oświaty i wychowania. W roku 1982 został wicewojewodą zielonogórskim, a od 1984-1990 roku sprawował urząd wojewody. Był też od 1993 r,. w trzech kolejnych kadencjach senatorem

Z jego inicjatywy powstało m.in. Liceum Lotnicze w Zielonej Górze, dzięki jego staraniom otwarto 1986 roku Wojewódzki Młodzieżowy Dom Kultury „Dom Harcerza". Jest HonorowymObywatelem Miasta Zielona Góra.

FOT. JACEK KATARZYŃSKI

Turnus rehabilitacyjny? W Nowej Soli raz na pięć lat

Mateusz Pojnar
mpojnar@gazetalubuska.pl

- Okazało się, że dofinansowanie mogę dostać raz na pięć lat - mówi mieszkanka Nowej Soli i ma żal do starostwa i Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie. W PCPR słyszymy, że brakuje pieniędzy, by wsparcie otrzymały wszystkie osoby z niepełnosprawnością.

FOT. PIXABAY

Nasza Czytelniczka ma znaczny stopień niepełnosprawności i cierpi na początki choroby Alzheimera.

- Ćwiczę mózg, jak mogę - mówi. - Robię notatki, ale myśli mi umykają. Turnusy rehabilitacyjne bardzo pomagają. Sama poruszam się teraz z pomocą wózka i zaczęłam bardziej dostrzegać problemy osób z niepełnosprawnością.

Nowosolanka dodaje, że od kilku lat przygląda się pracy Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie.

- Jestem zdziwiona i zaniepokojona. Chciałam skorzystać z dofinansowania do turnusu - opowiada. - U nas rehabilitacja kuleje i dostanie terminu to prawie cud. Okazało się, że takie dofinansowanie mogę dostać raz na pięć lat i że mogą przyznać pieniądze tym, którzy ostatni raz na turnusie byli przed 2022.

- Dzwoniłam do Zielonej Góry czy Sulechowa i tam powiedzieli mi, że co roku może nie dają dofinansowania, ale co dwa lata - na pewno. A np. w Świebodzinie praktycznie co roku - mówi kobieta.

Ostatni raz na turnusie była trzy lata temu. Teraz chciała pojechać do ośrodka nad morzem.

- Wiadomo, że trzeba wcześniej zarezerwować miejsce - tłumaczy nasza rozmówczyni. - Musiałam zrezygnować, bo nie stać mnie na taki wyjazd. Tym bardziej że jeżdżę z opiekunem i koszty za niego również muszę pokryć.

Emerytka ma też żal do starostwa, pod które podlega PCPR, i do rady powiatu nowosolskiego.

- Czy radni w ogóle zdają sobie sprawę, ile tu jest osób z niepełnosprawnością? Podnoszą ręce za uchwałami, a potem nie możemy pojechać na turnus. Piszą, jakie to kwoty przeznaczają na pomoc - normalnie Eden - a później realia są inne - złości się Czytelniczka. - Społeczeństwo drastycznie się starzeje, częściej choruje. Stajemy się miastem emerytów. Jest nas dużo i ten problem nie zniknie.

W starostwie słyszymy, że chętnych na turnusy jest z roku na rok coraz więcej.

- To w sytuacji ograniczonych środków finansowych wymusza stosowanie pewnych kryteriów - mówi rzecznik powiatu Filip Pobihuszka. - Jednym z wyznaczników jest m.in. korzystanie z takich dofinansowań w ostatnich latach. Za turnusy odpowiada PCPR i to tam są dzielone pieniądze otrzymane z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Rada powiatu jedynie zatwierdza ten podział w formie uchwały.

Dyrektorka PCPR-u Aldona Porczyńska-Nalewajko tłumaczy, że częstotliwość dofinansowania zależy w głównej mierze od środków PFRON-u, jakie dostaje powiat i ilości osób ubiegających się o dofinansowanie.

- To możliwe, że może być przyznawane raz na pięć lat - dodaje. - Turnusy są traktowane jako jedna z form wsparcia osób z niepełnosprawnościami. Tym samym spełnienie warunków nie daje pewności dofinansowania. Każdy powiat dostaje ograniczoną kwotę i rozdziela ją między różne zadania. Jeśli wniosków jest więcej niż pieniędzy, co często się zdarza, wiele osób niestety otrzymuje odpowiedź odmowną - niezależnie od tego, że formalnie spełnia warunki. Intencją powiatu jest zabezpieczanie wszystkich potrzeb osób niepełnosprawnych, ale z uwagi na fakt, że środki z PFRON-u w pełni ich nie zabezpieczają, rada powiatu musi dokonać trudnego wyboru, jakie zadania będą dofinansowywane w bieżącym roku. Pieniądze, jakie otrzymał powiat w 2026, nie pozwoliły na przyznanie dofinansowania wszystkim osobom w ramach różnych zadań, w tym turnusów.

Powiat nowosolski dostał z PFRON-u ponad 4,9 mln zł. Dyrektorka zwraca uwagę, że w porównaniu z 2025 to mniej o ponad 556 tys.

Na turnusy przeznaczył 490 tys. Dofinansowanie dostały 253 osoby, w tym 59 opiekunów. Pozytywnie rozpatrzono 194 wnioski, a łącznie było ich aż 463.

- Jeśli środków jest mało, dofinansowanie dostaje tylko część wnioskodawców - mówi Porczyńska-Nalewajko.

Pod Gorzowem pasierb miał rzucić się z nożem na ojczyma

opr. Sandra Soczewa
ssoczewa@gazetalubuska.pl

W trakcie domowej awantury 17-latek dźgnął nożem 39-letniego ojczyma. Ofiara jest w szpitalu, a napastnik w areszcie.

Wszystko wydarzyło się 5 maja w niewielkiej miejscowości Płomykowo (gmina Santok).

Według ustaleń śledczych podczas awantury Patryk B. miał zadać swojemu ojczymowi co najmniej jeden cios nożem w okolice żołądka. Ustalono, że obaj mężczyźni byli skonfliktowani od wielu lat.

- Pokrzywdzony w wyniku uderzenia doznał obrażeń ciała w postaci pękniętej śledziony i rany kłutej żołądka. W wyniku bezzwłocznie podjętych działań ratunkowych i medycznych życie mężczyzny zdołano uratować. Obecnie jest hospitalizowany - informuje gorzowska prokuratura.

Patryk B. został zatrzymany przez policję na miejscu zdarzenia, a prokurator przedstawił mu zarzut usiłowania zabójstwa ojczyma.

FOT. POLSKA PRESS

Sąd przychylił się do wniosku o areszt dla 17-latka

- Przesłuchany w charakterze podejrzanego Patryk B. nie przyznał się do zadania ciosu nożem. Nie zaprzeczył, że był na miejscu zdarzenia - informuje prokuratura.

6 maja Sąd Rejonowy w Gorzowie przychylił się do wniosku prokuratora, który wnosił o tymczasowy areszt dla nastolatka. 17-latek za kratkami ma spędzić najbliższe trzy miesiące.

- Podstawą zastosowania tymczasowego aresztowania jest konieczność zabezpieczenia prawidłowego toku śledztwa, które pozostaje na wstępnym etapie. Istnieje bowiem obawa matactwa procesowego, tym bardziej, że bezpośrednimi świadkami zdarzenia były osoby najbliższe zarówno pokrzywdzonego jak i sprawcy. Nadto podejrzanemu grozi surowa kara - wyjaśnia w komunikacie prokuratura.

Za usiłowanie zabójstwa grozi kara więzienia na czas nie krótszy niż okres 10 lat lub dożywocie. Natomiast ze względu na wiek podejrzanego (nie jest osobą pełnoletnią) kara dożywotniego pozbawienia wolności nie może zapaść.

eprasa.pl bd0d45656b

GORZÓW BUDOWA BLOKU SPIĘTRZYŁA PROBLEMY

Działkowcy brodzą w błocie

Jarosław Miłkowski
jmilkowski@gazetalubuska.pl

Na ulicy Srebrnej po każdym deszczu jest kałuża jak jezioro. - Nawet nie ma jak dojść do działek - mówi nasz Czytelnik. Kiedy w końcu będą tu można przejść suchą stopą?

FOT. ANTONI KACZMAREK

Nasz Czytelnik przez cały czas dokumentuje sytuację na Srebrnej. Tak prezentowała się ulica 25 kwietnia

- Gdy spadnie deszcz, to tu nie można przejść. Powstaje ogromne „jezioro", które utrzymuje się długo po opadach. I to nawet przy wielu dniach ze słońcem. To jeszcze nic! Cały teren jest rozjeżdżany przez ciężki sprzęt, co powoduje, że wokół „jeziora" jest pełno błota - mówi nam Antoni Kaczmarek, nasz Czytelnik.

Gorzowianin przy ulicy Srebrnej ma ogródek działkowy, na który zachodzi regularnie. Problemy ze stojącą w tym miejscu wodą obserwuje więc od lat. Nigdy jednak nie były one tak duże jak teraz.

- Ostatnio to nawet nie ma jak dojść suchą stopą do działek. A tu przecież ma je tu kilkaset osób. To w większości ludzie starsi, którzy ledwo ciągną swoje wózki. A jeszcze muszą brnąć przez błotnistą breję - mówi pan Antoni naszemu reporterowi.

Srebrna ma ponad 1,6 km. Jest to droga, która m.in. skraca dojazd z Manhattanu do Kłodawy. Kilka dekad temu można było na niej spotkać jedynie działkowców i rowerzystów. Okolica zaczęła się jednak zmieniać. Pomiędzy ul. Czartoryskiego a rzeczką Srebrną powstało osiedle domków jednorodzinnych. Z kolei pomiędzy Czartoryskiego a Dekerta (w stronę Manhattanu) rozrasta się osiedle bloków. Jeden z nich stoi już w rejonie skrzyżowania z ul. Prądzyńskiego. I to właśnie nieopodal jest największy problem z deszczówką.

- Odcinek, gdzie nawierzchnia jest z płyt betonowych, położony jest najniżej. To powoduje, że zbiera się woda. Przed budową bloku woda spływała na pobocze. Jesienią wykonawca bloku usypał hałdę ziemi, blokując odpływ. Wiosną ją powiększył i widać, że wchodzi ona już w obrys ulicy. Tam jest glina i woda nawet nie ma gdzie wsiąknąć. Było to zatem bezmyślne - analizuje nasz Czytelnik.

O sprawie rozmawiamy z urzędnikami, którzy w środę byli na miejscu.

- Wezwaliśmy wykonawcę do tego, żeby wypompował wodę. Ma to zrobić na dniach - mówi nam Zdzisław Plis, dyrektor wydziału dróg w gorzowskim magistracie.

- Ale będą kolejne opady i kałuża znów się zrobi pewnie tak samo duża jak teraz - podnosi problem nasz reporter.

- Wykonawca bloku ma też zadbać o to, by woda z tego miejsca odpływała - dodaje dyrektor Plis.

Miasto ma umowę z deweloperem, który przy okazji budowy bloków ma zrobić także część ulicy. Na wysokości kończonego bloku - od skrzyżowania z ul. Ordona do skrzyżowania z ul. Prądzyńskiego - trwa już jej budowa i w związku z tym ruch na części Srebrnej jest zamknięty. Droga ma też być zrobiona na odcinku od Prądzyńskiego do Dekerta.

- Ten odcinek zostanie zrobiony przez dewelopera przy okazji budowy kolejnego bloku. Droga będzie asfaltowa i z kanalizacją deszczową - mówi dyrektor wydziału dróg.

Nowa nawierzchnia ul. Srebrnej ma być gotowa mniej więcej za dwa lata. Przed rozpoczęciem budowy bloku powinien zostać przebudowany kolektor deszczowy.

- Dwa lata to długo. Oby nie okazało się, że kałuża jak jezioro stała w tym miejscu przez tyle czasu - mówi nasz Czytelnik.

Będzie się przyglądał, czy po nakazanych przez miasta pracach deszczówka dalej będzie stała długi czas w miejscu. My zamierzamy zrobić to samo.

Po wybudowaniu drogi przez dewelopera ulica Srebrna nie będzie jeszcze miała całego dłuższego odcinka z nawierzchnią asfaltową. Gruntowy pozostanie bowiem fragment między ul. Ordona a Czartoryskiego. Tu ulica zostanie zrobiona, gdy znajdzie się chętny.

Noc otwartych sądów w regionie. Rozprawy, wykłady, szkolenia

Eliza Gniewek-Juszczak
egniewek@gazetalubuska.pl

Będzie można wejść do pokoju przesłuchań, zobaczyć, jak zabezpiecza się ślady, analizuje dowody i prowadzi postępowanie. Będą symulacje rozpraw, wykłady, pokazy i wystawy.

„Noc Otwartych Sądów" odbędzie się 22.05.2026 r., w Zielonej Górze, Krośnie Odrzańskim, Świebodzinie i Żarach. Udział jest bezpłatny.

W Zielonej Górze wydarzenia zaplanowano w godz. 16-20.

– Prokuratorzy, oprócz własnego stoiska, na którym będzie można usłyszeć, na czym polega praca prokuratura, a także porozmawiać na tematy karne, będą uczestniczyli w wydarzeniu „Śladami sprawy karnej" – informuje prok. Ewa Antonowicz, rzecznik prasowa Prokuratury Okręgowej. – Trasa edukacyjna poprowadzi przez kolejne etapy sprawy karnej – od zdarzenia, przez działania organów ścigania, aż do rozprawy i wyroku – opisuje prokuratorka.

W godz. 12-20 będzie otwarty Sąd Rejonowy w Krośnie Odrzańskim. W programie szkolenia z zakresu cyberbezpieczeństwa i pierwszej pomocy. Będą stanowiska informacyjno-pokazowe służb mundurowych. Zaplanowano wykład o zawodach prawniczych i m.in. warsztaty z psychologiem.

Mieszkańców zainteresowanych pracą sądu zaprasza również Sąd Rejonowy w Świebodzinie. Siedzibę będzie można zwiedzać w godz. 17-21. W programie m.in. dyskusja o hejcie i przemocy z udziałem sędziów, policjantów i symulacja rozprawy z udziałem uczniów I LO w Świebodzinie.

Zwiedzanie Sądu Rejonowego w Żarach odbędzie się w godz. 15.30-21.30. Zaplanowano m.in. grę terenową dla dzieci i młodzieży organizowaną przez kuratorów sądowych – „Śladami zadań Temidy". Symulację rozprawy przygotują uczniowie LO im. B. Prusa w Żarach. Punkt programu „Balladyna przed sądem" to symulacja rozprawy przygotowana przez uczniów Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego w Żarach.

FOT. ARCH. GL

Będzie można m.in. zobaczyć, jak zabezpiecza się ślady, analizuje dowody i prowadzi postępowanie

Miejskie Granie - filharmonicy znów zagrają na osiedlach

Jarosław Miłkowski
Gorzów

W sobotę wybrzmiewać będą przeboje The Beatles czy Michaela Jacksona, a w niedzielę - salsa, samba czy tango. Muzycy filharmonii już po raz siódmy wyruszą z koncertami w osiem punktów miasta.

FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

Jednym z najbardziej popularnych miejsc Miejskiego Grania są okolice fontanny w Parku Kopernika

- W każdym miejscu występ będzie trwał około pół godziny, może nawet dłużej. Wielu słuchaczom tak się te koncerty podobają, że część z nich widujemy na każdym. To bardzo miłe - mówi nam Katarzyna Wojtowicz z Filharmonii Gorzowskiej.

Pomysł na występy w parkach, na skwerach czy pod oknami bloków zrodził się w czasie pandemii koronawirusa. Gdy wiosną 2020 zamknięte były instytucje kultury, a filharmonicy tęsknili za kontaktem z publicznością, w jeden weekend dali oni aż dwadzieścia bardzo krótkich występów (po dziesięć w jeden dzień). Mieszkańcom tak się to spodobało, że zrodziło się z tego coroczne Miejskie Granie, a muzycy dają dłuższe występy w ośmiu różnych częściach miasta. Nie inaczej będzie w ten weekend.

W sobotę 9 maja złożony w większości z filharmoników zespół The Monarchs zagra na skwerze przy Dominancie (15.00), na Kwadracie (16.00), obok Intermarche na osiedlu Staszica (17.00) i terenie zielonym przy Osiedlovej Klubokawiarni na Piaskach (18.00). Grać będą przeboje zespołów Abba, Queen, The Beatles czy Michaela Jacksona.

W niedzielę 10 maja kwartet GaMaYiKa wystąpi na polu golfowym Zawarcie (15.00), w Parku Róż (16.00), Parku Kopernika (17.00) i w Parku Górczyńskim (18.00). W programie jest przegląd melodii z obu Ameryki Północnej - ragtime, boogie woogie, rock and roll, salsa, samba, bossa nova czy tango.

Miejskie Granie nie będzie jedyną okazją do posłuchania koncertów „pod chmurką", które organizuje Filharmonia Gorzowska. 5 lipca rozpocznie się bowiem kolejna edycja Pikników Chopinowskich. Odbywać się one będą co niedzielę do 30 sierpnia.

eprasa.pl bd0d45656b

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011518759

ORLEN wzmacnia bezpieczeństwo Polaków. 20 mln zł dla strażaków w całym kraju

W ramach 25. jubileuszowej edycji programu „ORLEN na straży", Fundacja ORLEN przeznaczy 20 mln zł na wsparcie jednostek straży pożarnej w całej Polsce. To jeden z największych i najdłużej realizowanych programów wspierających strażaków, który realnie wzmacnia gotowość służb ratowniczych i system bezpieczeństwa kraju.

Gdy w środku nocy słychać syreny alarmowe, nikt nie pyta, czy to dobry moment. Strażacy po prostu ruszają do akcji. Gaszą pożary, wyjeżdżają do wypadków, śpieszą z pomocą w czasie podtopień, awarii linii energetycznych czy rozlanego paliwa. Tam, gdzie inni doświadczają nagłych i przykrych zdarzeń, oni natychmiast przystępują do działania, niosąc pomoc każdemu, kto jej potrzebuje. Aby jednak robić to skutecznie, strażacy również potrzebują wsparcia – zapewnia je program „ORLEN na straży".

To jedna z największych inicjatyw realizowanych w naszym kraju, która realnie wspiera jednostki straży pożarnej. W 2026 roku Fundacja ORLEN przeznaczy na ten cel 20 mln zł. Budżet pozwoli na lepsze przygotowanie jednostek, wyposażenie ich w nowocześniejszy sprzęt, zwiększenie bezpieczeństwa ratowników i sprawniejsze działania wszędzie tam, gdzie liczy się każda minuta. Jubileuszowa, 25. edycja programu potwierdza, że to inicjatywa realizowana w sposób przemyślany, konsekwentnie i odpowiedzialnie.

Program, który odpowiada na realne potrzeby

„ORLEN na straży" to wsparcie zarówno dla jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, jak i Państwowej Straży Pożarnej. Dwa lata temu program przeszedł istotną przemianę, odpowiadając na zgłaszane przez strażaków potrzeby. Wsparcie zostało rozszerzone – obok finansowania sprzętu większy nacisk położono na rozwój kompetencji, szkolenia i przygotowanie do coraz bardziej wymagających zadań. Od tego czasu w ramach programów strażackich ORLEN przyznał granty o łącznej wartości ponad 36,8 mln zł, wspierając 756 jednostek w całej Polsce.

Korzyści płynące z tej inicjatywy najlepiej ilustruje wypowiedź Michała Treski, Prezesa Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo: – *Wsparcie z programu „ORLEN na straży" w przypadku naszej jednostki przełożyło się na bardzo konkretne i odczuwalne zwiększenie zdolności operacyjnych. Przede wszystkim znacząco poprawiły się bezpieczeństwo i gotowość bojowa strażaków dzięki doposażeniu w nowe ubrania specjalne. Pozwala to większej liczbie ratowników jednocześnie brać udział w działaniach w strefie zagrożenia. Ma to więc bezpośredni wpływ na szybkość reakcji oraz skalę interwencji. Ubranie specjalne to nasz najważniejszy środek ochrony, a jego sprawność i nowoczesność chronią nasze zdrowie i dają spokój działania.*

Projekt pozwolił nam także odpowiedzieć na nowe wyzwania wynikające z rozwoju technologii, takie jak pożary instalacji fotowoltaicznych czy pojazdów elektrycznych. Doposażenie jednostki w dedykowany sprzęt gaśniczy oraz narzędzia do działań technicznych, w tym do siłowego otwierania drzwi, zwiększyło skuteczność interwencji w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia. W efekcie nasza jednostka nie tylko działa szybciej, lecz też jest przygotowana na znacznie szerszy zakres zdarzeń.

W tegorocznej edycji zaprojektowano cztery ścieżki ubiegania się o granty. Każda z nich odpowiada na inny typ zagrożeń i inny profil działań ratowniczych.

Cztery ścieżki, jeden cel – skuteczniejsze działania

Pierwsza ścieżka grantowa dotyczy ratownictwa związanego z wypadkami drogowymi. Jednostki mogą ubiegać się tu o grant do 50 tysięcy złotych. Wypadki drogowe należą dziś do najbardziej wymagających interwencji. Tu liczy się nie tylko czas, ale też precyzja, odpowiedni sprzęt i właściwe przygotowanie zespołu.

Druga ścieżka to ratownictwo związane z przemysłem chemicznym oraz z instalacjami odnawialnych źródeł energii, obejmującymi infrastrukturę Grupy ORLEN. Tu niezbędne wyposażenie i przygotowanie strażaków jest jeszcze bardziej wymagające. Jednostki OSP i PSP mogą wnioskować nawet o 150 tysięcy złotych, co pozwala realnie zwiększyć gotowość do działania przy tego typu zagrożeniach.

Trzecia ścieżka to szeroko rozumiana walka ze skutkami zmian klimatycznych. Powodzie, pożary terenów otwartych, gwałtowne wichury są dziś coraz częstszymi zjawiskami i stanowią codzienność służb ratunkowych. Aplikując w tym obszarze, jednostki OSP mogą otrzymać do 40 tysięcy złotych.

I wreszcie czwarta ścieżka – wsparcie dla jednostek OSP spoza krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego, które chcą osiągnąć wymagane przez system standardy i rozwijać swoją gotowość operacyjną. To bardzo ważny element programu, ponieważ wzmacnia także te jednostki, które chcą rozbudować swój potencjał.

„ORLEN na straży" to także edukacja i szkolenia

Program nie ogranicza się tylko do finansowania wyposażenia – bardzo mocno stawia na bezpośrednie wsparcie strażaków. Każda jednostka, która otrzyma grant, musi przeznaczyć minimum 20% środków na szkolenia, kursy, warsztaty lub wsparcie psychologiczne.
– *Środki z programu zostały w naszym przypadku wykorzystane nie tylko na zakup sprzętu, ale właśnie na rozwój kompetencji strażaków-ochotników, co było bardzo ważne dla pełnego wykorzystania potencjału projektu. Zorganizowaliśmy szkolenia specjalistyczne, obejmujące między innymi ratownictwo chemiczne, działania przy wyciekach gazu oraz reagowanie na zagrożenia związane z nowoczesnymi technologiami, takimi jak instalacje fotowoltaiczne czy pojazdy elektryczne. Udało nam się zrealizować te szkolenia na profesjonalnych poligonach, co bez finansowania z projektu nie byłoby możliwe* – mówi Michał Treska z OSP Gdańsk-Sobieszewo.
- *Duży nacisk położyliśmy również na praktyczne warsztaty, które pozwoliły przećwiczyć wykorzystanie nowo zakupionego sprzętu w realistycznych scenariuszach działań. Dzięki temu wiedza nie pozostała wyłącznie teoretyczna, a sprzęt nie trafia jedynie „na półkę". Istotne było dla nas także to, aby w szkoleniach uczestniczyło jak najwięcej strażaków, co przekłada się na większą elastyczność i gotowość zespołu w codziennej służbie. Udało nam się część szkoleń zrealizować również przy użyciu technologii VR, która choć nie zastępuje działań w terenie, to stanowi wartościowe uzupełnienie i daje możliwość utrwalania procedur „na sucho" poprzez ich wielokrotne powtarzanie w dowolnie wybranym momencie.*

W ramach projektu realizujemy również działania z zakresu wsparcia psychologicznego. To szczególnie istotne, ponieważ ten obszar ma ogromne znaczenie w naszej działalności, a dopiero od niedawna dostrzega się jego znaczenie. Należy pamiętać, że ochotnicy wykonują swoje działania dodatkowo, w ramach wolnego czasu, który mogliby spędzić na przykład z rodzinami. Zdarzenia, z którymi się mierzą, są często trudnym doświadczeniem. A przecież nasi członkowie, strażacy i strażaczki, to „twardzi ludzie" i często sami nie umieją poprosić o pomoc, by rozładować napięcie, które się w nich gromadzi. Warsztaty w obszarze wsparcia psychologicznego skupiały się więc na radzeniu sobie ze stresem oraz na funkcjonowaniu po trudnych akcjach ratowniczych – zaznacza Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Nabór do 25. edycji programu „ORLEN na straży" trwa do 30 czerwca

Wnioski w ramach tegorocznego naboru do programu można składać do 30 czerwca 2026 roku za pośrednictwem specjalnego formularza na stronie internetowej **orlennastrazy.pl.** Wyniki zostaną ogłoszone najpóźniej 11 września. We wniosku należy szczegółowo opisać planowany projekt, uzasadnić jego znaczenie dla bezpieczeństwa lokalnej społeczności oraz przedstawić kosztorys. Pomocna jest tu platforma aplikacyjna, która przeprowadzi krok po kroku przez cały proces i nie pozwoli niczego pominąć. Cały proces naboru odbywa się drogą elektroniczną. Zachęcamy do wzięcia udziału w programie „ORLEN na straży".

Michał Treska, Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

eprasa.pl bd0d45656b

Londyński manifest

FOT. ŁUKASZ CAPAR/POLSKA PRES

Tomasz Zyrmont i jego zespół zagrają nowe utwory

Jarosław Wnorowski
GORZÓW

Dziś o godz. 19:30, na scenie Jazz Clubu „Pod Filarami" zagra Tomasz Zyrmont Quartet - tym razem z najnowszym albumem „London Manifest", który ukazał się w styczniu.

Pochodzący z Gorzowa artysta jest absolwentem Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach oraz Guildhall School of Music and Drama w Londynie. To pianista i kompozytor mieszkający od lat w Wielkiej Brytanii. Zyskał szerokie uznanie dzięki występom na prestiżowych wydarzeniach, jak London Jazz Festival, Yamaha Music Live, Wigmore Lates, Jazz FM Discovery Show i wielu innych. Koncertował w Wielkiej Brytanii, Polsce, Niemczech, Francji, Belgii, Luksemburgu i Stanach Zjednoczonych. Występował m.in. w brytyjskim parlamencie, galerii Tate Modern w Londynie, a także w czołowych londyńskich klubach jazzowych, takich jak Ronnie Scott's, 606 Club czy Boisdale of Canary Wharf. Jako lider wcześniejszych projektów muzycznych nagrał dwa autorskie albumy, które przyciągnęły ogromne zainteresowanie rozgłośni radiowych i promotorów. Wstęp płatny.

WYDARZY SIĘ

REGION

Co nas czeka już niedługo

Do 30.05 - wystawa plenerowa plakatów Kozzi Film Festival, Biblioteka Norwida, Zielona Góra,
8.05 - Salsa w Zajeździe Kultury, Zielona Góra,
8.05 - Spacer ornitologiczny w parku Książęcym w Zatoniu,
8.05 - wernisaż wystawy malarstwa Henryka Mądrawskiego, Biblioteka Norwida, Zielona Góra,
15-17.05 - Lotny Festiwal Piwa, Zielona Góra,
16.05 - Australijska Noc Muzeów, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra, patronat GL,
16.05 - VI Festiwal Podróżniczy „Zielone Globy", Palmiarnia, Zielona Góra,
16.05 - Artyleryjska Noc Muzeów, Lubuskie Muzeum Wojskowe, Drzonów,
16.05 - Premiera spektaklu „Małe zwierciadło" Teatr im. J. Osterwy w Gorzowie,
22.05 - Koncert muzyki musicalowej i filmowej Gorzowskiej Orkiestry Dętej, Gorzów.
JERRY

MIĘDZYRZECZ

FOT. ANDRZEJ CAPIGA/ARCH. GOŚĆ NIEDZIELNY

W sobotę (9.05) na terenie kompleksu parkowo-muzealnego Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej odbędą się IV Dni Kultury Łowieckiej. Wydarzenie o godz. 11 otworzy przegląd zespołów sygnalistów myśliwskich. Swoje stoiska rozłożą m.in. okoliczne nadleśnictwa czy koła łowieckie. Odbędą się pokazy m.in. psów myśliwskich, sokolnicze czy kulinarne z degustacją potraw. Udział wolny. JERRY

Bajki i futurystyczna wizja „Romea i Julii" w teatrach

Jarosław Wnorowski
LUBUSKIE

Teatr w Zielonej Górze proponuje odświeżoną wersję do klasycznego repertuaru. Ten w Gorzowie zaserwuje z kolei mnóstwo dziecięcych opowiadań i baśni z mądrymi przesłaniami.

FOT. ARCH. TEATRU IM. J. OSTERWY

W tym tygodniu nie zabraknie przedstawień bajkowych. Na zdjęciu scena z „Karmelka"

Dziś oraz jutro na deskach Lubuskiego Teatru zobaczymy „Romea i Julię". W piątek (godz. 18) wstęp jest płatny, zaś na sobotni spektakl (godz. 16), który odbędzie się w ramach Dni Funduszy Europejskich 2026 „Funduszowy Maj", wejdziemy na podstawie bezpłatnych wejściówek, których liczba jest ograniczona. To mocno futurystyczną adaptację słynnego dramatu Williama Szekspira - „Romeo i Julia" w reżyserii Roberta Czechowskiego. „Na zgliszczach wielowiekowego zachodnioeuropejskiego miasta, wśród gruzów zbombardowanego teatru, młodzi ludzie znajdują strzępki stron dramatu Szekspira - tak zaczyna się ta opowieść". To wszystko, co pozostało po bezsensownych w skutkach - destrukcji i tragicznych wydarzeniach współczesnych czasów. Ci, którzy przeżyli, pragną zbudować nowy świat i oprzeć go na zupełnie innym systemie wartości. Intrygującą, nieco deliryczną i katastroficzną scenografię przygotował Robert Tetlak, kostiumy niczym z serii fantasy - Adam Łucki, zaś muzyką całość oprawił Daniel Grupa. Aktorom towarzyszą także efekty świetlne, w tym te stroboskopowe. W sobotę oraz niedzielę na deskach Teatru Lalek w Zielonej Górze zobaczymy „Metamorfozę Narcyza" w reżyserii i wg tekstu Michała Telegi. Główna bohaterka to Rita Niemand, która po latach milczenia wraca do wspomnień, by spróbować nazwać własne doświadczenia życia u boku narcyza. Na scenie pojawi się cykl przemocy psychicznej, przez który przeszła. Spektakl przeznaczony jest dla widzów dorosłych. Wstęp płatny.

W Teatrze im. J. Osterwy w Gorzowie z kolei dziś oraz jutro obejrzeć będzie można przygody „Dzieci z Bullerbyn". Adaptacja Zdzisława Jaskuły łączy w sobie dwa światy. W pierwszym spotykamy dorosłe już „dzieci" z Bullerbyn, które - na zaproszenie Lisy - po latach wracają do miejsca swojego dzieciństwa. Wspomnienia ożywają, a bohaterowie zaczynają odnajdywać dawne wersje samych siebie. W drugim świecie poznajemy małych mieszkańców Bullerbyn. Natomiast we wtorek oraz w środę o godz. 9:30, na scenie kameralnej Osterwy „zaszczeka" sympatyczny, bajkowy piesek - „Karmelek". To sztuka aktorsko-lalkarska napisana przez Martę Guśniowską. Karmelek to wiejski szczeniaczek, który trafił do najmniejszej wioski na świecie. Właściwie jeszcze nie wie, do czego się nadaje. Spektakl opowiada o różnych zwierzętach, jest w nim m.in. krowa, owca, kura i kogut. Wstęp płatny.

WYBIERZ SIĘ

KOSTRZYN NAD ODRĄ

Pop i elektronika

Jutro o godz. 18, w Kostrzyńskim Centrum Kultury „Kręgielnia", wystąpi Dezydery. To trzydziestolatek, wokalista, kompozytor, producent, a przede wszystkim tekściarz, który łączy popowe melodie z elektroniką i hiphopowymi brzmieniami, nadając im poetycko, lekko „łobuzerski" styl. Jako nastolatek z dużym powodzeniem prowadził kanał na YouTube. Zadebiutował w 2020 roku EPką „Chyba", a w 2022 roku swoją premierę miała druga „Potrafię latać", zaś w 2024 roku zmodyfikowana „Chyba (Akustycznie)". Wcześniej, od 2011 roku, pod pseudonimami: „Masterczułek", „Czułek" i „Dezy" tworzył vlogi o tematyce gamingowo-lifestyle'owej, gromadząc wokół siebie ponad milionową społeczność. Kilka lat temu postanowił jednak zaryzykować stawiając na muzykę i śpiew. Na początku 2025 związał się z wytwórnią „Kayax", a jego debiutancka płyta ukazała się w październiku ubiegłego roku. Wstęp płatny.
JERRY

GORZÓW

Sztuka alchemii

FOT. ARCH. MOSART W GORZOWIE

Tylko do niedzieli w Miejskim Ośrodku Sztuki można obejrzeć wystawę autorstwa Patrycji Orzechowskiej i Pawła Sobczaka „Rozpuść i scal". Jej tytuł nawiązuje do jednej z podstawowych zasad alchemii. Oznacza proces rozpadu formy, by mogła narodzić się nowa. Wystawa jest spotkaniem dwóch odmiennych, lecz komplementarnych praktyk artystycznych, w tym transformacji materii, w efekcie której ziemia, ogień, minerały, glina i światło zadziałają jak narzędzia współczesnej alchemii.
Wstęp wolny.
JERRY

ŻARY

Bujając w obłokach

W niedzielę o godz. 18, w sali widowiskowej „Luna" Żarskiego Domu Kultury, wystąpi zespół „Ponad chmurami". Grupa od ponad 12 lat wykonuje poezję śpiewaną promując twórczość wybitnych poetek i poetów. W ich utworach można odnaleźć refleksje nad codziennością, głębokie przemyślenia oraz nastrój pełen nostalgii, który przenosi słuchaczy w sferę marzeń i zadumy. Koncert zatytułowany „Bujający w obłokach" to podróż po różnych etapach twórczości zespołu - od kameralnych utworów, które powstawały na początku istnienia grupy, po nowe kompozycje, dotąd nieznane szerokiej publiczności. Nieodłącznym elementem koncertu będzie urozmaicona oprawa instrumentalna z gitarą akustyczną (Nikodem Jacuk), ukulele (Katarzyna Jacuk), wiolonczelą (Adam Garnecki) oraz gitarą basową (Karol Wiciński). Zabrzmią z pewnością m.in. „Tamaryszki", „Z dwóch stron okna" czy „Małe niebo". Wstęp płatny.
JERRY

eprasa.pl bd0d45656b

Piękno waltorni i hybrydowy koncert

Dziś o godz.19, w Filharmonii Gorzowskiej wystąpi kwartet waltorniowy, zaś w tej w Zielonej Górze nastąpi ciekawe połączenie wiolonczeli z big bandem. Czegoś takiego, chyba jeszcze w tej sali nie było!

Jarosław Wnorowski

Gorzowski koncert otworzy uwertura do opery romantycznej „Wolny strzelec" - Carla Marii Webera. Premiera dzieła odbyła się w 1821 roku w Berlinie. Jest to opowieść o miłości, walce z przeznaczeniem i paktach z siłami nieczystymi zaadaptowana do formuły teatru muzycznego. Następnie żeński Horn Tastic Quartet w składzie: Joanna Wydmuch, Edyta Karun, Natalia Kawecka oraz Karolina Gniazdowska (waltornie), zagra rzadko wykonywany „Konzertstück F-dur" - Heinricha Hüblera. To dzieło nie tylko ukazuje pełnię możliwości technicznych solowych rogów, ale też pozwala usłyszeć piękno tego instrumentu. HornTastic Quartet powstał w 2020 roku w wyniku wieloletniej przyjaźni i chęci wspólnego tworzenia muzyki. Jest to pierwszy w Polsce zespół waltorniowy tworzony przez same kobiety. Waltornistki są muzykami Polskiej Orkiestry Sinfonia Iuventus im. Jerzego Semkowa, Polskiej Orkiestry Radiowej oraz Warszawskiej Opery Kameralnej. Brały udział w licznych kursach mistrzowskich. Zwieńczeniem wieczoru będzie IV Symfonia d-moll - Roberta Schumanna, z 1841 roku. Orkiestrę Filharmonii Gorzowskiej poprowadzi Przemysław Neumann. To absolwent Akademii Muzycznej w Poznaniu, kierunku dyrygentura symfoniczno-operowa. Już podczas studiów nawiązał współpracę z poznańskim Teatrem Muzycznym, do roku 2013 będąc dyrygentem i kierownikiem orkiestry, zaś od 2024 roku jest Dyrektorem Naczelnym i Artystycznym Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie.

FOT. STRONA ARTYSTY

W Zielonej Górze partię solową koncertu na wiolonczelę i big band zagra Yibai Chen

W Zielonej Górze czeka nas natomiast muzyczny przekładaniec i trzy różne spojrzenia na rolę orkiestry. Wieczór rozpocznie utwór współczesnej polskiej kompozytorki Ewy Fabiańskiej-Jelińskiej. To muzykolog, doktor habilitowany sztuk muzycznych oraz adiunkt w Instytucie Kompozycji i Teorii Muzyki Akademii Muzycznej w Poznaniu. Jej kompozycja „Metamorfozy" została zamówiona specjalnie na tę okazję i zabrzmi tego wieczoru po raz pierwszy. Usłyszymy ponadto Symfonię d-moll - Césara Francka - jedno z najważniejszych dzieł symfonicznych końca XIX wieku i jedyne tego typu dzieło w dorobku kompozytora, ukończone w 1888 roku. Początkowo krytykowane, zyskało ogromną popularność po śmierci twórcy i jest znane z emocjonalnej głębi oraz innowacyjnego brzmienia. Wyjątkowo składa się z trzech części (zwyczajowo w tej formie są cztery). Tonacja d-moll jest ulubiona przez kompozytorów do dzieł żałobnych, pełnych smutki i nostalgii, a najlepszym tego przykładem niech będzie „Requiem" - W.A. Mozarta. W składzie orkiestry, w Francka znalazły się dlatego nisko brzmiące instrumenty jak klarnet basowy czy obój altowy (rożek). Wisienką na torcie tego wieczoru będzie jednak „Koncert na wiolonczelę i big band" - Friedricha Guldy. To wybitny pianista klasyczny kojarzony z jazzem. Jego zamiarem było świadome przekroczenie granic między muzyką klasyczną a jazzem oraz próba stworzenia nowej, hybrydowej formy koncertu. Partię wiolonczelową wykona pochodzący z Chin - Yibai Chen. To drugi laureat konkursu im. Królowej Elżbiety w Brukseli w Belgii w 2022 roku i piątym laureatem Międzynarodowego Konkursu im. Czajkowskiego w Moskwie w Rosji w 2019 roku. Orkiestrę Filharmonii Zielonogórskiej poprowadzi Radosław Droń. To absolwent Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu w klasie dyrygentury prof. Marka Pijarowskiego. Wstępy płatne.

REKLAMA 0011515011

eprasa.pl bd0d45656b

Gazeta Lubuska
Piątek, 8.05.2026

WIEMY, KIM JEST TAJEMNICZA KOBIETA ZE ZDJĘCIA

- Chodź tu szybko, zobacz w „Gazecie Lubuskiej" na zdjęciu z 1958 roku jest twoja mama! – usłyszała od męża Julita Rzepecka. Serce zaczęło jej mocniej bić. Chciała natychmiast przejrzeć wszystkie stare dokumenty. I odkryć nową historię.

Leszek Kalinowski

W domu Julity Rzepeckiej „Gazeta Lubuska" jest od zawsze. - Teraz też mamy prenumeratę. Tym razem mąż szybciej zabrał się za czytanie i to on zauważył zdjęcie mojej mamy - opowiada Zielonogórzanka. -Gdy mnie zawołał, ciśnienie mi tak skoczyło, że nie pozwolił mi zająć się od razu przeglądaniem dokumentów mamy. Całą noc nie spałam. Ale o 6.00 już nie wytrzymałam. Powyciągałam z szafy stare albumy, teczki, bo moja mama skrzętnie wszystkie papiery przechowywała.

Nie tylko oni rozpoznali na zdjęciu w gazecie Sylwię Budryk, bo tak nazywała się jej mama. Także kucharka z ratuszowej stołówki, gdzie na obiady chodziła mała Julita ze swoją mamą. Miło było jej usłyszeć to od dawnej znajomej.

Tombola z Mikrusem

Na zdjęciu z filmu z Festynu Prasowego „Gazety Zielonogórskie" (dziś „Gazeta Lubuska") z 1958 roku (znaleźliśmy go po blisko 70 latach w redakcyjnym sejfie) widać mężczyzn z czarnymi opaskami zawiązanymi na oczach. Za nimi stoi kobieta. Jak się okazuje, to mama pani Julity.

Jedną z atrakcji festynu była loteria Tombola. Można było wygrać w niej samochody - Mikrusy (jednego w Gorzowie, jednego w Zielonej Górze), a także motocykl marki Jawa, motorowery, pralki, aparaty fotograficzne „Wola", „Mazur" czy... skierowanie na wczasy! Losowania dokonała podczas festynu społeczna komisja, wybrana spośród publiczności, pod okiem notariusza i przedstawiciela wydziału finansowego zielonogórskiego magistratu, którym była mama pani Julity.

- Zawsze zastanawiałam się, dlaczego mama w albumie ze zdjęciami, trzyma wycięty z „Gazety Zielonogórskiej" artykuł o Tomboli, o wygranych numerach. Tam było też zdjęcie z losowania, z mamą w tle, ale wtedy nie bardzo kojarzyłam fakty. Teraz wszystko mi się zgadza - podkreśla nasza stała Czytelniczka. I dodaje, że jej mama pracując w ówczesnym Prezydium Rady Narodowej zawsze była proszona o spisywanie protokołów, sprawozdań z narad, spotkań, różnych wydarzeń. Była rzetelnym pracownikiem, miała wyraźne pismo, bo kaligrafii uczyła się w szkole. I dlatego pewnie także na festynie zajęła się protokołami, sprawozdaniami. Wszystko, a zwłaszcza Tombola, musiało być zarejestrowane i podane do publicznej wiadomości.

Jagiełło nadał tytuł i ziemie

Pani Julita pokazuje nam przechowywane do dziś i publikowane w biuletynach związkowych sprawozdania autorstwa swojej mamy. Otwiera kolejne teczki z dokumentami, w których jest wszystko: świadectwa ukończenia szkół, indeks germanistyki na UAM w Poznaniu, gdzie zaocznie studiowała Sylwia Budryk. Są umowy o pracę, są pisma potwierdzające zawodowe awanse, m.in. w 1959 roku objęcie stanowiska kierownika wydziału finansowego. Ba, są nawet tabliczki, informujące w jakich dniach i godzinach mieszkańcy mogą przyjść ze swoimi sprawami do pani Sylwii.

- Moja mama była bardzo skrupulatna. Typowa urzędniczka. Wszystko miała posegregowane, opisane. Ja już taka dokładna nie jestem. Nie mam tak licznych dokumentów, pism - przyznaje pani Julita. - Po śmieci mamy zabrałam całe jej archiwum. Ale nie przeglądałam ich wszystkich tak kartka po kartce, jak teraz, gdy okazało się, że w „GL" pojawiło się zdjęcie mamy z 1958 roku.

Sylwia Budryk urodziła się 10 marca 1923 roku w Leningradzie.

- A tutaj jest zdjęcie rodziców mojej mamy: Władysława i Franciszek Kojałło - pani Julita pokazuje fotografię z napisami w języku rosyjskim. Mieszkali na Litwie, w Szyrwintach, 50 kilometrów od Wilna - opowiada i pokazuje dokument potwierdzenia szlachectwa z 1834 roku. Sam tytuł, wraz z ziemią, miał być nadany jeszcze w czasach Jagiełły. W innej teczce jest też herb rodowy - Jatrzębiec - namalowany przez Szymona Kobylińskiego.

Pożar Drezna

- Rodzice mamy zginęli w 1942 roku. W czasie wojennej zawieruchy mama razem ze swoją ciotką Marią znalazła się w Grajewie. Tam też ukończyła 8 klas szkoły radzieckiej z polskim językiem nauczania - mówi pani Julita i pokazuje szkolne świadectwa swojej mamy. - Zaczęła wtedy też pracować jako pomoc w firmie budowlanej w Kłajpedzie, skąd została wywieziona na roboty do Niemiec, do Drezna. Wtedy już nie miała kontaktu z ciotką.

Gdy dotarła na miejsce, była schorowana i wyczerpana. Okazało się, że w obozie była już ciotka Maria. Jako pielęgniarka, miała dostęp do czystego spirytusu. Dzięki temu mogła przekupić strażnika i zaopiekować się mamą pani Julity, która gdy tylko wydobrzała, zaczęła pracować jako pomoc kuchenna. Aż do dnia bombardowania Drezna przez aliantów.

- Mama wspominała, że cały obóz zaczął wtedy uciekać. Przede wszystkim na dworzec kolejowy - opowiada Zielonogórzanka. - Mama i ciotka też się tam znalazły i ledwo uszły z życiem, bo dworzec też był bombardowany.

Obie uciekły do Czechosłowacji, gdzie pracowały w międzynarodowym szpitalu pod zarządem radzieckim. Jesienią 1945 roku powróciły do Polski, do Jeleniej Góry. Z dokumentów wynika, że pani Sylwia pracowała wtedy w w oddziale PCK jako maszynistka. Potem przez krótki czas była nauczycielką na terenie powiatu lubańskiego. A następnie sekretarką w Publicznej Szkole Zawodowej w Lubaniu. Jednocześnie chodziła do liceum, by uzupełnić wykształcenie. Ale że na miejscu nie było wyższych klas, pojechała do Sławna. Egzamin dojrzałości zdała w Słupsku. Pracowała w urzędzie skarbowym i Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

Mistrzostwa w Paryżu

W 1952 roku Sylwia Budryk przyjechała do Zielonej Góry. Została nauczycielką w przedszkolu dla dzieci pracowników „Polskiej Wełny". Następnie zatrudniła się w wydziale finansowym magistratu. W ratuszu pracowała do emerytury.

- Dla mnie to mama całe życie pracowała w finansach. Jak trzeba było stemplować bilety na żużel, to mnie wołała, żebym przyszła to robić. Z chęcią wykonywałam to zadanie, bo wiedziałam, że dwa bilety były dla nas. Na stadionie siadałam zawsze blisko, żeby rówieśnicy od razu wiedzieli, że byłam z mamą na meczu żużlowym. O czym miała świadczyć brudna od żużlu biała bluzka - tłumaczy pani Julita, która była jedynaczką i dodaje: - Mieszkaliśmy w kamienicy przy ul. Grottgera, przy poczcie. Mama miała blisko do pracy. Przy ulicy Krzywoustego dopiero rozpoczynała się budowa bloków mieszkalnych. I tam potem się przeprowadziliśmy. Było tam też przedszkole. Niedaleko naszego bloku, ale ja i tak chodziłam przez płot. W szkole też było mnie pełno. Na świadectwie miałam same piątki i tylko jedną czwórkę... z zachowania.

Po podstawówce poszła do szkoły w „Lumelu", tam zaczęła trenować lekkoatletykę - rzut dyskiem. Sportowiec mógł pracować przez cztery godziny. Kolejne cztery godziny to trening.

- Pamiętam, że czasem był problem ze zwalnianiem mnie z pracy. Kierownik mnie nie bardzo lubił - wspomina nasza Czytelniczka. - Któregoś razu miałam jechać na obóz sportowy. Nic nie powiedziałam kierownikowi. Bo był na urlopie. Pomyślałam sobie, że jak wrócę z obozu w Zakopanem, to on kilka dni po mnie wróci z urlopu. Nic nie musi wiedzieć. I lecimy z Morskiego Oka z góry, a tu mój kierownik stoi i pierw-

FOT. MARIUSZ KAPAŁA

eprasa.pl bd0d45656b

sze słowa: - A co ty tu robisz? Trochę miał do mnie pretensję, ale mu przeszło, bo już byłam wtedy w kadrze narodowej.

W 1970 roku poleciała na pierwsze Mistrzostwa Europy Młodzieży w Paryżu.

- To było wydarzenie w tamtych czasach. Nasza ekipa była świetna, m.in. był w niej Bronek Malinowski. Moja mama wszystkie wycinki zbierała z gazet. Taka była dumna - podkreśla.

Potem pani Julita dała się poznać jako świetna zawodniczka drużyny koszykówki - „Lubuszanki".

Zespół trenował pod opiekuńczymi skrzydłami Polskiej Wełny. Dziś byśmy powiedzieli, że zakład był sponsorem strategicznym.

FOT. MARIUSZ KAPAŁA

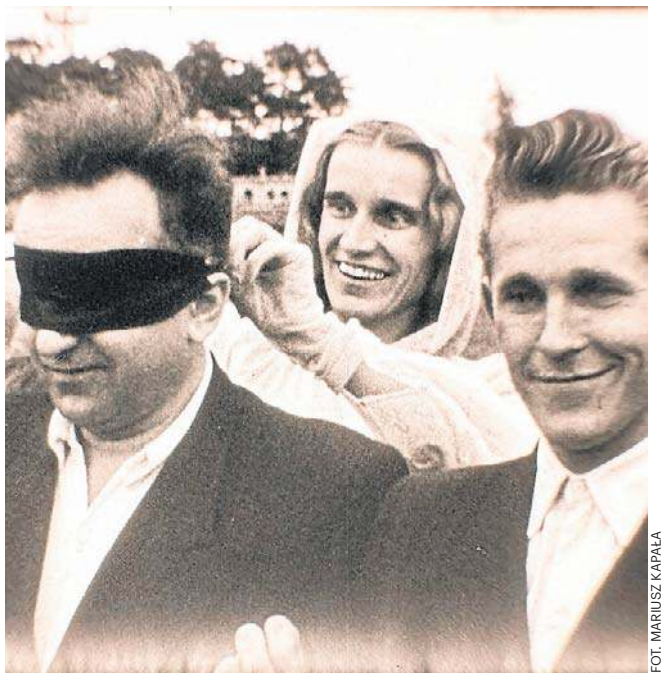

FOT. MARIUSZ KAPAŁA

Może i ja załapię się na długowieczność?

- Moja mama nawet jak przeszła na emeryturę, dorabiała sobie jeszcze w sądzie. Pamiętam panią sędzią Wiśniewską, która zawsze mamę chwaliła - wspomina Zielonogórzanka. - Mama zmarła w w 2013 roku w wieku 90 lat. Ciotka Maria dożyła 96 lat. Może się i ja załapię na tę długowieczność?

Pani Julita jest dziś szczęśliwą mamą: córki Ani i syna Tomka.

- Tomek ma 50 lat i mieszka w Niemczech, ma córkę, maturzystkę, która chce zostać policjantką. Idzie w ślady babci, bo ja też chciałam pójść do szkoły policyjnej w Szczytnie, ale trener mnie nie chciał puścić - śmieje się i pokazuje kolejne zdjęcia swojej rodziny. - Córka Ania mieszka we Włoszech. Tańczyła w zespole, została instruktorką, a potem pierwszą Polką konsekrowaną we Włoszech. Taką świecką siostrą, która składa śluby czystości, ubóstwa. Musi się sama utrzymać i pomagać chorym, potrzebującym... W Polsce to są Dziewice Konsekrowane, we Włoszech - Ordo Virginum. Czy się dziwię? Chyba nie. Ona była zawsze blisko Kościoła. Latała na nabożeństwa o 6.00 rano. Oooo tu mam jej zdjęcie. Jest taka pozytywna. Ma 44 lata, a wygląda jak nastolatka...

Pani Julita pokazuje następne zdjęcia i dokumenty, zaproszenie na konsekrację córki... Jak dawniej jej mama, tak i ona dziś przechowuje rodzinne pamiątki, zdjęcia kolejnych pokoleń rodziny. By historię rodu ocalić od zapomnienia.

Jak już pisaliśmy w poprzednich Magazynach „GL", w redakcyjnym sejfie, który był zamknięty na cztery spusty, bo zgubiliśmy klucz, odnaleźliśmy dwie puszki z filmami 35 mm w środku. Jak się okazało, są to filmy nakręcone w 1958 roku w Gorzowie i Zielonej Górze, będące zapisem Pikniku Prasowego, zorganizowanego przez „Gazetę Zielonogórską" poprzedniczkę „Lubuskiej". Film pokazuje podnoszący się z ruin Gorzów i Zieloną Górę zaledwie 13 lat po wojnie. Chcemy ten zapis udostępnić wszystkim Lubuszanom i zorganizować publiczne pokazy. Ale najpierw trzeba film oczyścić i zdigitalizować, co też ma wykonać Muzeum Filmowe w Łodzi. A my liczymy na wspomnienia Czytelników z tamtych czasów. Namawiamy ich do czytania odcinków o odnalezionych taśmach, zamieszczanych zarówno w papierowych wydaniach „GL" jak i w wydaniach internetowych (www.gazetalubuska.pl – najprościej je znaleźć w zakładce Magazyn). Liczymy, że ktoś z Państwa przeczyta nazwisko lub rozpozna na zdjęciach kogoś z rodziny czy znajomych i skontaktuje się z nami (Leszek.Kalinowski@Polskapress.pl). Dzięki temu wspólnie napiszemy dalszy ciąg tej historii.

MATERIAŁ INFORMACYJNY T-MOBILE

0011518049

T-Mobile odświeża ofertę na kartę. Atrakcyjne pakiety i niespodzianki w Magenta Moments – „Wszystko blisko"

Można być całuśnoblisko**, daleko**blisko**, momento**blisko **i pyszno**blisko**, bo każde blisko jest fajne! Od 6 maja, wraz ze startem nowej oferty T-Mobile na kartę, rusza nowa kampania reklamowa pod hasłem „Wszystko blisko", promująca ofertę T-Mobile na kartę oraz bonusy w Magenta Moments.**

Nieważne, czy jesteś online, czy offline, zawsze możesz być blisko drugiej osoby. To wszystko możesz mieć w T-Mobile na kartę dzięki dużej paczce Internetu 9999 GB przez rok (12 x 833,25 GB) z ofertą cykliczną od 35 zł, która zapewnia Ci swobodę korzystania ze smartfona oraz niespodziankom w Magenta Moments, które pozwalają na miłe spędzanie czasu razem.

Swoboda na start

Jedną z najważniejszych zmian jest podejście do samego początku korzystania z oferty. Pierwszy miesiąc za 0 zł to rozwiązanie, które niewątpliwie zachęca do spróbowania. Użytkownik nie musi już podejmować decyzji „w ciemno", ani zastanawiać się, czy oferta będzie dla niego odpowiednia – może ją po prostu sprawdzić w praktyce.

Co ważne, nie jest to wersja testowa czy ograniczona. W ramach pierwszych 30 dni dostępne są nielimitowane rozmowy, SMS-y i MMS-y oraz pakiet internetu, który bez problemu wystarcza na codzienne potrzeby. Dopiero po tym czasie użytkownik decyduje, czy chce zostać na dłużej. To prosty, przejrzysty model, który dobrze wpisuje się w rosnącą potrzebę elastyczności.

Aktywacja Roku Internetu z 9999 GB jest możliwa z ofertą cykliczną już od 35 zł w aplikacji Mój T-Mobile. Pierwszy pakiet 833,25 GB zostanie przyznany po aktywacji usługi, a kolejne po odnowieniu oferty cyklicznej. Aby skorzystać z oferty, wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile. Gotowe!

Internet, który nadąża za codziennością

Internet to dziś podstawowe narzędzie komunikacji i rozrywki. Korzystamy z niego w pracy, w podróży, w domu. Nawigacja, komunikatory, serwisy społecznościowe czy streaming działają w tle naszego życia.

Dlatego zwiększenie pakietów danych w odświeżonej ofercie ma realne znaczenie. Każdy z dostępnych wariantów został wzbogacony o dodatkowe gigabajty. W ofercie cyklicznej GO! M za 35 zł klient otrzyma 50 GB internetu (w tym 20 GB po doładowaniu), w ofercie GO! L za 45 zł otrzyma 150 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), a w opcji GO! XL za 50 zł aż 300 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), co przekłada się na większy komfort korzystania z telefonu. Zamiast kontrolować zużycie danych, można po prostu korzystać z sieci bez stresu i bez ograniczeń.

To zmiana, która może wydawać się subtelna, ale w praktyce robi dużą różnicę. Internet przestaje być czymś, co trzeba „oszczędzać", a zaczyna być naturalnym elementem codzienności.

9999 GB, czyli koniec liczenia – z ofertą cykliczną już od 35 zł

Jednym z najmocniejszych elementów oferty jest tzw. Rok Internetu, czyli aż 9999 GB danych (12 x 833,25 GB) do wykorzystania w skali roku. W praktyce oznacza to setki gigabajtów miesięcznie – ilość, która dla większości użytkowników eliminuje potrzebę jakiejkolwiek kontroli zużycia. Streaming w wysokiej jakości, wideorozmowy, praca zdalna czy rozrywka online przestają być czymś, co trzeba planować. Internet jest po prostu dostępny wtedy, kiedy jest potrzebny.

Aktywacja tej opcji została maksymalnie uproszczona. Wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile.

Nie tylko usługi – także doświadczenia

Współczesne oferty telekomunikacyjne coraz częściej wychodzą poza schemat minut i gigabajtów. Użytkownicy oczekują czegoś więcej – rozwiązań, które realnie wpływają na ich codzienność.

I tutaj ważną rolę odgrywa program Magenta Moments. To przestrzeń, w której technologia spotyka się z codziennymi przyjemnościami. Użytkownicy mogą korzystać z ofert i okazji przygotowanych we współpracy z partnerami – m. in. w miejscach takich jak Pizza Hut, KFC czy Cinema City. To dodatki, które zmieniają sposób postrzegania oferty. Telefon przestaje być tylko narzędziem komunikacji, a zaczyna ułatwiać codzienne spotkania, wyjścia, zakupy, wspólne spędzanie czasu.

Rozrywka bez ograniczeń

Uzupełnieniem oferty są korzyści związane z rozrywką cyfrową. W wybranych pakietach użytkownicy mogą skorzystać z dostępu do YouTube Premium. Brak reklam, możliwość odtwarzania w tle czy pobierania treści offline to funkcje, które znacząco podnoszą komfort korzystania z platformy. W połączeniu z dużą ilością opcja ta tworzy wyjątkowo spójną ofertę.

Koniec technologicznych wymówek

Wszystkie te elementy składają się na jedną, wyraźną zmianę. Technologia przestaje być ograniczeniem, a zaczyna funkcjonować w tle – dyskretnie, ale skutecznie. Nie wymaga planowania ani kontroli, tylko po prostu działa. I właśnie dlatego coraz trudniej mówić o „technologicznym alibi". Bo skoro wszystko jest na wyciągnięcie ręki – szybkie, dostępne i wygodne – pozostaje już tylko skupić się na tym, co naprawdę ważne: relacjach, rozmowach i codziennych chwilach, które chcemy dzielić z innymi.

eprasa.pl bd0d45656b

Gazeta Lubuska
Piątek, 8.05.2026

GAMBIT NINY. WICEMISTRZYNI ŚWIATA W SZACHACH UCZY SIĘ W ZIELONEJ GÓRZE

Nina Bos z Akademii Szachowej Zielona Góra została wicemistrzynią świata juniorek do lat 10 w szachach szybkich w Serbii. Dziesięciolatka zdobywa tytuły mistrzyni także w szachach klasycznych i błyskawicznych. Akurat teraz bierze udział w kolejnym turnieju. Tym razem w hiszpańskiej Andaluzji.

Eliza Gniewek-Juszczak

Szachy uczą skupienia. Rozwijają kreatywne myślenie, bo trzeba policzyć ileś tam ruchów do przodu i wyobrazić sobie pozycje w głowie. Trzeba je rozgryźć. To jest praca umysłowa, rozwija myślenie - zachwala Nina Bos, gdy pytamy, co fajnego jest w szachach.

Tłumaczy, że to, ile ruchów do przodu uda się przewidzieć, zależy od pozycji na szachownicy i tempa gry. W zadaniach szachowych, gdzie nie ma dodatkowych emocji związanych z samą partią i trzeba po prostu znaleźć najlepsze rozwiązanie, można liczyć warianty dokładniej.

- W partii to zależy od sytuacji - czasem widzę kilka ruchów do przodu, a czasem więcej, jeśli są to ruchy wymuszone - mówi z uśmiechem.

Zaczęło się od serialu

Nina ma 10 lat i chodzi do czwartej klasy SP nr 18 w Zielonej Górze. Kiedy miała trochę więcej niż pięć lat, rekordy popularności bił serial „Gambit królowej". Oglądali go również rodzice Niny. - Julia Wotejnia-Bos i Wojciech Bos, niezwiązani w żaden sposób z szachami. Pani Julia jest notariuszem, a pan Wojciech tłumaczem przysięgłym języka niderlandzkiego.

- Postanowiliśmy, że kupimy szachy i od czasu do czasu pogramy. Pewnie, jak większość osób, znaliśmy tylko podstawy. Nina obserwowała nas i sama chciała spróbować. Szybko pojęła zasady, ale wtedy nie był to jeszcze jej czas - wspomina pan Wojciech.

- Na początku często przegrywałam, więc nie sprawiało mi to wtedy jeszcze takiej przyjemności i szybko przestałam grać - dodaje Nina.

W wieku siedmiu lat wróciła do gry na własnych warunkach. Sama sięgnęła po książki szachowe i zaczęła się uczyć.

- Poprosiłam o jakieś książki i po prostu zaczęłam od nowa, tym razem już poważniej - mówi.

- Nina bardzo szybko nas przerosła - przyznaje pan Wojciech z uśmiechem. Zaczęła chodzić na zajęcia szachowe. Niedługo potem wzięła udział w pierwszym turnieju, na którym, mimo zmagań ze znacznie starszymi zawodnikami, od razu zdobyła IV kategorię szachową.

Medal za medalem

Niecałe cztery miesiące po swoich siódmych urodzinach dziewczynka zdobyła srebrny medal mistrzostw Polski w swojej kategorii wiekowej.

- Nie spodziewaliśmy się, że to będzie jej pasja. Pojechaliśmy całą rodzinę na mistrzostwa, licząc na to, że będzie miała fajne wspomnienia. Ku zaskoczeniu wszystkich zdobyła medal, który dał jej dużo energii do ciężkiej pracy - mówi tata Niny.

Kiedy miała osiem lat, wygrała Mistrzostwa Polski w szachach klasycznych, szybkich i błyskawicznych. Dodatkowo w szachach szybkich została mistrzynią Europy i brązową medalistką Mistrzostw Świata oraz brązową medalistką Mistrzostw Europy w Szachach Błyskawicznych.

Jako dziewięciolatka zdobyła złoty medal Mistrzostw Polski w Szachach Błyskawicznych i srebrny w szybkich. W kwietniu została w Serbii wicemistrzynią świata juniorek do lat 10 w szachach szybkich.

- Gram też bardzo dużo turniejów treningowych, głównie z silnymi, starszymi ode mnie zawodnikami. Często gram też online, z przeciwnikami z całego świata. Zawsze staram się wypaść tak samo dobrze - zapewnia.

- Pierwszy moment większego wzruszenia był wtedy, gdy Nina odbierała medal na Mistrzostwach Świata w Albanii i wychodziła z flagą. To był jej pierwszy sukces na arenie międzynarodowej - wspomina pan Wojciech.

Dziewczynka brała już udział w turniejach szachowych w Albanii, Gruzji, Czechach, Niemczech, Grecji, Czarnogórze, Chorwacji czy we Włoszech. Ta lista ciągle się wydłuża.

- Planując wakacje, zawsze najpierw patrzymy, jak się układają terminy najważniejszych turniejów w tym okresie - mówi pan Wojciech.

FOT. ELIZA GNIEWEK-JUSZCZAK

Nina z tatą podczas wizyty w redakcji Gazety Lubuskiej

Nina przyznaje, że turnieje to też okazja do poznawania świata.

- W szachach bardzo fajne jest to, że przy okazji wyjazdów zwiedza się dużo ciekawych miejsc i poznaje ludzi z całego świata - mówi. Choć sukcesy mówią same za siebie, Nina nie lubi się nimi chwalić. Przy szachownicy jest bardzo pewna siebie i uwielbia atakować, poza nią bywa po prostu nieco nieśmiałą dziesięciolatką.

Łączenie wody z ogniem

- Duma to dobre określenie, ale też postrzegamy Ninę nie tylko w kategoriach utalentowanego młodego sportowca, ale przede wszystkim dziesięcioletniej dziewczynki, która ma swoje dziecięce sprawy, problemy, a za chwilę wkroczy w wiek nastoletni. Dominują szachy, ale to nie jest jedyne co ją interesuje - wyjaśnia tata Niny.

Dziesięciolatka należy do zielonogórskiej Akademii Szachowej, ale też do UKS AS Zielona Góra, w którym uprawia akrobatykę sportową. To wymaga zupełnie innych zasobów niż szachy: siły i gibkości.

- Bardzo lubię szachy, ale to duży wysiłek umysłowy, więc nie jestem w stanie robić tego bez przerwy. Potrzebuję też dużo ruchu, a akrobatyka mi to zapewnia - mówi z uśmiechem Nina.

Od pierwszej klasy gra na pianinie. Uwielbia czytać książki i rozwiązywać zagadki logiczne, jak na przykład sudoku.

Klub

- Nina w swojej kategorii wiekowej jest silna nie tylko na arenie krajowej, ale również europejskiej i światowej. Nie twierdzę, że z każdego wyjazdu będzie wracała z medalem, bo konkurencja w Europie i w świecie jest bardzo mocna, ale powinna być jedną z faworytek do medalu w kolejnych latach - zapowiada trener Niny, mistrz międzynarodowy Marek Matlak, który w latach 1996-2018 był trenerem kadry narodowej kobiet w szachach.

Informuje, że w ostatnich 2-3 latach klub szachowy Akademia Szachowa Zielona Góra uaktywnił się i osiąga coraz większe sukcesy. W miniony weekend, podczas mistrzostw wojewódzkich w Krośnie Odrzańskim, juniorki i juniorzy tego klubu zdobyli aż sześć medali.

Trener Matlak zauważa, że dzieci grające w szachy zwykle nie mają problemów z nauką w szkole, szybciej i efektywniej przyswajają wiedzę i są dobrymi uczniami.

- Posiadają między innymi umiejętność racjonalnego wykorzystywania czasu. Skoro w ciągu pięciu czy dziesięciu minut można rozegrać całą partię, to w tym samym czasie można też rozwiązać skomplikowane zadanie matematyczne - tłumaczy.

Szachy dobre na wszystko

Trener przekonuje, że szachy uczą logicznego myślenia, doskonalą pamięć, dodają pewności siebie, rozwijają wyobraźnię, uczą koncentracji, planowania, cierpliwości, umiejętności rozwiązywania problemów itd.

Nina zaczęła naukę rok wcześniej niż rówieśnicy. Od najmłodszych lat przejawiała duże zdolności matematyczne.

- W szkole idzie mi świetnie - mówi krótko. Już od pierwszej klasy ma indywidualny tok nauki z matematyki, a od czwartej - również z języka polskiego, bo nauka przychodzi jej z łatwością. Indywidualny tok sprzyja częstym wyjazdom.

- Szkoła „osiemnastka" bardzo nam pomaga. Nauczyciele są bardzo wyrozumiali i elastyczni. Dbają o to, żeby Nina mogła na bieżąco nadrabiać sprawdziany, kartkówki i nie miała zaległości. To ogromne ułatwienie, biorąc pod uwagę, jak często przebywamy poza Zieloną Górą - zaznacza tata zawodniczki. Nina mówi i czyta po angielsku.

- Bardzo dużo materiałów szachowych jest w tym języku. Nina szybko zrozumiała, że nie uczy się angielskiego dla ocen - chociaż w szkole akurat ma niemiecki - tylko, że to realne narzędzie do porozumiewania się. Kiedy jest na turnieju, musi się komunikować z sędziami. Jeśli ma jakiś problem, rodziców nie ma na sali - musi sobie radzić. I jak dotychczas to się udaje. To na pewno cenne doświadczenie życiowe, które udowadnia, że umiejętności, które zdobywamy, przydają się w realnych sytuacjach- wyjaśnia tata dziewczynki.

Turniej w hiszpańskiej Andaluzji

Teraz Nina bierze udział w Drużynowych Mistrzostwach Świata Osób Niesłyszących w Roquetas de Mar w regionie Andaluzja w Hiszpanii. To zawody, w których jako reprezentantka kadry narodowej kobiet, mierzy się z osobami dorosłymi.

Urodziła się z wadą słuchu - jest osobą niesłyszącą, ma wszczepione implanty słuchowe.

- Mam procesory, dzięki którym słyszę, ale bez nich całkowicie nie słyszę - mówi.

Choć starty w turniejach osób niesłyszących są jednym z elementów jej szachowej drogi, to dla Niny priorytetem pozostaje rywalizacja juniorska. Najbliższym celem są Mistrzostwa Europy Juniorów w Szachach Szybkich i Błyskawicznych, które odbędą się w wakacje w Rzeszowie. W listopadzie weźmie udział w Mistrzostwach Europy Juniorów w szachach klasycznych, tym razem w Grecji.

- Szachy wymagają dużego zaangażowania - czasu, wysiłku, nieustannych wyjazdów. Nasze życie układa się wokół nich - od turnieju do turnieju, od treningu do treningu. Nigdy nie był to plan. Nadal traktujemy to jako przygodę, która nie wiemy, ile potrwa. Na pewno, dopóki Nina będzie chciała ją kontynuować - zapewnia jej tata.

eprasa.pl bd0d45656b

MATERIAŁ INFORMACYJNY CZG12

0011512806

Tak obchodziliśmy Dzień Ziemi w CZG-12

CZG12
Celowy Związek Gmin

Podsumowanie akcji „Zamień odpadki na kwiatki"

Akcja organizowana przez Celowy Związek Gmin CZG-12 ma na celu zbiórkę zużytego, małogabarytowego sprzętu elektrycznego i elektronicznego oraz baterii, ale przede wszystkim uświadomienie mieszkańcom, że każde urządzenie zasilane na prąd czy baterie to odpad, którego nie możemy wyrzucić do zwykłego kosza na śmieci!

Pamiętać należy, że wspólnym elementem zużytych urządzeń jest to, że zawierają szkodliwe substancje: rtęć, ołów, kadm, chrom, freon, związki niklu czy polichlorowane bifenyle. Nieprawidłowe ich składowanie czy pozostawianie w lasach może niekorzystnie wpływać na organizmy żywe. Prawidłowe użytkowanie sprzętów nie stwarza ryzyka, jednak zużyte, popsute sprzęty muszą być poprawnie zutylizowane. Mimo szerokiej edukacji wciąż elektroodpady trafiają do koszy na zmieszane odpady komunalne.

W tegorocznej edycji akcji „Zamień odpadki na kwiatki", która trwała od 21 do 25 kwietnia br. zebrano ponad 3 tony odpadów, w tym ponad 400 kg baterii!!! Największą aktywność wykazali mieszkańcy gminy Ośno Lubuskie, którzy przynieśli 1134 kg odpadów. Przy okazji zbiórki zużytego sprzętu odbyły się wydarzenia współtowarzyszące, m.in. akcja „Uwolnij książkę" or-

ganizowana przez Bibliotekę Publiczną w Ośnie Lubuskim, Piknik „Gramy w zielone" organizowany przez Urząd Miejski w Lubniewicach, akcja sprzątania Łagowa oraz darmowe drzewka od Nadleśnictwa Torzym.

Gdzie na co dzień można oddać zużyte sprzęty elektryczne i elektroniczne?

Podstawowym punktem przyjmującym ten rodzaj odpadów jest PSZOK – Punkt Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych. Do PSZOK mieszkańcy mogą bezpłatnie oddawać m.in. przeterminowane leki, odpady budowlane, zużyte opony, meble czy właśnie elektrośmieci.

Celowy Związek Gmin CZG-12 dziękuje wszystkim zaangażowanym w obchody Dnia Ziemi i zaprasza do udziału w akcji już za rok!

W wyrobieniu nawyków ważna jest także edukacja - mali ekolodzy w ZUOK Długoszyn!

W ramach działań edOukacyjnych związanych z projektem pt. **„Modernizacja i rozbudowa linii do sortowania odpadów komunalnych CZG-12 w Długoszynie"** Zakład Unieszkodliwiania Odpadów Komunalnych w Długoszynie odwiedzają dzieci z okolicznych szkół i przedszkoli. Podczas zajęć dzieci poznają cel selektywnej zbiórki odpadów, przypominają sobie zasady selektywnej zbiórki odpadów, zapoznają się z pracą na hali sortowniczej oraz procesem przygotowania surowców wtórnych do recyklingu. Ważnym tematem rozmów są także zagrożenia, jakie stwarzają odpady (butelki, puszki, foliowe opakowania) pozostawiane w środowisku leśnym, przy rzekach i jeziorach.

Niestety, śmieci to nadal bardzo częsty obraz naszego najbliższego otoczenia, lecz dzięki systematycznej edukacji jesteśmy w stanie wyrobić właściwe nawyki i wspólnie zadbać o dobro naszej Planety! W gospodarce odpadami równie ważne jest usprawnienie procesu doczyszczania odpadów, zwiększenie ilości odpadów poddanych recyklingowi oraz masy odpadów zagospodarowanych w procesach innych niż recykling, co jest celem realizowanego projektu w CZG-12.

Projekt „Modernizacja i rozbudowa linii do sortowania odpadów komunalnych CZG-12 w Długoszynie" współfinansowany jest ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej jako Instytucja Wdrażająca dla działania FENX.01.04 Gospodarka odpadami oraz gospodarka o obiegu zamkniętym w ramach programu Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021-2027.

Całkowita wartość projektu: 20 464 696,95 zł

Dofinansowanie: 14 142 270,25 zł

Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ŚRODOWISKA i GOSPODARKI WODNEJ

eprasa.pl bd0d45656b

FOT. PIOTR CHARA

Gęsi białoczelne

FOT. PIOTR CHARA

Jesienne zlotowisko żurawi

Podczas, gdy jedni przyjeżdżali do parku narodowego obserwować ptaki w ich naturalnym środowisku, inni do tych ptaków strzelali. Turyści przecierali oczy ze zdziwienia, przyrodnicy załamywali ręce, niektórzy mieszkańcy mieli tego serdecznie dość. Zadowoleni byli tylko myśliwi. Już nie są. Właśnie, po 25 latach, zmienia się prawo. Polowania na ptaki w otulinie Parku Narodowego „Ujście Warty" będą zakazane.

Jakub Pikulik

PARK NARODOWY WOLNY OD ŚRUTU

Pani Anna Wielgach przyjechała do Słońska z dwiema przyjaciółkami spod Katowic. - Taki babski wypad - śmieje się. - Jesteśmy miłośniczkami przyrody, Park Narodowy „Ujście Warty" odwiedzamy już po raz trzeci. Nocujemy w agroturystyce, całe dnie spędzamy na spacerowaniu, obserwowaniu przyrody. Byłyśmy na pięknej wystawie w Ośrodku Muzealno-Edukacyjnym Parku Narodowego „Ujście Warty" w Słońsku, odwiedziłyśmy też kostrzyńską twierdzę. Piękne tereny, wspaniała przyroda. Specjalnie nie przyjeżdżamy tu jesienią i zimą, bo nie chcemy obserwować, ani nawet słuchać polowań, które się tutaj odbywają. Tylko o nich czytałyśmy. To barbarzyństwo, nie wiemy dlaczego tak się dzieje. Pytałyśmy pracowników parku narodowego, oni też nie potrafią tego logicznie wytłumaczyć - mówi pani Anna. „Gazeta Lubuska" problem polowań na ptaki nagłośniła we wrześniu ubiegłego roku, gdy właśnie rozpoczynał się sezon i myśliwi wychodzili na swoje pozycje. Materiał odbił się szerokim echem, sprawę nagłaśniały też ogólnopolskie media.

Z panią Anną rozmawiamy na ścieżce przyrodniczej „Ptasim Szlakiem" w Przyborowie, nieopodal Słońska. 4 km w linii prostej od tego miejsca, na wale przeciwpowodziowym, od 1 września do końca stycznia rok w rok ustawiali się myśliwi. Polowali na gatunki ptaków, które nie są objęte ochroną, ale które też w parku narodowym żyją. Zatrzymują się tu, szukając pożywienia, odpoczynku i schronienia. Mokradła, jak te w okolicy Kostrzyna i Słońska, to już ewenement. Kolejne takie są dopiero 800 km dalej, nad Biebrzą.

Strefa rażenia

Miejsce, z którego myśliwi strzelali do ptaków, parkiem narodowym już nie jest. To tzw. otulina. Jej statutowa funkcja to zabezpieczenie przedmiotu ochrony, czyli ptaków, przed zewnętrznymi zagrożeniami. Tymczasem w otulinie Parku Narodowego „Ujście Warty" było odwrotnie, tu główny przedmiot ochrony - ptaki, były wypłaszane, ranione i zabijane w wyniku polowań. Polowań, które według przyrodników, były czysto rekreacyjne.

- Huk wystrzałów działa jak noworoczna petarda, wywołuje panikę i stres u zwierząt. Ptaki nie odlatują po pierwszym wystrzale. Prostują szyje, nasłuchują, stają się czujne. Po drugim, trzecim i kolejnych strzałach następuje paniczna ucieczka. Tysiące ptaków wielu gatunków wzbija się w powietrze. Panuje chaos. Rodzice oddzielają się od młodych, a odnalezienie później rodziny jest ogromnie trudne. Młode zostają bez rodziców. Widzimy młode żurawie krążące samotnie nad mokradłami, gdzie nocują. Krzyczą, szukając rodziców. Tak jak ludzkie rodziny rozbite podczas wojny - tłumaczy Piotr Chara. To fotograf, miłośnik przyrody. Sam pracował w „Ujściu Warty". Odszedł, bo nie mógł znieść bierności i bezradności wobec tego niszczącego zjawiska. Aktywnie działa na rzecz ochrony przyrody. Myśliwi, mówiąc bardzo delikatnie, nie darzą go sympatią.

- Często podczas spotkań z myśliwi mówią mi, że nie muszę się przedstawiać, bo „moja sława" mnie wyprzedza. Znają mnie doskonale z forów internetowych i grup dyskusyjnych. Dla nich jestem wrogiem. Od znajomego słyszałem, że jestem wymieniany w prawicowych telewizjach. Przykre, bo oprócz pustych haseł nie spotykam z drugiej strony troski o przyrodę, która teoretycznie powinna nas łączyć. Od ćwierć wieku znam niszczoną w wyniku polowań ogromną wartość mokradeł, ich obrona to kwestia nie heroizmu a przyzwoitości - mówi P. Chara.

Dowody na filmach

Pięć lat temu odłożył aparat i chwycił za kamerę. Fotografowanie piękna przyrody zamienił na dokumentowanie zagrożeń - zaniku mokradeł, wpływu inwazyjnych gatunków obcych i bezsensownego cierpienia ptaków wywołanego polowaniami zbyt blisko ich ostoi, w tym z terenów otuliny wokół parku.

- Myśliwi stawiają czatownie, ustawiają elektroniczne wabiki głosowe, rozstawiają na polach i łąkach sztuczne ptaki. Wszystko po to, by oszukać wylatujące z parku ptaki. Gdy dadzą się zwieść wtedy są ostrzeliwane śrutem. Problemem są śmieci. Niektórzy myśliwi to wręcz śmieciarze, pozostają po nich plastikowe łuski, opakowania po nabojach itp. Jeden z rolników z otuliny stracił kontrakt. Sprzedawał baloty siana ze swojej łąki do zoo. Ale w sianie były łuski, którymi krztuszą się zwierzęta. Koszenie łąk idzie wolniej, bo gilzy zatrzymują maszyny i powodują ich awarie - wylicza P. Chara. To nie wszystko. Myśliwi mają obowiązek zabrać ze sobą postrzelone zwierzę, ale gdy polowania prowadzone są zbyt blisko parku, to ranny ptak często zdoła do niego powrócić, a tam myśliwi wstępu nie mają. Efekt? Turyści, przyrodnicy, pracownicy parku znajdują na jego terenie ranne, okaleczone, konające i martwe ptaki.

- Można sobie tylko wyobrazić, jak taki widok działa na turystów. Jak coś takiego turystom mają wytłumaczyć pracownicy parku? Cel powołania parku, źródło zachwytu odwiedzających, skazywane jest na cierpienie. W imię czego? W imię rozrywki. Przerażają nas widoki upolowanych, dla zabawy klasy średniej, w bocianów Libanie, dudków, krasek a do nas przyjeżdżają dla tego hobby Włosi, Francuzi i krajowi myśliwi. Strzelają do naszych ptaków w miejscach powołanych dla ich ochrony. Taką funkcję w myśl prawa i oczekiwań społecznych pełni otulina parku narodowego. Bez takich miejsc jak Ujście Warty ptaki nie przeżyją na długiej trasie wędrówki. Dlatego są chronione. Praktyka pokazuje jednak, że to pozorna ochrona. Zatrzymują się tutaj, żeby odpocząć, tymczasem funduje im się traumę w postaci stresu, ran, śmierci, rozbijania rodzin. To pospolite chuligaństwo. nie mające nic wspólnego z szerokim, środowiskowym podejściem do łowiectwa - nie przebiera w słowach Chara. Nosi ze sobą pen drive i gdzie może, pokazuje filmy, na których widać żywe jeszcze ptaki, ranione w skrzydła, nogi, oczy. Zdezorientowane pływają bez celu po rozlewiskach parku narodowego.

- Jedną gęś tundrową zabrałem do kajaka, do leczenia. Udało się wyciągnąć śrut i wypuścić. Łącznie trzy razy próbowałem pomóc, to znaczy zabrać, wyciągać śrucinę i później rehabilitować je u mnie na podwórku, w kojcu psa. Rannym ptakom znosiłem świeżo ściętą zieleninę. Gdy ładnie jedzą, to znak, że zdrowieją. Ale tylko jedna historia miała pozytywny finał - przyznaje Chara.

Jego filmy robią wrażenie, ale jeszcze większe robią polowania widziane na własne oczy.

- Zacząłem zabierać polityków, decydentów, ważne osoby na takie polowania. Ale nie w miejsca, gdzie gromadzili się myśliwi. Byliśmy, po drugiej stronie mokradeł. Doskonale było słychać huki wystrzałów, na własne oczy można było zobaczyć panikę wśród ptaków. Wszystkich. Również tych, objętych ochroną. Myśliwi do nich w teorii nie strzelają, ale skutecznie je płoszą, niszczą to, po co park został powołany. Huk niesie się daleko w głąb parku narodowego - tłumaczy Chara. W 2022 r., gdy rządziło jeszcze Prawo i Sprawiedliwość, do ministerstwa środowiska dotarły jego pierwsze nagrania. Urzędnicy byli tak zszokowani, że prosili o kolejne materiały. - Już wtedy coś drgnęło, zaczęło się zmieniać, urzędnicy zainteresowali się problemem, a o polowaniach na ptaki w ich ostojach zaczęło być głośno - wspomina przyrodnik. Wśród nagrań są m. in. takie, na których widać polowania w sąsiedztwie ... siedziby Parku Narodowego „Ujście Warty". Pracownicy, dyrekcja, goście parku mogli z własnych okien „podziwiać" polujących myśliwych i spadające na ziemię ptaki. Nieco dalej jest

eprasa.pl bd0d45656b

stacja paliw. Jej pracownicy kilka razy wzywali na miejsce policję. Zatrzymujący się tutaj kierowcy skarżyli się na śrut, który lądował na dachach ich samochodów.

„Płakałem ze szczęścia"

Strzelali myśliwi z Polski, ale i z innych krajów. To tzw. dewizowcy, którzy płacili polskim kołom łowieckim za możliwość strzelania do ptaków z terenu otuliny parku narodowego. Ale nie wszystkim myśliwym taki stan rzeczy odpowiadał. W prywatnych rozmowach wielu uważało, że takie polowania są wątpliwe z moralnego punktu widzenia. Nie wszyscy chcieli w nich uczestniczyć.

- To burzy etos myśliwego. Niszczy to, na co pracowały pokolenia myśliwych w całej Polsce. Robi się z nas morderców ptaków. Ale tak nie jest. W naszych szeregach jest masa ludzi, którym to się nie podoba. Ale nie mamy siły przebicia. Te polowania robią nam czarny PR. Tym bardziej teraz, kiedy myśliwi są na świeczniku. Można było sobie dać z nimi spokój już dawno temu - mówi nam anonimowo jeden z lokalnych myśliwych.

Otulina jest utworzona wokół całego Parku Narodowego „Ujście Warty". Do tej pory tylko około dziewięć procent jej powierzchni było wyłączone z polowań na ptaki. Obowiązywała tam „strefa ochronna zwierząt łownych". Piotr Chara i inni przyrodnicy od lat walczyli, aby strefę powiększyć tak, aby myśliwi nie polowali w bezpośrednim sąsiedztwie śpiących czy zimujących ptaków, 30 kwietnia Ministerstwo Klimatu i Środowiska poinformowało, że strefa ochronna została powiększona. Teraz będzie obejmowała 60. proc. otuliny. W praktyce oznacza to, że myśliwi zostali odsunięci od najwrażliwszych przyrodniczo miejsc. Będą mogli polować dalej, na polach ornych, gdzie dochodzi do ewentualnych szkód rolniczych a polowania tam nie będą wypłaszały ptaków z Parku. „Rozporządzenie podpisane. Płakałem dziś ze szczęścia. 25 lat marzyłem o tej chwili" - napisał nam Chara na whatsappie 30 kwietnia późnym wieczorem.

Potraktowani z buta

Ale szczęście przyrodników to zmartwienie samorządów i irytacja myśliwych. 6 maja w Witnicy zwołano sesję nadzwyczajną Rady Miejskiej, aby przyjąć protest wobec rozszerzenia strefy ochronnej. Władze gminy zdecydowały się na ten krok, mimo że ministerialne rozporządzenie zostało już podpisane i uchwała gminy nie będzie miała mocy sprawczej. W ślady Witnicy poszedł Słońsk i Górzyca. Kostrzyn nad Odrą analizuje sytuacje (to informacja z 7 maja).

- Jesteśmy w nieco innym położeniu, niż nasi samorządowi partnerzy. W naszej gminie nie ma terenów rolniczych. Ale mamy myśliwych i wędkarzy, chcemy z nimi porozmawiać. Rozumiemy potrzebę ochrony przyrody, ale solidaryzujemy się też naszymi sąsiadami. Decyzję podejmiemy w najbliższym czasie - mówi „Gazecie Lubuskiej" Andrzej Kunt, burmistrz Kostrzyna nad Odrą. Burmistrz Witnicy Agnieszka Chudziak, wójt Słońska Janusz Krzyśkówi i wójt Górzycy Tomasz Stupienko wypowiadają się dużo mniej dyplomatycznie.

- Zostaliśmy kompletnie pominięci na etapie konsultacji. Wysyłaliśmy swoje wątpliwości, opinie, uwagi. Nie dostaliśmy z ministerstwa żadnej odpowiedzi. Minister Dorożała (wiceminister klimatu i środowiska - dop. red.) dwa razy miał się z nami spotkać i nie przyjechał. O podpisaniu rozporządzenia dowiedzieliśmy się z internetu, nikt samorządów o tym nie poinformował. Ta uchwała to nie tylko gest solidarności wobec rolników i mieszkańców z naszej gminy, ale też sprzeciw wobec tego, jak potraktowano władze samorządowe - mówi „GL" A. Chudziak (Witnica).

- Co tu dużo mówić, zostaliśmy potraktowani z buta. Nikt z nami nie rozmawiał - nie przepiera w słowach T. Stupienko (Górzyca).

- Nie taka była umowa. Kiedy 25 lat temu powstawał park narodowy, gmina oddała tysiące hektarów. Teraz nie było żadnych konsultacji, ministerstwo ugięło się pod presją dosłownie kilku osób. To, co ministerstwo nazywa konsultacjami, to była jakaś farsa. Zostaliśmy zlekceważeni. Działam w imieniu moich mieszkańców i wyborców i zdecydowanie sprzeciwiam się powiększeniu strefy ochronnej. Natura to człowiek i powinniśmy działać w symbiozie, a nie obok siebie. Wydzieranie rolnikom kolejnych terenów to zły pomysł - grzmi J. Krzyśków (Słońsk). Włodarze i mieszkańcy gmin obawiają się, że teraz to na nich spadnie obowiązek pokrywania rekompensat za szkody rolnicze, będzie ograniczona możliwość wędkowania, spadnie wartość gruntów na terenach włączonej do strefy ochronnej, a gatunki inwazyjne, takie jak szopy pracze czy jenoty, będą się tam mogły swobodnie rozmnażać.

Na witnickiej sesji byli obecni przedstawiciele myśliwych, parku narodowego, ministerstwa, był Piotr Chara i rolnicy z terenu gminy.

- Ptaki tysiącami żerują na naszych polach. To gęsi, łabędzie i inne gatunki. Jesteśmy zdecydowanie przeciwni rozszerzaniu strefy ochronnej. Do tego dochodzi walka z szopami praczami. Przez całą zimę mam szopy w silosach z kiszonką. Przychodzą całe rodziny tych zwierząt i nie możemy sobie z nimi poradzić. Do tego dziki, które niszczą kukurydzę. Wilki podchodzą pod same domy. Jak mamy radzić sobie z tym wszystkim radzić? Mam całe swoje pole ogrodzić siatką? Chyba tak zrobię. Ogrodzę i nie wpuszczę nikogo - grzmiał podczas sesji Bronisław Bach, rolnik z Boguszyńca. - Możemy się emocjonować krzywdą biednych zwierzątek. Ale potem tu w Witnicy koło Pepco będziemy mieć stado stu dzików. Odstrzał ptaków jest marginalnym problemem. Nigdy nie widziałem żadnego myśliwego, który by strzelał do ptactwa z terenu naszej gminy. Tutaj nie ma typowych mokradeł, nie ma ptactwa. Są za to szopy pracze i jenoty, gatunki inwazyjne, które wyrządzają ogromne szkody. Rolnicy już teraz mają ogromne straty. Zniszczenie hektara łąki to około 1,5 tys. zł na naprawę szkód po dzikach. Stawia się życie zwierząt ponad życie ludzkie i gospodarkę. Rolników jest coraz mniej, uprawianie roli jest coraz mniej opłacalne. Poszerzenie strefy chronionej to kolejne kłody pod nasze nogi - mówi Rafał Ławniczak, rolnik z Białcza.

Swój głośny sprzeciw wyrazili także myśliwi. Poszerzenie strefy ochronnej oznacza, że koła tracą obwody łowieckie. Tereny, które staną się strefą ochronną trafią pod opiekę parku narodowego. To park będzie prowadził tam odstrzał i odławianie gatunków inwazyjnych (może to zlecić myśliwym) i park będzie wypłacał odszkodowania za ewentualne straty.

- 25 lat temu już oddaliśmy nasze obwody łowieckie na rzecz parku narodowego, teraz zabiera nam się kolejne. Myśliwi polują na ptactwo łowne, na gęsi i kaczki, a nie na chronione gatunki. Jak w strefie ochronnej będzie prowadzona walka z ASF, ptasią grypą, czy gatunkami inwazyjnymi i obcymi? Kto będzie nad tym panował? Park Narodowy? Gospodarowaliśmy na tych terenach od czasów powojennych i teraz nam się te tereny zabiera. Przed laty gminy zgodziły się na takie granice parku na rodowego i otuliny oraz zasady polowań. Teraz te zasady są odgórnie zmieniane - mówi Robert Złoczewski ze Związku Zawodowego „Wspólna Sprawa", reprezentującego i walczącego o interesy myśliwych. - Po wprowadzeniu zmian sześć tysięcy hektarów terenów będzie wyłączonych z gospodarki łowieckiej - dodaje.

Piotr Chara podczas sesji pokazywał filmy, które zdecydowanie nie podobały się myśliwym. Było na nich widać ranne ptaki, polowania w otulinie parku, pozostawiony śrut czy myśliwych polujących w sąsiedztwie siedziby parku narodowego. Myśliwi zarzucili Charze grę na emocjach i nietrzymanie się faktów.

- To nic nowego. Znam się z tymi panami doskonale. Jeżdżą wszędzie, gdzie jest dyskusja o zwiększeniu stref ochronnych wokół parku narodowego - mówi P. Chara.

Pytania o pieniądze

Przedstawiciele Ministerstwa Klimatu i Środowiska starają się rozwiewać wątpliwości mieszkańców i samorządowców. Podkreślają, że strefa ochronna objęła w zdecydowanej większość łąki, a nie pola uprawne.

- Po pierwsze, ustanawiamy strefę ochronną na terenie otuliny, która już istnieje. Nikt nie mówi o jej powiększaniu. W strefie ochronnej dalej będzie można na dokładnie takich samych zasadach uprawiać pola, będą takie same zasady dotyczące budownictwa czy turystyki. Będzie można tam pływać kajakami, spacerować czy wędkować. Zmiana jest jedna. W strefie ochronnej nie będzie można polować na ptaki łowne. Strefa formalnie będzie podlegała pod park narodowy i to park będzie zlecał odstrzał dzików czy gatunków inwazyjnych. Dla mieszkańców nie zmienia się nic, te zmiany nie dotykają ludzi - zapewnia Agnieszka Niemczynowicz z Ministerstwa Klimatu i Środowiska. Teraz to Park Narodowy będzie płacił za szkody rolnicze. Wcześniej robiły to koła łowieckie. Samorządowcy mają jednak wątpliwości, czy park będzie co roku otrzymywał wystarczająco wysokie subwencje, żeby pokrywać straty. Boją się, że za jakiś czas ten obowiązek zostanie przerzucony na samorządy.

- Nowe przepisy zostały skonstruowane w taki sposób, aby zachować równowagę pomiędzy potrzebami ochrony przyrody a interesem lokalnych mieszkańców. Na obszarze strefy ochronnej nadal możliwe będą działania związane z kontrolą populacji zwierząt, w tym odstrzały redukcyjne, sanitarne, a przede wszystkim eliminacja gatunków inwazyjnych. To bardzo ważne, ponieważ skuteczna ochrona przyrody wymaga aktywnego zarządzania, a nie jedynie biernej ochrony - zapewnia Jolanta Gaczyńska, zastępca dyrektora Parku Narodowego „Ujście Warty". Przyznaje jednak, że jeśli chodzi o kwestie ewentualnych szkód wyrządzanych przez zwierzęta łowne na terenach objętych strefą ochronną, obecnie trudno jednoznacznie określić, jaka będzie ich skala. - Będzie to zależało od wielu czynników, w tym sytuacji przyrodniczej i lokalnych uwarunkowań w poszczególnych sezonach. Zgodnie z obowiązującymi przepisami szkody będą szacowane przez Służbę Parku Narodowego, a kwestie związane z wypłatą odszkodowań realizowane będą w oparciu o obowiązujące regulacje i zabezpieczone w tym zakresie rozwiązania systemowe - tłumaczy. Władze parku przyznają, że powiększenie strefy ochronnej oznacza nowe zadania dla Służby Parku i Straży Parku. - Zakres obowiązków z pewnością się zwiększy, dlatego zgodnie z oceną skutków regulacji przewidziano możliwość wzmacniania kadrowego służb odpowiedzialnych za realizację tych zadań - przyznaje J. Gaczyńska.

- Koła łowieckie same na siebie ukręciły ten bat. Od lat sami się o to prosili. Wiedzieli, jak wielkie kontrowersje wywołują polowania na granicy parku. Polowali tak blisko, jak się dało, wyciskali z parku ile się dało, organizowali polowania dla myśliwych z zagranicy, zarabiali na tym duże pieniądze. Wystarczyło, żeby oddalili się od granic parku, żeby dali spokój tym ptakom w miejscu, gdzie szukają one schronienia i odpoczynku - mówi „GL" Rafał. To turysta, którego spotykamy podczas spaceru po tzw. „betonce" w okolicy Przyborowa. Jest majowe popołudnie, w tle słychać śpiew ptaków. - Teraz już będą tu bezpieczne - mówi nasz rozmówca.

Zdjęcia i filmy Piotra Chary można obejrzeć na: www.gazetalubuska.pl

REKLAMA 0011515165

Samodzielny Publiczny Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Międzyrzeczu

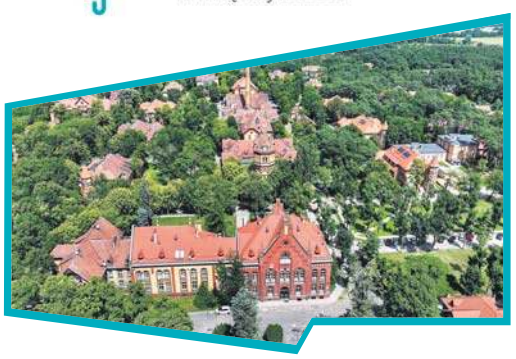

WSPARCIE DLA CENTRUM ZDROWIA PSYCHICZNEGO

Centrum Zdrowia Psychicznego działające przy Samodzielnym Publicznym Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Międzyrzeczu konsekwentnie rozwija swoją infrastrukturę i podnosi standard świadczonych usług, odpowiadając na rosnące potrzeby pacjentów w zakresie opieki psychiatrycznej.

Udało nam się pozyskać wsparcie finansowe w wysokości **486 686,70 zł,** dzięki któremu możliwy będzie zakup nowoczesnego środka transportu, sprzętu informatycznego oraz specjalistycznego oprogramowania.

Inwestycja ta bezpośrednio przełoży się na sprawniejsze funkcjonowanie zespołów środowiskowych, poprawę komunikacji oraz efektywniejsze zarządzanie procesem leczenia i wsparcia pacjentów.

Realizacja zadania odbywa się w ramach projektu grantowego Ministerstwa Zdrowia pn. „Wsparcie infrastrukturalne Centrów Zdrowia Psychicznego dla dorosłych oraz ośrodków / zespołów środowiskowej opieki psychologicznej i psychoterapeutycznej (I poziom referencyjny)" współfinansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021–2027, Priorytet VI Zdrowie.

Zakończenie realizacji projektu grantowego planowane jest do 31 grudnia 2026 roku.

Samodzielny Publiczny Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Międzyrzeczu
ul. Poznańska 109 | 66-300 Międzyrzecz | tel. 957 428 700 | **www.obrzyce.eu**

Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | Ministerstwo Zdrowia

eprasa.pl bd0d45656b

Gazeta Lubuska
Piątek, 8.05.2026

SUKCES DRZEMIE W KAŻDYM Z NAS

Rozmawiamy z Danielem Hutorem-Trzebiechowianinem, uczestnikiem XVI. edycji ,,The Voice of Poland". W 2024 roku brał udział (jako Danti) w preselekcjach do Eurowizji z piosenką ,,Queen of the night", gdzie w głosowaniu internetowym znalazł się w Top5 propozycji do konkursu. Obecnie możemy oglądać go w Teatrze Muzycznym Proscenium w Warszawie, w musicalu ,,Hair".

Jarosław Wnorowski

Już w jako dziecko uczestniczyłeś w imprezach muzycznych razem z dziadkiem. Takie były twoje muzyczne początki?
Tak, dziadek miał swój zespół, więc od niego się tak naprawdę wszystko wzięło. Dziadek jest naszym takim rodzinnym mentorem, jeśli chodzi o muzyczne zmagania. Wpoił to mojemu tacie, tata później bratu, no i mi. Tak jakoś się stało, że w sumie razem z moim tatą i bratem graliśmy na weselach, dożynkach czy innych takich wiejskich imprezach. Super to wspominam. Naprawdę miło było widzieć po prostu jak się ludzie do naszej muzyki bawią.

Kto na czym grał?
Tata obsługiwał klawisze, brat gitarę, no a ja oczywiście obstawiałem wokal. Nich Pan sobie wyobrazi, że z pianinem styczność miałem dopiero na studiach. Instrumenty to nie jest moja domena. Cały czas gdzieś się uczę gry na fortepianie. Wątpię, że kiedyś będę w tym perfekcyjny, ale nie muszę.

Ssam mam sporo znajomych, którzy są mistrzami wokalu, instrumentów dętych, czy na przykład perkusyjnych, nawet nie potrafiąc sobie podegrać choćby na keyboardzie. A pamiętasz swój debiut?
Mój pierwszy koncert, taki wie pan płatny, odbył się kiedy miałem trzynaście, czternaście lat. To były dożynki, ale co to była za miejscowość już nie pamiętam, na pewno to było też gdzieś tak z pięćdziesiąt kilometrów od Sulechowa, graliśmy cały czas w tym rejonie.

Masz te trzynaście lat. Nagle czujesz w sobie głos, że, to jest to, co chciałbym robić w życiu i co dalej? Bo pochodzisz z małej miejscowości. Trzebiechów leży na uboczu komunikacyjnym, jak sobie radziłeś?Co, co się wydarzyło po drodze, że trafiłeś potem na uczelnię w Zielonej Górze?
Widzi Pan, to że kogoś widzimy w telewizji, to nie znaczy, że tylko ta osoba ma talent. Takich osób są setki, tysiące, ale często barierą dla ich rozwoju są różne ograniczenia - czy to komunikacyjne, czy te pieniężne, no bo nie każdego stać, żeby gdzieś uczyć się muzyki, a z doświadczenia wiem, że to jest bardzo drogi biznes. To są też jedne z najdroższych studiów w Polsce, poza medycyną czy prawem. Ta „pustynia komunikacyjna" między Trzebiechowem, a resztą regionu na pewno mi sprawy nie ułatwiała. Natomiast miałem na swej drodze wielu naprawdę bardzo dobrych nauczycieli, Przemka Puchalskiego, pana Leszka Sawickiego, to już w Sulechowie. No i właśnie miałem o tyle dobrze, że gdzieś tak pod koniec podstawówki, a wtedy jeszcze edukacja dzieliła się na gimnazjum i podstawówkę, postanowiłem sobie, że pójdę do gimnazjum w Sulechowie. W międzyczasie zacząłem chodzić na liczne zajęcia dodatkowe, w tym te muzyczne i przygotowywałem się do koncertów. To był właśnie taki moment, w którym mogłem też poczuć, że mam wsparcie. No ale tak najwięcej myślałem o tym co chcę robić w liceum nr 3 w Zielonej Górze. Stale poznawałem jeszcze siebie i tak rozmyślałem, w którym kierunku chcę iść.

I to właśnie wtedy pojawiła się Twoja decyzja o studiach muzycznych?
To chyba Pana zaskoczę. Pierwszymi studiami, na które poszedłem, były prawnicze, ale zrezygnowałem z nich po pół roku. Jakoś tak nie było mi po drodze z obowiązującą na nich nadmierną dyscypliną, a ja nie chciałem mieć w wieku dwudziestu kilku lat od tego stresu siwych włosów, więc poszedłem na coś, co mi bardziej leżało. I była to muzyka na naszym Uniwersytecie Zielonogórskim i myślę, że to był strzał w dziesiątkę! Z perspektywy czasu, bardzo jestem dumny z tego wyboru.

Na co oraz na kogo tam natrafiłeś?
Na mnóstwo fantastycznych i życzliwych mi osób m.in. profesor Marzannę Rudnicką czy Bartłomieja Stankowiaka. Kierunek nazywał się „Edukacja artystyczna w zakresie sztuki muzycznej". Po czasie wiem, że dobrze zrobiłem idąc na edukację, bo teraz dzięki temu mogę gdzieś też uczyć muzyki. Przyszedłem na pierwszy rok nieco surowy z teorii, lepszy byłem za to z praktyki, bo w Sulechowie uczyłem się grać na gitarze, liznąłem ponadto trochę pianina, żeby po prostu dostać się jakoś na te studia. Studia były pięcioletnie. Wzbogaciłem podczas nich swój warsztat wokalny. Pamiętam, że pomimo stresu na zajęciach, czy to z dyrygowania, czy z chóru, ja zawsze po nich wychodziłem z większą wiedzą i cieszyłem się, że coś po prostu dostałem. Dużo jest podczas studiowania takich momentów, kiedy się zastanawiasz, czy ja się w ogóle tutaj nadaję? Zaczyna się człowiek porównywać do innych, a to jest najgorsze, co można zrobić na takich studiach, bo wtedy no po prostu działa się na swoją niekorzyść i nie buduje się siebie. Porównywać się powinno do wyłącznie do siebie z przeszłości. Mentorów warto mieć i ważne, aby z osobami, które gdzieś dały ci to wsparcie i szansę, po prostu trzymać kontakt i być im, tak po ludzku, wdzięcznym.

FOT. JAROSŁAW WNOROWSKI

Skończyłeś studia. W międzyczasie wziąłeś udział w The Voice of Poland. Jak do tego doszło?
Mało kto wie, ile lat trzeba się starać, aby w ogóle się tam dostać. To rzadko jest kwestia jednego zgłoszenia. Ja próbowałem naprawdę kilka razy i raz miałem taką sytuację, to chyba było w 2022 lub 2023 roku, że zgłaszałem się jednocześnie do „Szansy na sukces" i do „The Voice ..". Finalnie dali mnie do „Szansy na sukces", więc mówię super, ale gdzieś tam większym marzeniem był wtedy „The Voice". To się później spełniło, ale nie bez ciekawego splotu zdarzeń. W tamtym roku wysłałem zgłoszenie, a byłem wtedy w Bułgarii, na urlopie. Dostałem maila, że przechodzę dalej, mam się wkrótce pojawić w Warszawie i myślę: „co ja teraz zrobię, jak ja się teraz szybko dostanę do Polski?" Przyleciałem pierwszym możliwym samolotem, na eliminacje główne, a tu jeszcze trzeba przebić się i pokazać swoją osobowość, a to wymaga naprawdę dużej energii. No, ale finalnie się dostałem. Byłem na przesłuchaniach w ciemno i też w etapie bitew, na których odpadłem. Byłem w drużynie Michała Szpaka. Bardzo fajny człowiek. Nie widziałem, aby inni jurorzy z tak dużym zaangażowaniem podchodzili do wybranych przez siebie uczestników, do swoich drużyn. A Michał faktycznie do nas cały czas podchodził, pytał, jak się czujemy. No bo to jednak jest ważne, jak ktoś, kto ma doświadczenie w byciu w telewizji, w tej całej otoczce medialnej, podpowiada nam jak sobie z tym radzić. Wszędzie były kamery, wszędzie gdzieś tam wywiady, bo to jest show, a show wiadomo, rządzi się swoimi prawami. Ten pierwszy odcinek był naprawdę takim prezentem, którego nigdy nie zapomnę. Uaktywniła się wtedy dodatkowo relacja z moją babcią, która jest naprawdę ważna i której też sporo zawdzięczam. Babci, kiedyś obiecałem, że będzie w telewizji i cyk .... była!

Wiem, że związałeś się też z Teatrem Muzycznym Proscenium w Warszawie. Jak do tego doszło i jaką tam rolę pełnisz?
Nie mam gdzieś za plecami zaplecza agenta koncertowego, więc próbuję być wszędzie, realizować co mi przyjdzie do głowy, zgłaszam się sam i wysyłam swoje oferty.

Bo jak wiadomo, w branży są castingi ...
O tak, są castingi, trzeba na nie jeździć, trzeba się pokazywać oraz być w formie. Dwa lata temu w wakacje pojechałem faktycznie na casting w Proscenium. Pamiętam liczbę kandydatów. Było ich gdzieś około pięciuset, sześciuset. Ludzie jeszcze stali przed wejściem, dosłownie naprzeciwko Pałacu Kultury. Pojechałem bez oczekiwań i chyba o to w tym chodzi, bo jak sobie człowiek zrobił oczekiwania, to później jest mu źle, kiedy odpada, a różnie bywa. Teatr tez się rządzi swoimi prawami. Możemy doskonale śpiewać, tańczyć, grać, a po prostu nie pasuje jakaś jedna rzecz, która w konkretnym spektaklu jest ważna i ktoś po prostu wchodzi do danej roli. Z tym trzeba się pogodzić. Tak jest i tak zawsze będzie. Mieliśmy chyba cztery czy pięć etapów castingów. Teraz wcielam się w postać Woofa. Dzięki popularności naszego spektaklu w Teatrze Proscenium, mam zajęcie aż do 2027 roku, bo tak duże nim zainteresowanie skłoniło dyrekcję do decyzji o kolejnych wieczorach z „Hair".

O, to serdeczne Ci gratuluję! Ale na pewno masz już jakieś dalsze plany, bo takie mam wrażenie, że gdzieś tam podświadomie, mimo wszystko kontrolujesz swoją przyszłość, co bardzo dobrze o Tobie świadczy. Mówię, to jako trochę starszy kolega. Co chciałbyś zatem jeszcze osiągnąć i jakie masz marzenia?
Ja sobie tak ostatnio coraz częściej patrzę na ścieżkę kariery, którą już mam za sobą, a parę dni temu skończyłem aż, a może dopiero, dwadzieścia sześć lat. Wydałem niedawno EP-kę z tej okazji z trzema piosenkami, które powstały dwa lata temu. I tak sobie myślę, był The Voice, były studia, Szansa, nawet Eurowizja, teraz teatr. Tego jest już naprawdę sporo. Potem się zastanawiam, ile ja jeszcze mogę unieść, ile chcę unieść i ile mi faktycznie będzie dane. Marzy mi się nagranie płyty, takiej nietypowej. Coś takiego typowo z głębi mojej duszy, bo ja bardzo stronię od miast, od tego całego blichtru i dla mnie po prostu łąka, wieś, lasy to jest to, co kocham, co mnie wycisza i co też mnie napędza. Chociaż nie jestem po studiach aktorskich, myślę, że poradziłbym sobie w filmie. Aktorsko kształciłem się u pani Doroty Zięciowskiej w Warszawie.

Jakie masz rady dla osób troszkę młodszych od Ciebie, które mają te naście lat i nie chcą być kolejnym prawnikiem czy lekarzem. Co byś polecał tym, którzy gdzieś tam to marzenie mają? „I have a dream" i co dalej z tym?
Warto wcześniej stale próbować różnych rzeczy, sprawdzać, czy nie kochamy na przykład czegoś innego. Wtedy sprawdzić, co jest dla nas bardziej opłacalne, ale również miłe dla naszego serca. Trzeba próbować wyjeżdżać ze swojej miejscowości „w świat", zgłaszać się do wielu osób i wierzyć w siebie. Przede wszystkim wierzyć. Kiedy ta wiara jest silna to mnie ona bardzo napędza, a jak coś się już gdzieś pojawiło w naszej głowie, to nie ma po prostu bata, prędzej czy później spełni. Czyli trzeba być mega cierpliwym cały czas, konsekwentnym i zachować zdrowy umiar we wszystkim. Sukces drzemie w każdym z nas.

eprasa.pl bd0d45656b

PULS
#215

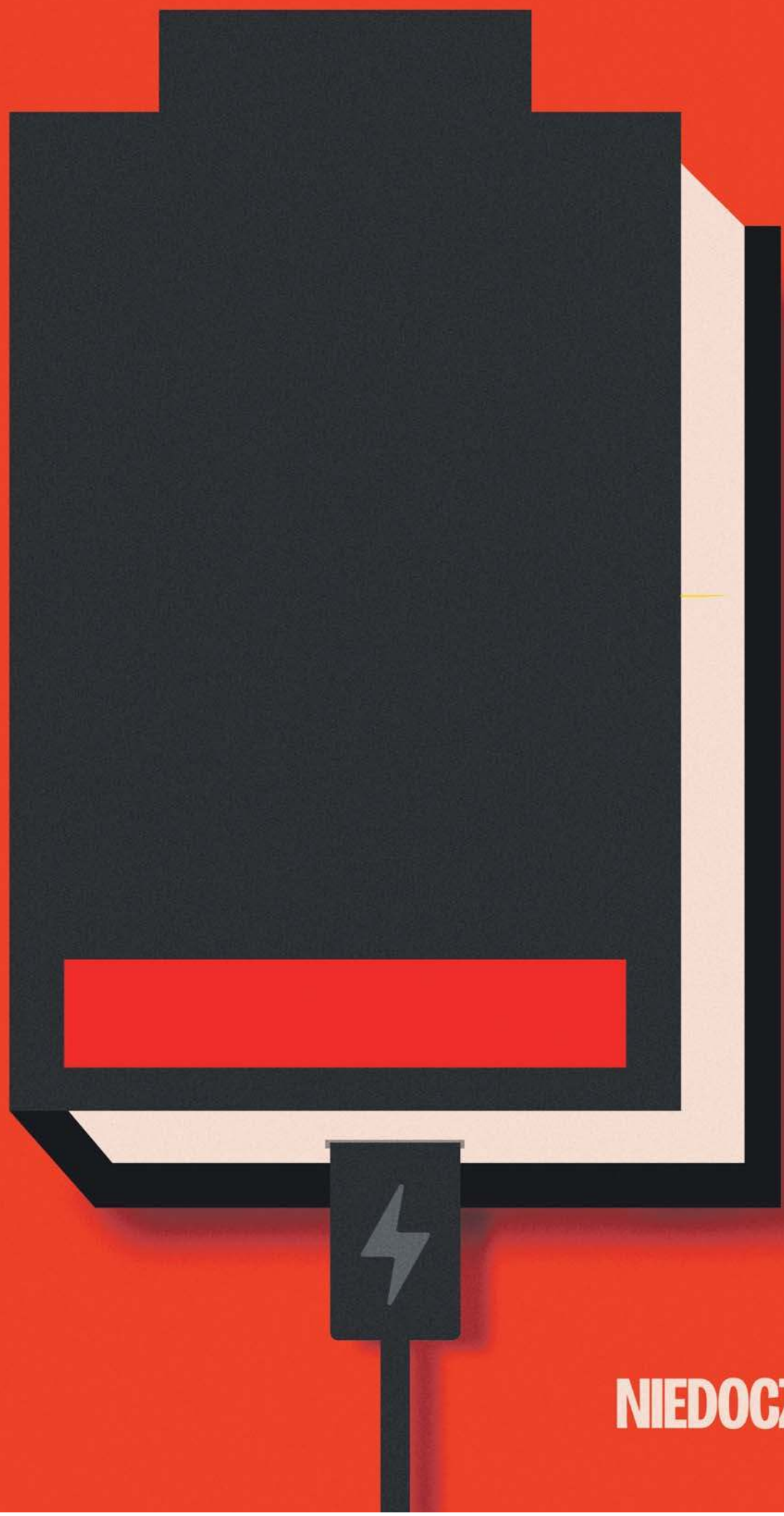

NASZE NIEDOCZYTANIE

BT

eprasa.pl bd0d45656b

Gazeta Lubuska
Piątek, 8.05.2026

– Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Groźniejsze jest to, że czytanie zostanie przywilejem wąskiej warstwy, która będzie budować koncentrację i kompetencje, a duża część społeczeństwa nie zobaczy przyjemności ani w lekturze, ani w poruszaniu własnego mózgu – mówi Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania

Anita Czupryn

FOT. 123RF

Maria Deskur: Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana

MARIA DESKUR: BEZ CZYTANIA MOŻEMY SIĘ CYWILIZACYJNIE COFNĄĆ

Aby zmienić postrzeganie czytania przez społeczeństwo i decydentów, Fundacja Powszechnego Czytania zorganizowała w Warszawie konferencję Literacy for Democracy. Co takiego się stało, że czytanie przestaje być tylko miłym, dobrym nawykiem, a staje się sprawą strategiczną?
To bardzo dobre pytanie. Jak mówi Maryanne Wolf, profesorka neuronauki i znana amerykańska badaczka mózgu czytającego, jeśli nie będziemy dbali o to, co ona nazywa głębokim czytaniem, czyli o linearne, długie czytanie książek, zatracimy umiejętności, które sprawiły, że jako cywilizacja stworzyliśmy demokrację. To jedno. Druga odpowiedź pojawia się w słynnym Ljubljana Manifesto on Higher-Level Reading, czyli manifeście czytelniczym z Lublany. Jego autorzy, badacze czytania i neuronaukowcy, mówią o tym w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. Zwracają uwagę, że musimy ćwiczyć mózgi, żeby radzić sobie w świecie, w którym coraz ważniejsza staje się umiejętność oceny treści. Łączą to z zalewem dezinformacji, z potrzebą budowania krytycznego myślenia, innowacyjności, kompetencji komunikacyjnych, rozmowy i współpracy z innymi. I pokazują, że czytanie właśnie to nam daje. Myślę, że ważnym elementem tej rozmowy jest świadomość, że czytanie, podobnie jak ruch fizyczny, jest strategicznym elementem dobrostanu społecznego. Dziś już wszyscy wiemy, że nie da się dobrze funkcjonować bez ruchu. Wiedzą to rodzice, szkoła, samorządy inwestujące w parki i siłownie plenerowe, wie to także biznes, który wspiera aktywność pracowników przez karty sportowe. A przecież sport pozostaje czynnością prywatną. Nikt nie może nas zmusić do biegania, pływania czy chodzenia po górach. Firma może dać kartę, burmistrz może zbudować siłownię w parku, ale decyzja nadal należy do nas. Z czytaniem jest podobnie. Ono powinno pozostać prywatną przyjemnością, prywatnym wyborem, naszym nawykiem. A jednocześnie powinniśmy rozumieć, jak bardzo jest strategicznie ważne. Nie uważam, żeby jedno przeczyło drugiemu.

Można rzec, że demokracja zaczyna się wcześniej niż przy urnie wyborczej, bo w domu, w pierwszym kontakcie dziecka z językiem?
Można tak to ująć i bardzo mi się to ujęcie podoba. Kiedy mówimy o pierwszych latach życia dziecka, dotykamy sfery pediatrycznej i psychologicznej. Oczywiście neuronaukowcy także się tym zajmują, ale bardzo mocno mówią o tym również pediatrzy. Na naszej konferencji pojawi się Dana Suskind z Chicago, profesorka pediatrii i chirurgii, która dużo mówi o bogactwie językowym. Nie zajmuje się czytaniem w wąskim sensie, mówi raczej o tym, że dziecko musi być otoczone słowami, bogactwem słownictwa, językiem. A to oczywiście łączy się z książką, bo książka jest jednym z najlepszych narzędzi tworzenia zdrowego środowiska rozwojowego dla dziecka. Daje różnorodność słów, bogactwo języka i pojęć. Suskind mówi też o podmiotowości małego człowieka, o budowaniu jego mózgu, o namnażaniu się synaps. To jest opowieść o tym, że powinniśmy od samego początku upodmiotawiać dzieci. Sprawiać, żeby panowały nad językiem, którym się posługują. Żeby miały narzędzia do wyrażania siebie, opisywania swoich emocji, potrzeb, myśli. Żeby mogły dochodzić do własnych wniosków. I to rzeczywiście jest budowanie, od urodzenia, świadomych uczestników demokracji. Najpierw małych ludzi, potem coraz większych, a w końcu nas wszystkich jako wspólnoty. Pomaga nam to na wielu poziomach. Wspomniałam o nowych technologiach i dezinformacji, ale lekarze zwracają też uwagę na stabilizację emocji. Czytanie i język pomagają również w rozwoju poznawczym mózgu, w namnażaniu się synaps, w rozwoju struktur, które później pozwalają dziecku wybrać swoją drogę, zawód, kierunek życia. Mówiąc najprościej: jeśli mózg jest dobrze rozwinięty, człowiek może pójść w bardzo różne strony i dokonać bardziej autonomicznego wyboru. Ale to także rozmowa o odporności. Dziś odmieniamy to słowo przez wszystkie przypadki: odporność psychiczna, emocjonalna, społeczna, asertywność. A odporność społeczności bierze się między innymi z tego, że potrafimy się komunikować, umiemy coś razem wypracować, razem działać. W tym sensie wszystkie wielkie wyzwania współczesności skupiają się jak w soczewce w pytaniu o czytanie. Powiedziałabym, że chodzi o to, jak użyć czytania jako narzędzia do mierzenia się z wyzwaniami współczesności.

Jakie dzieci wychowujemy, jeśli od pierwszych lat oddajemy ich uwagę ekranom, a nie językowi i rozmowie? Dziś telefony komórkowe montowane są nawet w wózkach, żeby dziecko podczas spaceru mogło oglądać bajkę.
Daleka jestem od oskarżania rodziców, bo wielu robi to zupełnie nieświadomie. Ale fakt jest faktem: mamy dziś dużo badań pokazujących, że małe dziecko do rozwoju mózgu, koncentracji, stabilności i pewności siebie potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, a nie z ekranem. Ekran oczywiście dziecko cieszy. I to jest pułapka. Coś się rusza, coś miga, można kliknąć. Ekran kradnie uwagę, bo wymaga od mózgu mniejszego wysiłku niż rozmowa, zabawa, obserwowanie świata. A do rozwoju potrzebujemy wysiłku. Wrócę do porównania ze sportem. Żeby się ruszać, trzeba wstać z kanapy. Ale jeśli dziecko dużo biega, nie postrzega tego jako obowiązku. Dla niego to zabawa. Ktoś mu pokazał, że bieganie, kopanie piłki, spacer, chodzenie po górach czy ruch w parku są fajne. Przy dużym wysiłku, jak udział w maratonie, wydziela się dopamina. To ogromny wysiłek dla ciała, a jednak dziesiątki, setki tysięcy ludzi biorą udział w maratonach, bo sprawia im to przyjemność. Z czytaniem jest podobnie. Scrollowanie to pasywna aktywność, to symboliczne siedzenie na kanapie. Wiele osób to lubi, ale to nie znaczy, że jest to dla nich dobre. Jeśli komuś nie pokazano, że ruch może być przyjemnością, łatwo wejdzie w tryb życia, który z medycznego punktu widzenia nie jest najlepszy. Podobnie jest z ekranami. Z punktu widzenia rozwoju małych dzieci bardzo wczesne dawanie im ekranów nie pomaga. Dziecko powinno czasem trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, a przede wszystkim być w re-

eprasa.pl bd0d45656b

lacji z drugim człowiekiem. Oczywiście to oznacza wysiłek rodzica. Zdaję sobie sprawę, że płaczące dziecko najłatwiej uciszyć telefonem. Ale powinniśmy chcieć zrozumieć, o co mu chodzi, nawet jeśli jeszcze nie mówi. Wziąć je na ręce, sprawdzić, czy coś mu się nie stało, czy nie jest głodne, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy jest starsze – to wchodzić z nim w interakcję. Dom jest pierwszą przestrzenią ćwiczenia relacji społecznych. Dziecko potrzebuje rozmowy, bliskości, obecności. Potrzebuje czasem pokłócić się z rodzicem, postawić mu się, zobaczyć, że rodzic na coś się zgadza, a na coś nie. Że jest reakcja. Że coś jest dobre, a coś niedobre. Że nóż jest niebezpieczny, a łyżka bezpieczniejsza. To milion codziennych sytuacji, z których jako dorośli często nie zdajemy sobie sprawy. Dla rodzica to mogą być rozmowy pozornie trywialne: o tym, co wydarzyło się w parku, w przedszkolu, w książce; że wilk zrobił coś złego, a inny bohater coś dobrego. Ale właśnie to jest przygotowanie do życia. Dziecko potrzebuje tych rozmów, bliskości, obecności i czasu. Rozumiem, że jesteśmy zmęczonymi, zabieganymi rodzicami. Ale nadmiar ekranów jest dla dziecka po prostu bardzo niedobry.

Dzisiaj dzieci bardzo szybko uczą się obsługi nowoczesnych urządzeń. Znacznie wolniej uczą się cierpliwości, skupienia uwagi. Co dobrego daje czytanie? Dlaczego Fundacja Powszechnego Czytania tak mocno apeluje właśnie o czytanie?
Mam poczucie, że jako cywilizacja wykonaliśmy ogromną pracę w bardzo dobrym kierunku: udostępniania wiedzy wszystkim. Obowiązkowa edukacja była milowym krokiem. Cała populacja została włączona w edukację, możliwości rozwojowe, w obietnicę równych szans. Telefon komórkowy również może być genialnie demokratycznym narzędziem. Każdy z nas ma, przynajmniej teoretycznie, dostęp do wszelkiej wiedzy. Ale jeśli jako społeczeństwo nie nauczymy się używać tego narzędzia tak, żeby nam sprzyjało, a nie obniżało nasz potencjał, na drodze ku równym szansom możemy się zatrzymać albo nawet cofnąć. Marzeniem cywilizacyjnym jest przecież to, żeby każde dziecko dostawało publiczną edukację i miało szansę zostać tym, kim zechce. To niezwykłe, że żyjemy w takim miejscu świata, w którym możemy w ogóle o tym rozmawiać. Jeśli pozwolimy, żeby telefon zamiast stać się kolejnym narzędziem demokratyzacji, stał się narzędziem pogłębiania różnic w wykształceniu, to będzie bardzo źle. Widać już pewien paradoks. Ludzie z Doliny Krzemowej, twórcy największych firm technologicznych i mediów społecznościowych, wysyłają własne dzieci do szkół, w których technologii prawie nie ma albo nie ma jej wcale. Bo wiedzą, jak bardzo media społecznościowe uzależniają. Sami je stworzyli. Myślę więc, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Niebezpieczeństwo polega raczej na tym, że pozostanie wąska warstwa, która nadal będzie czytać, budować koncentrację i kompetencje rozwijane przez czytanie, a duża część społeczeństwa nie będzie poświęcała czasu ani na ruch fizyczny, ani na poruszanie własnego mózgu. I, co równie ważne, nie zobaczy przyjemności ani w jednym, ani w drugim. Prawdziwe wyzwanie cywilizacyjne brzmi więc: jak sprawić, żeby przyjemność ruchu fizycznego i przyjemność czytania stały się powszechne? Wracając do pani pytania, dlaczego czytanie jest tak istotne: dzięki niemu możemy stawać się tym, kim chcemy. Czytanie buduje nasze mózgi. I to w każdym aspekcie, bo mózg to nie tylko wiedza. To także umiejętność łączenia faktów, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, analizy, syntezy, matematyki, fizyki, nauk ścisłych. Jest wiele badań pokazujących, że osoby czytające są lepiej przygotowane do rozumienia pojęć z nauk ścisłych. Ale jest też cała sfera społeczna. Mózg ma wymiar relacyjny. Budujemy neurony lustrzane, ćwiczymy się w rozumieniu drugiego człowieka, we współpracy, we współtworzeniu. Światowe Forum Ekonomiczne wśród najważniejszych kompetencji przyszłości wymienia wiele takich, które dotyczą współpracy, kreatywnego myślenia, pracy z ludźmi i przywództwa. To wszystko. mniej lub bardziej wprost, bierze się z tego, że pozwalamy sobie w szybkim świecie na powolne, głębokie skupienie na treściach. Czytanie ćwiczy mózg w czymś, do czego on wcale nie został pierwotnie stworzony. Nie ma w nim jednego miejsca odpowiedzialnego za czytanie. Żeby nauczyć się czytać i żeby czytać, uruchamiamy bardzo wiele obszarów mózgu. I właśnie dlatego czytanie jest tak dobroczynne. Powoduje, że nasz mózg zaczyna pracować na bardzo wysokich poziomach.

W programie konferencji, obok naukowców, edukatorów i przedstawicieli Komisji Europejskiej, znaleźli się także przedstawiciele biznesu. Czytanie może być dziś postrzegane również jako warunek konkurencyjności? To już nie jest tylko sprawa humanistów?
Zdecydowanie. To jedna z podstawowych prawd. Przyzwyczailiśmy się myśleć w pewnych torach. Tak są też zorganizowane nasze państwa: jest silos kultury, silos edukacji. Promocja czytelnictwa przypisana jest zwykle do silosu kultury. Zajmuje się nią Ministerstwo Kultury, na poziomie gminy wydział kultury, na poziomie europejskim komisarz do spraw kultury. To naturalne, bo społeczeństwa muszą być zorganizowane i trzeba dzielić obowiązki. Ale wyzwaniem jest uświadomienie sobie, że czytanie nie jest wyłącznie domeną humanistów. Oczywiście, że czytanie buduje kody kulturowe, naszą identyfikację, na poziomie regionu, państwa, kontynentu. Ale z punktu widzenia nauki Maryanne Wolf bardzo dobrze to ujmuje: zanim w ogóle rozpoczniesz rozmowę o wartości literackiej tekstu i kodach kulturowych, które on niesie, kiedy czytasz książę, twój mózg już dostał całą pulę ćwiczeń analitycznych, syntetycznych, ćwiczeń krytycznego myślenia, zauważania perspektyw innych niż własna. Czyli uczenia się, że ktoś inny myśli inaczej. To wszystko dzieje się, zanim to zauważysz. Czytasz książkę, a twój mózg wykonuje ogromną pracę. Dlatego zanim zaczniemy rozmowę o jakości literackiej, kodach kulturowych czy kulturze wynikającej z tego, że czytamy te same książki, trzeba zobaczyć podstawowy poziom: czytanie jest treningiem mięśni mózgu. Ćwiczeniem operacji myślowych, które później decydują o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, stworzyć i zrobić.

Celem Fundacji Powszechnego Czytania jest osiągnięcie 70 procent czytelnictwa w Polsce. Co praktycznie zmieniłoby się w państwie, gospodarce, relacjach społecznych, gdybyśmy taki poziom osiągnęli?
W wielu krajach prowadzi się badania pokazujące, że wyższy poziom czytelnictwa przekłada się na PKB. W Polsce nie znam takich wyliczeń, więc trudno mi byłoby mocno się na nie powoływać. Natomiast wiemy, że większa liczba osób czytających w danej społeczności oznacza lepszy poziom komunikacji i mniejsze rozwarstwienie społeczne. To są rzeczy, do których dążymy. Sprowadźmy to do konkretnego przykładu. Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana: psychicznie, emocjonalnie, ale też kompetencyjnie. One już na starcie są w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyśmy doprowadzili do tego, że czytałoby 70 procent dorosłych i 70 procent rodziców czytałoby dzieciom, mielibyśmy o 20 punktów procentowych więcej dzieci, które przychodzą do szkoły lepiej przygotowane. Dla których szkoła nie zaczynałaby się od traumy. To bardzo konkretna i ogromna korzyść społeczna. Oczywiście można mówić też szerzej: o procesach, dzięki którym rośnie umiejętność współpracy, rosną kompetencje innowacyjne. Polska ma bardzo duże ambicje w tym obszarze. Myślę, że tutaj wiele mogłoby się zmienić. Ale ta rozmowa jest trudna, bo, jak powiedziałam, nie mamy dziś w Polsce takich prognostycznych wyliczeń. Inne kraje to robią. Jako fundacja marzymy o tym, żeby mieć środki na takie prognozy i policzyć to także w Polsce.

Co z pomysłem Fundacji dotyczącym książki na receptę? Czy pediatra może dziś być sojusznikiem czytania?
Pediatrzy już są naszymi sprzymierzeńcami. W tym roku w nowym wydaniu podręcznika do pediatrii, wydawanym przez Medycynę Praktyczną, a to podręcznik, z którego szeroko korzystają pediatrzy w Polsce, zostaje dodany rozdział poświęcony badaniom pokazującym, jak bardzo dzieci od urodzenia potrzebują czytania i rozmowy. W tym samym rozdziale opisano, jak rekomendacje dotyczące czytania można wprowadzić do każdej wizyty w gabinecie, czyli do standardów pediatrycznych. To oznacza, że pediatrzy stają się naszymi sprzymierzeńcami systemowo. Nie chodzi już o to, że jeden, dwóch czy pięciu lekarzy będzie to robić z własnego przekonania. Chodzi o zmianę, która z czasem wejdzie w krwiobieg. Następne pokolenie pediatrów będzie miało tę wiedzę w swoim wykształceniu. Będzie postrzegało rozmowę, czytanie i dzielenie się książką z dzieckiem jako część medycyny. Ogromnie się z tego cieszymy. Do tej pory współpracują z nami już setki pediatrów w Polsce, ale to są ludzie, którzy nie uczyli się tego na studiach. Uczono ich o tym, że ważny jest ruch fizyczny, warzywa, witaminy, obok całej gigantycznej wiedzy pediatrycznej. Natomiast rozmowa o książkach, wspólnym czytaniu, dzieleniu się książkami od najwcześniejszych miesięcy życia, to w Polsce novum. I nie tylko w Polsce. W wielu krajach pediatrzy stają się dziś bardzo ważnymi sprzymierzeńcami czytania.

Konferencja stawia pytanie o wsparcie rodziców i opiekunów, jako tych, którzy kształtują młode umysły. Jakiego wsparcia potrzebują tu rodzice?
Przede wszystkim informacji. Kiedy rodzi się dziecko, wielu rodziców uczestniczy w szkołach rodzenia. Potem pojawiają się neonatolodzy, pediatrzy. I właśnie tam mogłoby pojawić się bardzo ważne wsparcie: jasna informacja, dlaczego rozmowa, obecność i książka są tak ważne od samego początku. Bo jeśli nam w dzieciństwie czytano, jeśli mieliśmy książki w domu i było to naturalne, jest duża szansa, że będziemy czytać własnemu dziecku. Albo wystarczy, że ktoś nam o tym przypomni, i to wróci. Ale w Polsce, podobnie jak w wielu społecznościach w Europie, jest część ludzi, która takiego doświadczenia nie ma. Są rodzice oczekujący dziecka, którym nikt w dzieciństwie nie czytał. Oni mogą po prostu nie mieć takiego pomysłu. Dlatego rodzice potrzebują informacji: kiedy dziecko się rodzi, jego mózg jest neuroplastyczny. Żeby mógł się rozwijać, żeby wydobyć z niego cały potencjał, potrzebna jest obecność, rozmowa pełna bogactwa językowego i czas. Na początku trzeba się z dzieckiem książkami bawić: pokazywać obrazki, dawać książkę do ręki, pozwalać, żeby dziecko samo doświadczało kontaktu z książką. Warto szybko wciągać je w interakcję. A potem przychodzi czas na opowieści. To jest informacja, której część rodziców po prostu nie ma. Drugi element to sprawdzone na świecie programy, które zachęcają rodziców, by zaczęli bawić się książką w domu. Anglicy mówią: sharing books, czyli dzielenie się książką. Na wczesnym etapie rozwoju dziecka często unikają nawet słowa reading – czytanie, bo nie chodzi o to, żeby posadzić niemowlaka i czytać mu długi tekst. Chodzi o interakcję, wspólne skupienie. Jeden z profesorów pediatrii używa określenia: niespieszny czas. To dobrze oddaje sens tej praktyki. Chodzi o bycie bez pośpiechu, koncentrację, budowanie w dziecku poczucia: rodzic poświęcił mi czas, jestem ważny. Drugim bardzo ważnym elementem są programy, w których rodzic przychodzący do pediatry usłyszy o korzyściach płynących z rozmowy i czytania z dzieckiem, i po prostu dostanie książkę w przychodni. Tym właśnie jest książka na receptę. Wysyłamy bezpłatnie książki do przychodni. Tam, gdzie lekarze potwierdzą, że są gotowi je rozdawać, mogą połączyć przekazanie książki z krótkim komentarzem. Chcemy zaprosić do czytania przede wszystkim tych ludzi, którzy sami takiego doświadczenia nie mieli. Tych, którym z takiego czy innego powodu rodzice nie czytali. Prawdopodobnie część z nich należy dziś do grupy około 30 procent polskiej populacji, która nie ma w domu żadnej książki. Jeśli więc ma się wydarzyć sytuacja, o którą zabiegamy, książka musi znaleźć się w ręku rodzica. Międzynarodowe organizacje, takie jak brytyjski BookTrust, szkocki Scottish Book Trust czy włoskie Nati per Leggere, od dawna pokazują w swoich ewaluacjach, że samo mówienie: „Czytajcie dzieciom”, bez doprowadzenia do tego, żeby książka była w zasięgu ręki rodzica, daje dużo słabsze efekty. Bo inaczej pojawia się kolejna bariera. Powiedzieliśmy rodzicom, że to ważne, ale mama czy tata wraca do domu zabiegany, trochę zapomina, trochę nie ma czasu iść do księgarni, trochę nie wie, co właściwie miałby kupić takiemu małemu dziecku. I po prostu nic się nie wydarza. Jeśli damy rodzicowi książkę, sytuacja się zmienia. On nadal wraca do domu zmęczony, zabiegany. Ale książka wyjęta z torby staje się przypomnieniem tego, co powiedział lekarz. I wtedy dajemy sobie nieporównanie większą szansę na to, że rodzic naprawdę zacznie się tą książką z dzieckiem bawić.

CV

FOT. MAT. PRAS.

Maria Deskur
Wydawczyni, ekspertka w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa oraz prezeska Fundacji Powszechnego Czytania. Współzałożycielka wydawnictwa Muchomor, inicjatorka serii „Czytam sobie” oraz cyklu o Basi. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sorbony oraz Université Lumière w Lyonie.

eprasa.pl bd0d45656b

Gazeta Lubuska
Piątek, 8.05.2026

GEN. KRASZEWSKI: DRONY NIE ZASTĄPIĄ HAUBIC I WYRZUTNI. MUSIMY BUDOWAĆ CAŁY SYSTEM WALKI

– Drony są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki – mówi gen. Jarosław Kraszewski

Anita Czupryn

Premier ogłosił w Rzeszowie projekt polskiej armady dronowej, budowanej z wykorzystaniem ukraińskich doświadczeń. Co powinno być w takim projekcie najważniejsze? Liczba dronów, czy to, że to będzie krajowa produkcja, czy coś innego?
Chodzi o to, żeby ta armada była rozwiązaniem systemowym i wieloaspektowym. To nie mogą być wyłącznie drony powietrzne. Musimy myśleć także o dronach lądowych i morskich, o systemach antydronowych, ale również o systemach zarządzania przestrzenią powietrzną. Bo jeżeli taka armada ruszy bez właściwego systemu koordynacji, to przeciwnik nie będzie nam już potrzebny.

Polska powinna kupować gotowe systemy czy budować własny ekosystem?
Mamy naprawdę bardzo dobre rozwiązania. W dużej części są one dziś w rękach prywatnych firm. Dlatego trzeba jak najszybciej doprowadzić do ich konsolidacji z Polską Grupą Zbrojeniową. Te rozwiązania były testowane w ubiegłym roku podczas ćwiczenia „Żelazny Wojownik", a teraz są w kolejnej fazie, związanej z programem Tarcza Wschód. Naprawdę nie mamy się czego wstydzić. Nie możemy jednak patrzeć z hurraoptymizmem wyłącznie na rozwiązania ukraińskie. Część z nich to rozwiązania wojenne, czasem wręcz garażowe. Na Ukrainie sprzęt, który jest potrzebny na froncie, trafia do walki bardzo szybko, często już na niższym poziomie gotowości technologicznej. W Polsce sprzęt, który ma być używany przez wojsko, musi spełniać znacznie bardziej rygorystyczne wymagania, często oczekuje się poziomu TRL 9, czyli technologii gotowej do wdrożenia.
Na Ukrainie w warunkach wojny dopuszcza się rozwiązania na wcześniejszym etapie, bo są potrzebne natychmiast. Kluczem do sukcesu jest to, żebyśmy nie patrzyli na prywatne firmy jak na zbędny dodatek. Tam naprawdę są bardzo dobre rozwiązania. Od Ukraińców natomiast musimy, podkreślam to z całą stanowczością, czerpać przede wszystkim doświadczenie dotyczące tego, jak te systemy wykorzystuje się w walce. Dziś wszyscy koncentrujemy się na małych dronach, zwłaszcza typu FPV. One są oczywiście potrzebne, ale są też większe bezzałogowce i od nich również trzeba zaczynać budowanie całego systemu. Nie wolno nam skupić się tylko na jednym typie sprzętu. Powtórzę: to musi być ekosystem wielowarstwowy i wielokonstrukcyjny. Jeżeli skoncentrujemy się wyłącznie na jednym rozwiązaniu, popełnimy poważny, kardynalny błąd.

No właśnie, w Ukrainie wojskowe innowacje często rodzą się na styku żołnierz – inżynier – mała firma. Ukraińcy potrafią sprzęt dronowy zmieniać co kilka tygodni. Polski system zakupów wojskowych potrafi działać w takim tempie?
Pani redaktor, absolutnie tak – ten sprzęt zmienia się bardzo szybko. Technika dronowa może nie rozwija się jeszcze w takim tempie jak technika komputerowa, ale proszę mi wierzyć: zmiany następują błyskawicznie. Współpracuję z Ukraińcami, bo kieruję firmą dronową i tworzymy własne systemy. W rozmowach Ukraińcy sami podkreślają, że ciągle pojawia się coś nowego. Rosjanie przecież nie śpią. Oni też bardzo szybko się uczą, przechwytują ukraiński sprzęt, rozbierają go i na zasadzie inżynierii odwrotnej sprawdzają, jak działa dany system. Dobrym przykładem są rosyjskie drony typu Shahed, zwłaszcza te lecące na przedzie ugrupowania. Według informacji z pola walki część z nich jest wyposażana w miniaturowe systemy zakłócające oraz urządzenia detekcyjne. Jeżeli taki system wykryje obiekt w bezpośredniej bliskości, może na kilka sekund aktywować zakłócanie, żeby nie doszło do kolizji, zniszczenia albo uszkodzenia drona. To pokazuje, że wojna wymusza stały postęp technologiczny. Nie możemy czekać, aż ten postęp zwolni, bo nie wiemy, kiedy i czy w ogóle zwolni. Zrobiliśmy już pewne kroki. Powstał Inspektorat Wojsk Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia, ale to za mało. Potrzebna jest rada albo komisja, która stale łączyłaby świat nauki, wojsko i przemysł. Nie może spotykać się od czasu do czasu, tylko regularnie. Wtedy unikniemy sytuacji, w której coś przeoczymy albo coś nas ominie. Rekomendacje powinny być przygotowywane szybko, a na ich podstawie wojsko powinno szybko kupować. Tym bardziej że w przypadku prostszych dronów nie mówimy o wydatkach porównywalnych z zakupem HIMARSów, armatohaubic Krab, czołgów K2, K9, Leopardów czy Abramsów. To są rozwiązania zdecydowanie tańsze. Pytanie, kto miałby je kupować: Agencja Uzbrojenia czy inny podmiot wskazany przez ministra obrony narodowej. Można też rozważyć model, w którym dowódcy kupowaliby część systemów samodzielnie. To nie jest głupi pomysł, pod warunkiem że odbywałoby się to na podstawie jasnych rekomendacji. Bo jeżeli każdy kupi coś innego, to później nawet wewnątrz jednej jednostki bardzo trudno będzie to zintegrować.

Czy nie grozi nam to, że armada dronowa bardziej będzie się budować na konferencjach niż w jednostkach wojskowych? Po czym poznamy, że ten projekt naprawdę działa?
Po czym poznamy? Na poligonach. Konferencje konferencjami. Mam do nich ambiwalentne podejście z prostego powodu: decydenci, jeżeli już pojawiają się na takich wydarzeniach, to najczęściej na początku. Są witani, proszeni o wygłoszenie przemówienia, a potem znikają. Konferencja toczy się dalej, ale często bez sensu z punktu widzenia decyzji, bo oni nie słyszą tego, co później zostaje tam powiedziane. Dlatego potrzebne jest ciało, rada albo komisja, która analizowałaby pojawiające się rozwiązania i składała rekomendacje. Bo nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć.
W Polsce jest dziś bardzo dużo ciekawych projektów. Problem polega na tym, że sektor prywatny nie ma właściwego umocowania. Od pewnego czasu powtarzam, że mamy Ministerstwo Aktywów Państwowych, czyli w praktyce ministerstwo spółek Skarbu Państwa, a powinniśmy mieć Ministerstwo Aktywów Państwa. Bo aktywem państwa są także prywatne firmy, ich technologie, kompetencje i ludzie. Dziś sektor prywatny jest w dużej mierze pozostawiony sam sobie. Nie ma nad nim żadnej realnej kurateli państwa, żadnego sensownego systemu wsparcia. Więc do kogo taka firma ma pójść po finansowanie? A jeśli już człowiek gdzieś się doczołga, zapuka do właściwych drzwi, to procedura walidacji trwa miesiącami. Żaden startup tego nie wytrzyma.

Unia Europejska uruchamia SAFE, czyli preferencyjne finansowanie inwestycji obronnych. Polska ma dostać duże środki na obronność, ale co powinno być priorytetem: obrona powietrzna, amunicja, drony, cyberbezpieczeństwo?
Cyberbezpieczeństwo na pewno tak. Amunicja, zwłaszcza ta dużego kalibru, również. Od artylerii, haubic i wyrzutni rakietowych jeszcze długo nie odejdziemy, bo one są potrzebne. Nie wyobrażajmy sobie, że drony zastąpią armaty, haubice i wyrzutnie rakietowe. One są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki. Wracając do meritum: musimy zachować równowagę. Potrzebne jest ciało, które będzie rekomendowało Ministerstwu Obrony Narodowej konkretne kierunki działania. Nie wiem, czy powinna to być istniejąca Rada Modernizacji Technicznej, czy nowe ciało powołane przy ministerstwie. Ważne, żeby było to ciało eksperckie, złożone z przedstawicieli nauki, wojska i przemysłu. SAFE ma swoje priorytety, ale problem polega na tym, że firmy często nie wiedzą, jakie one są i kto ma szansę z nich skorzystać. Być może wie to wąska grupa ludzi, ale z perspektywy wielu przedsiębiorców ta wiedza nie jest dostępna. Firma nie wie, czy się kwalifikuje, czy nie. Ja takiej wiedzy nie mam.

Jaki rodzaj myślenia dominuje dziś w polskich zakupach obronnych? Kupujemy najnowocześniejsze platformy, czy budujemy system, który ma przetrwać pierwszy miesiąc wojny?
Sprzęt wojskowy kupuje się na lata. Zwłaszcza ten drogi sprzęt nie jest kupowany tak jak samochód. Kiedyś samochód też kupowało się na lata, ale dziś uwarunkowania są inne. Użytkownik często wymienia auto po trzech, pięciu latach. W przypadku sił zbrojnych mówimy o perspektywie około trzydziestu lat. Na tyle kupuje się sprzęt wojskowy. Dlatego musimy bardzo dobrze analizować rynek. Biura konstrukcyjne w polskich zakładach przemysłu obronnego powinny tak ukierunkowywać prace badawczo-rozwojowe, żeby powstawał sprzęt odpowiadający konkretnym potrzebom wojska. Ale trzeba też mieć świadomość, że takiego sprzętu nie buduje się w ciągu roku. To się po prostu nie da. Są testy zakładowe, są testy kwalifikacyjne, a potem sprzęt musi trafić do użytkownika. Żołnierz musi go dostać do ręki, sprawdzić, przećwiczyć, w cudzysłowie – musi się nim pobawić. Dopiero wtedy może powiedzieć producentowi: to trzeba poprawić, to zmienić, to usunąć, a to zaprojektować inaczej. Nawet naj-

eprasa.pl bd0d45656b

bardziej zdolny konstruktor czy inżynier nie stworzy od razu sprzętu idealnego dla żołnierza. Nie będzie tak, że do pojazdu czy systemu wsiądzie doświadczony, dobrze wyszkolony żołnierz i natychmiast powie: „Tak, to jest dokładnie to, na co czekałem". Może słowo „nigdy" byłoby przesadą, ale żeby to było możliwe, zakłady musiałyby mieć specjalne komórki złożone z byłych żołnierzy, z ludzi, którzy odeszli już ze służby na emeryturę, ale mają ogromne doświadczenie praktyczne. Kilku, może kilkunastu takich specjalistów powinno stale współpracować z konstruktorami, testować rozwiązania, sprawdzać je w praktyce i wskazywać, co trzeba natychmiast zmienić. Niestety w naszym państwowym przemyśle zbrojeniowym takiego modelu wciąż brakuje.

FOT. PAP/ALBERT ZAWADA

Gen. Kraszewski: Nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć

Jak uniknąć sytuacji, w której kupujemy drogi, efektowny sprzęt, ale potem brakuje amunicji, części zamiennych, operatorów albo osłony przed dronami? Da się to zrobić?
Da się. Trzeba tylko myśleć o całym systemie, a nie wyłącznie o zakupie platformy. Jeżeli kupujemy czołg, haubicę czy wyrzutnię rakietową, to jeszcze przed podpisaniem kontraktu powinniśmy bardzo dokładnie oszacować, ile czasu potrzebujemy w Polsce, żeby dostosować produkcję amunicji do nowych wymagań. Bo samo kupienie sprzętu nie rozwiązuje problemu. Przykład? Wprowadzając Kraba, przeszliśmy na NATO-wski kaliber 155 mm. Bardzo dobrze, że to zrobiliśmy. Tyle że przemysł za tym nie nadążył. I teraz można oczywiście pytać, czy to była wina przemysłu. Ja rozumiem, że przemysł nie nadążył, bo nie dostał odpowiednio wcześnie jasnych wytycznych i decyzji. To powinno iść równolegle. Ktoś powinien o to zadbać, ktoś powinien za to zapłacić. Nie czarujmy się: nikt nie odda nam technologii za darmo. Za technologię płaci się ciężkie pieniądze. Licencje kosztują bardzo dużo, czasem jedną trzecią, a czasem nawet połowę wartości kontraktu. Jeżeli chcemy mieć własne zdolności, musimy się z tym liczyć. Polskie ośrodki badawczo-naukowe, także wojskowe, powinny natychmiast przystępować do opracowywania nowych typów amunicji. Równolegle powinna być zamawiana albo tworzona linia produkcyjna. Jeżeli tak się nie dzieje, mamy potem sytuację, że trwa piąty rok wojny w Ukrainie, a my nadal nie mamy w pełni rozwiniętej fabryki nowoczesnej amunicji artyleryjskiej. Na szczęście MESKO robi wszystko, żeby jak najszybciej uruchomić taką narodową produkcję. Powinna ona być zdecentralizowana, rozłożona w kilku miejscach. Nie ma znaczenia, gdzie dokładnie i takich informacji nie powinno się podawać do wiadomości publicznej. Jeżeli osiągniemy duże zdolności produkcji nowoczesnej amunicji artyleryjskiej, trzeba będzie zrobić to samo dla systemów HIMARS oraz Homar-K, czyli polskiej wersji koreańskiego K239 Chunmoo. Tu coś się już dzieje. Grupa WB razem z Hanwha Aerospace podpisała stosowne umowy i ten proces zaczyna się materializować, ale to jest perspektywa najbliższych lat. Moim zdaniem minimum dwa lata, zanim cokolwiek z tego wyjdzie. Nie wiem natomiast, co dzieje się z produkcją rakiet do HIMARS-ów, na przykład ATACMS albo nowszych pocisków, których Amerykanie nam dotąd nie przekazali. A to są rzeczy kluczowe. Musimy je mieć.

Co będzie prawdziwym testem dla pieniędzy z SAFE? Czy to, ile z nich zostanie w polskim przemyśle?
To, ile zostanie w polskim przemyśle, zależy od wydolności polskiego przemysłu zbrojeniowego. Jeżeli ktoś jest niewydolny, nie powinien podpisywać umów wykonawczych, bo później zapłaci potężne kary i postawi całe państwo w kłopotliwej sytuacji. Ci, którzy o tym decydują, powinni bardzo skrupulatnie analizować realne możliwości wykonawców. Mam nadzieję, że to już zostało sprawdzone. Nie można zakładać, że firma zatrudniająca trzy osoby będzie produkowała 15 tysięcy dronów miesięcznie. To jest po prostu niemożliwe.

Czyli dziś od pytania, co kupić, ważniejsze jest pytanie, czy będziemy umieli to produkować, naprawiać i zastępować straty?
Tak, bo nie będziemy w stanie wszystkiego wyprodukować od razu w takiej ilości, jakiej potrzebujemy. SAFE jest skonstruowany w określony sposób, a my straciliśmy dużo czasu. Z tego, co rozumiem, kluczowe będą podpisane umowy wykonawcze. Na tyle, ile Ministerstwo Obrony Narodowej zakontraktuje, tyle środków będziemy mogli realnie wykorzystać. To absolutnie nie oznacza, że cała kwota prawie 44 miliardów euro automatycznie popłynie do Polski. Im mniej zamówień podpiszemy z polskim przemysłem, tym więcej będziemy musieli kupować na zewnątrz. Uważam, że byłby to, delikatnie mówiąc, błąd. Bo idea SAFE polega nie tylko na przyspieszeniu uzupełniania uzbrojenia w państwach członkowskich, ale także na zdynamizowaniu, a właściwie reaktywacji europejskiego przemysłu obronnego. Jeżeli nie zreaktywujemy polskiego przemysłu zbrojeniowego, będziemy musieli kupować za granicą. Wtedy proporcja, o której dziś się mówi, że mniej więcej 70-80 procent w kraju i 20-30 procent na zewnątrz - może się zmienić. Nie wiem, czy Unia Europejska na to pozwoli. Jeżeli nie, pieniądze mogą wrócić do wspólnej puli i skorzysta z nich ktoś inny. Tak mi się wydaje. Nie powinniśmy też podpisywać umów, które już w momencie podpisania wyglądają na nierealne. Bo wykonawca, który dostanie takie finansowanie, może później wydać te pieniądze nie na produkcję, ale na kary umowne. Będzie musiał się dodatkowo zadłużyć albo po prostu zbankrutuje. To byłoby bez sensu. Do tego nie możemy doprowadzić. Straciliśmy za dużo czasu, zupełnie niepotrzebnie. A dziś czas jest naszym największym przeciwnikiem, większym nawet niż Rosja. Kiedy czasu jest coraz mniej, rośnie ryzyko błędów. Wiadomo: jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy.

Ukraińskie drony uderzają dziś w cele oddalone nawet o 1700 kilometrów. Jak pan na to patrzy?
Sprecyzowałbym: drony będące w posiadaniu Ukrainy uderzają w takie cele. Bo nikt nie wie dokładnie, czy dany dron został wyprodukowany przez Ukrainę, czy tylko znajduje się w jej arsenale. Oczywiście Ukraińcy byli i nadal są bardzo dobrzy w technologiach rakietowych. Mają ogromną wiedzę na temat silników rakietowych i systemów dalekiego zasięgu. Nie twierdzę, że nie mogli tego zrobić sami. Przeciwnie, mają do tego kompetencje. Ale wracam do tematu, o którym już mówiłem: w prywatnym sektorze polskiego przemysłu obronnego również istnieją takie rozwiązania. Sam deklarowałem, że mamy system przetestowany na dystansie 1260 kilometrów. Tylko ktoś musi się tym zainteresować. Teraz opracowaliśmy i kończymy testy kolejnego rozwiązania. Nazywamy je Hedy. To dron przechwytujący, który lata z prędkością około 800 kilometrów na godzinę. Za chwilę będziemy próbowali pobić rekord Guinnessa; chcemy przekroczyć barierę 840 kilometrów na godzinę. To są małe drony, ale 150 gramów heksogenu w głowicy w zupełności wystarczy. Zresztą z naszych testów wynika, że przy takich prędkościach nawet samo uderzenie kinetyczne w Shaheda może wyrządzić mu takie uszkodzenia, że Shahed nie wykona misji. Te drony naprowadzają się autonomicznie. Mają bibliotekę celów i urządzenia optoelektroniczne, które w milisekundach porównują obraz z wgranym modelem 3D Shaheda albo innego bezzałogowca. Potem lecą na cel samodzielnie. Ich czas lotu, wynikający ze stanu baterii, to około siedem-dziewięć minut. I to w zupełności wystarczy. System jest spięty z radarem, także naszej produkcji, który pokazuje, skąd nadlatują Shahedy, w jakim kierunku lecą, na jakim pułapie i z jaką prędkością. Całość jest bardzo prosta w obsłudze i nie wymaga długiego, specjalistycznego szkolenia. Zakończymy testy i zaraz zaproponujemy ten system wojsku.

Rosja ogranicza paradę 9 maja i rezygnuje z pokazu ciężkiego sprzętu. To dowód na to, że Putin boi się ukraińskich dronów? Gdyby Ukraina chciała zakłócić paradę w Moskwie, miałaby dziś takie zdolności?
Tak, Ukraina ma dziś zdolności do prowadzenia uderzeń dalekiego zasięgu. Ale ja uważam, że Rosja ogranicza paradę także z innego powodu: nie ma czego pokazać. To jest klęska wizerunkowa armii, która przez lata uchodziła za potężną. To, co najnowsze, w dużej części zostało już zniszczone albo jest potrzebne na froncie. Przypomnijmy choćby słynny czołg T-14 Armata, który swego czasu nie był w stanie o własnych siłach zjechać z Placu Czerwonego podczas próby defilady. Pokazywanie przestarzałego sprzętu mogłoby doprowadzić do kompromitacji wizerunkowej i administracji prezydenta Putina, i rosyjskich sił zbrojnych.

Ale trochę jednak wygląda to tak, jakby Putin musiał chować czołgi przed ukraińskimi dronami. Nie myśli pan?
Nie wiem, czy to jest główny powód. Spójrzmy na dotychczasowe próby ukraińskich ataków na Moskwę. Nie wszystkie były skuteczne, a jeśli już przynosiły efekt, to raczej na obrzeżach. Nie przypominam sobie, żeby dron zbliżył się na bardzo małą odległość do Placu Czerwonego czy do miejsc, w których zasiada większość rosyjskich decydentów. Rosjanie dobrze zabezpieczają stolicę. Są też dobrzy w walce elektronicznej. Oczywiście nie da się zabezpieczyć wszystkiego, bo, jak już mówiłem, postęp technologiczny stale wymusza nowe sposoby naprowadzania, nowe metody i nowe urządzenia. Dlatego drony potrafią dziś dolecieć do celu oddalonego o 1200 czy 1700 kilometrów. To ogromna odległość. Ale trzeba też pamiętać, że taki dystans oznacza długi czas lotu. A to daje stronie atakowanej czas na reakcję i próbę niedopuszczenia do uderzenia. Dlatego bardziej skłaniam się ku tezie, że Rosjanie naprawdę nie mają dziś czego pokazać. Parada wojskowa jest przecież po to, żeby zaprezentować nowoczesność armii. U nas również służy temu, żeby społeczeństwo zobaczyło, na co idą pieniądze, że to nie jest rozdawnictwo, ale inwestycja w określony cel. Rosjanie także doskonale to rozumieli. Byliśmy w szoku, bo mówiono o kwotach dziesięć razy większych niż nasze. Tyle że w ich przypadku ogromne środki deklarowane przez Putina na modernizację armii w dużej mierze rozeszły się po oligarchach.

CV

FOT. MAT. PRAS.

Jarosław Kraszewski
Generał brygady Wojska Polskiego, doktor nauk wojskowych, były dyrektor Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego.

eprasa.pl bd0d45656b

Gazeta Lubuska
Piątek, 8.05.2026

TWOJA PIERWSZA KO..., TWOJA PIERWSZA KOMÓRKA!

Ten tytuł to nie wymysł, to fragment reklamy sprzed kilkunastu już lat, która wciąż pozostaje aktualna, choć komórkę jako prezent komunijny można zastąpić nowszym gadżetem: pierwszą hulajnogą, albo pierwszym dronem. Daleko zaszliśmy także w przyjęciach komunijnych, które w niczym nie przypominają skromnych domowych obiadów sprzed lat. Choć i wtedy bywały wyjątki.

Anna Gronczewska

Dziesięcioletnia Nadia już nie może doczekać się ostatniej niedzieli maja. Tego dnia pójdzie do Pierwszej Komunii Świętej. Już zamówiła u chrzestnej tablet. Chrzestny ma jej kupić rower. Liczy, że babcie, dziadkowie i ciocie dadzą trochę pieniędzy. Może wtedy starczy jej na laptopa lub na konsolę? Sama nie ma wielkich wymagań. Ale niektórzy koledzy z jej klasy chwalą się, że dostaną w prezencie quady czy elektryczne hulajnogi.

Nadia i jej koleżanki nie pójdą do komunii w albach. Każda będzie miała piękną sukienkę.

- Ja mam już sukienkę, mama mi kupiła! - mówi dziewczynka. - Taką z falbankami. Mama ma mi też kupić buty na obcasiku i torebkę.

Kamilę Łuczak, mamę 9-letniej Weroniki, pierwsza komunia córki czeka za rok. Była na komunii kuzynów i przeraziła ją rewia mody, którą zobaczyła w kościele.

– Dziewczynki wyglądały jak małe księżniczki lub panny młode, zamiast wianka powinny mieć welony, a niektóre były ubrane w suknie z fiszbinami - wspomina nie bez oburzenia.

W różowej sukience

Stroje, w jakich dzieci przystępują do pierwszej komunii od lat budzą emocje. W Polsce jeszcze przed wojną dziewczynki chodziły do komunii w białych sukienkach, a chłopcy w ciemnych garniturach. Z czasem pierwszokomunijne ubiory stały się coraz bardziej strojne. Dziewczynki pojawiały się w kościele w wymyślnych kreacjach. Granatowe garnitury chłopców zastąpiły popielate, białe, a nawet zielone. W jednej z podłódzkich parafii rodzice tak chcieli wyróżnić swoją córkę, że ubrali ją do komunii w różową sukienkę.

Monika Gawrońska z Łodzi, mama Oliwii, która była w tamtym roku u komunii, nie chciała się zgodzić, by jej córka założyła albę. Tłumaczy, że zawsze marzyła, by jej córka w tym wyjątkowym dniu wystąpiła w białej sukience z falbanami. I jej marzenie się spełniło...

– Gdy nie ma alb, od razu widać, które dziecko jest biedniejsze, a które bogate – przekonuje z kolei Kamila Łuczak. – Dlatego najlepiej gdy wszystkie dzieci idą do komunii w albach.

Pani Basia, właścicielka jednego ze sklepów oferującego w internecie między innymi sukienki komunijne, mówi, że cieszą się dużym powodzeniem, choć w wielu kościołach idzie się do komunii w albach. Dlaczego?

- Rodzice chcą, by ich córki miały sukienkę na przebranie - wyjaśnia.

Pamięta, że kiedyś przyszła do jej salonu mama z 10-letnią dziewczynką. Miały ze sobą zdjęcie sukni ślubnej wartej 3.600 złotych.

- Pani poprosiła, byśmy uszyły taką sukienkę dla jej córki do komunii – wspomina pani Basia. - Sukienka była bardzo strojna, trzeba było jednak dokonać korekt, na przykład zakryć ramiona. Nie wypada przecież, by dziewczynka szła do komunii w odkrytymi ramionami. No i cena była trochę niższa...

Pani Basia zapytała matkę dziewczynki, dlaczego wybrała taką właśnie sukienkę.

- Moja córka bardzo dobrze się uczy, zna kilka języków - tłumaczyła mamusia dziewczynki. - Zobaczyła na zdjęciu tę suknię ślubną i stwierdziła, że w takiej chce iść do komunii. Nie mogłam jej odmówić. Przecież mam takie dobre i zdolne dziecko!

Parada mody czy przeżycie religijne?

Dziś w wielu kościołach dzieci idą do komunii w albach. Alby, czyli długie, białe tuniki, odpowiednio ozdobione, pojawiły się w kościołach w połowie lat dziewięćdziesiątych. Początkowo wielu rodziców odnosiło do nich nieufnie, ale z czasem się do nich przekonali. Nadal jednak nie wszystkie dzieci przyjmują komunię świętą w albach. Łatwiej przekonać do nich mieszkańców wsi, niż dużych miast.

– Był czas, że rodzice podchodzili bardzo opornie do alb – mówi ksiądz z jednej z łódzkich parafii. – Na szczęście to się zmienia. U nas już niemal wszystkie dzieci idą do komunii w albach. Niestety, nadal są tacy, którzy traktują komunię jako paradę mody, pewien folklor, a nie przeżycie religijne. Jest to dla nich rodzinna impreza, na której można się popisać kto ma ładniejszą sukienkę. Zwłaszcza mamy dziewczynek były oporne. Teraz jednak tylko pojedyncze dzieci podczas komunii nie mają u nas alb.

Katarzyna Marczak, łódzka nauczycielka, posłała córkę do komunii 10 lat emu. Wtedy jeszcze szły do niej dzieci uczące się w drugiej klasie (obecnie w trzeciej). Ola poszła do komunii w albie, choć mama kupiła jej też za 150 złotych sukienkę na przebranie. Inne dziewczynki miały je mieć, więc dlaczego miała bronić swojej jedynaczce?

MOJA RODZINA POCHODZIŁA Z WILEŃSZCZYZNY, WIĘC PRZYJĘCIE KOMUNIJNE, A BYŁY TO LATA 50., BYŁO BARDZO HUCZNE – OPOWIADA JAN TOMASZEWSKI

- U nas ta komunia przebiegła normalnie – wspomina Katarzyna. - To znaczy było przyjęcie w restauracji na 20 osób, czyli najbliższej rodziny. Kosztowało nas około 2 tysięcy złotych. Nie było żadnych karet, limuzyn. A teraz słyszę, że znajomi zastanawiają się czy ich córka ma pojechać do komunii białą karetą czy limuzyną.

Kilka lat temu łódzką prasę obiegło zdjęcie dziewczynki, która pod kościół, w którym odbywała się uroczystość Pierwszej Komunii Świętej, zajechała piękną, białą karetą. Okazało się, że był to komunijny prezent od babci. Wynajem kosztował ją 600 złotych. Kareta pod kościołem w czasie pierwszych komunii wywołała małą sensację, ale nie jest rzadkością. Kilka lat temu taką samą piękną karetą zajechała dziewczynka pierwszokomunijna pod kościół w łódzkiej Rudzie Pabianickiej. W maju sporo pracy mają też firmy wynajmujące takie pojazdy. Jedna z nich znajduje się pod Sieradzem. Jej właściciel tylko śmieje się, gdy słyszy, że w Łodzi ktoś wynajął karetę za 600 złotych.

- Moja kareta jest elegancka, biała, pięknie wystrojona – dodaje. - Za wynajęcie jej na komunię w Łodzi biorę co najmniej 2 tysiące! Chętnych nie brakuje!

A jak kiedyś wyglądały komunie święte?

Komunia w stylu wileńskim

Jan Tomaszewski, były bramkarz ŁKS-u i reprezentacji Polski, do Pierwszej Komunii Świętej przystępował we Wrocławiu. Była to druga połowa lat pięćdziesiątych.

- Nie szedłem do komunii w garniturze, tylko w białej koszuli i granatowych spodniach – opowiada popularny „Tomek". - Tak też wyglądali moi koledzy. Dziewczynki były ubrane w długie sukienki, które wyglądały jak suknie ślubne. Taka była wtedy moda we Wrocławiu. Ja jestem bowiem z tych „Karguli", którzy wysiedli we Wrocławiu, a nie w Jeleniej Górze. To znaczy nie ja, a moi rodzice.

Bramkarz opowiada, że najgorsze było czekanie. Trzeba było wcześniej przyjść do kościoła i czekać na rozpoczęcie mszy świętej.

- Oczywiście wcześniej były próby, przygotowania, ale najgorsze było to wyczekiwanie przed kościołem już w dniu komunii - twierdzi Jan Tomaszewski. - Sama Pierwsza Komunia Święta była niesamowitym przeżyciem, tak jak spowiedź, która miała miejsce w sobotę. Na to się czekało. Dlatego, gdy tak w słońcu staliśmy przed kościołem, to czas bardzo się dłużył. Dobrze to zapamiętałem.

Po komunii wszyscy poszli do domu.

- Moja rodzina pochodziła z Wileńszczyzny, więc przyjęcie komunijne było bardzo huczne, już wtedy – opowiada „Tomek". - Przy jednym stole siedziały dzieci, przy innym dorośli. A dzieci było dużo. Wiadomo, że dzieci szybko zjadły i pobiegły do zabawy. Ja bawiłem się z nimi. Potem przebrałem się w galowy strój i poszedłem z chrzestnymi na nabożeństwo do kościoła. Dopiero wtedy zaczęła się biesiada dorosłych. Nie powiem, że nie było alkoholu. A zabawa trwała do nocy. Było to prawdziwe wileńskie przyjęcie!

Jan Tomaszewski pamięta, że w prezencie komunijnym dostał piłkę, rower i zegarek.

- Ale na te prezenty składała się cała rodzina! - dodaje.

Smutek podartych rajtuz

Elżbieta Nowaczyk do Pierwszej Komunii Świętej przystępowała w 1974 roku. Pamięta, że koleżanka mamy wróciła właśnie z Włoch i przywiozła jej piękne, białe rajtuzy.

- Były to tzw. kabaretki – wspomina Elżbieta. - Nie mogłam się doczekać kiedy je założę. Były takie piękne... Założyłem je w dniu komunii, byłam taka szczęśliwa. Wszystkie koleżanki z podziwem patrzyły na moje kabaretki.

Jednak to szczęście nie trwało długo. Podczas komunijnej mszy Elżbieta uklękła. To samo zrobiła stojąca przed nią koleżanka...

- Uderzyła mnie butem w nogę i w moich kabaretkach zrobiła się ogromna dziura... Gdy szłam, by pierwszy raz przyjąć komunię świętą, nie myślałam o niczym innym jak o tej dziurze w rajtuzach. Miałam wrażenie, że wszyscy ją widzą. Potem mama ją jakoś zacerowała, bym mogła w tych kabaretkach pozować do komunijnego zdjęcia.

Dobrze też pamięta komunijne prezenty. Dostała zegarek „Czajka" i rower „Wigry".

- Najbardziej cieszył mnie rower – mówi Łodzianka. - Dostałam też z dziesięć bombonierek. Schowałam je do szafy, gdzie pięknie je ułożyłam. Były tak piękne, że żal mi było je otworzyć i jeść. Ale w końcu chciałam spróbować jedną czekoladkę. Niestety, pudełko było puste, tak jak kolejne. Okazało się, że wszystkie czekoladki wyjadł mój młodszy brat...

Zagubiony łańcuszek

Jolanta Śniegocka, łódzka lekarka, do komunii poszła na początku lat sześćdziesiątych. Przyznaje, że najbardziej stresowała ją pierwsza spowiedź.

- Wszystkie grzechy spisałam sobie na kartce, bałam się, że któregoś zapomnę! - śmieje się dziś. - Przed samą komunią nie spałam chyba całą noc... Sukienkę uszyła mi ciocia, która była krawcową. A na głowie miałam wianek upleciony z żywych kwiatów. Zrobiły mi go starsze siostry.

Po uroczystości w domu był uroczysty obiad, ale zebrała się na nim tylko najbliższa rodzina. Jolanta nie zapomni, że w prezencie komunijnym od chrzestnej dostała... parasolkę.

eprasa.pl bd0d45656b

FOT. ARCHIWUM DŁ.

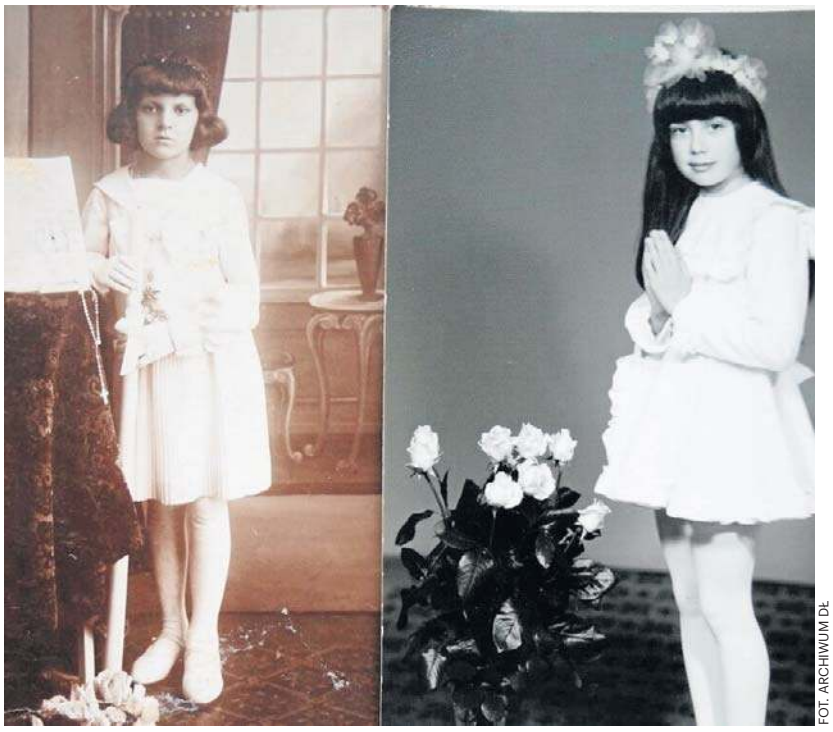

FOT. ARCHIWUM DŁ.

FOT. ARCHIWUM DŁ.

FOT. ARCHIWUM DŁ.

Komunijne stroje przez długie lata były dość skromne. Pogoń za wyszukanymi kreacjami w największym stopniu dotknęła dziewczynki. Prezenty zwykle były na miarę czasów - kiedyś standardem były rower, zegarek i radio tranzystorowe

- Chrzestny dał mi złoty łańcuszek – wspomina. - Nie cieszyłam się jednak nim długo. Po obiedzie pobiegłam z kuzynkami pobawić się na łące. I zgubiłam łańcuszek...

Anna Koczewska, łódzka prawniczka, do pierwszej komunii poszła w 1973 roku. Uroczystość miała miejsce w kościele pw. św. Kazimierza na łódzkim Widzewie. Nie zapomni, że nie spała niemal całą noc, by nie zepsuła się jej przygotowana wieczorem przez mamę fryzura. Mama zadbała też, by miała piękną sukienkę. W „Peweksie" kupiła białą kremplinę za wcześniej mozolnie odkładane dolary. Suknię szyła jej potem znajoma krawcowa, która pracowała w „Telimenie". Jeździły na przymiarki na Stoki, a Ania nie mogła się doczekać, kiedy założy to białe cudo...

- Przyjęcie komunijne odbywało się w domu – wspomina Anna. - Było na nim z 40 osób. Stoły były rozstawione w dwóch pokojach. Mama nie chciała, by na przyjęciu komunijnym był alkohol. Wiadomo jednak, że w Polsce na takich uroczystościach bez alkoholu nie ma zabawy, ani apetytu. Tak też było u mnie. Kiedy po południu poszłam do kościoła z mamą i chrzestnymi po odbiór komunijnych obrazków, tata był gotowy. Schował wcześniej kilka butelek wódki i wyciągnął w czasie nieobecności mamy. Gdy wróciliśmy z kościoła, goście byli już wyraźnie rozluźnieni.

Anna pamięta, że na komunię dostała kolorowe mazaki, książkę o Ani z Zielonego Wzgórza, złoty pierścionek, łańcuszek i pieniądze.

Nie pamiętam, żebym dostał prezent

Nieżyjący już znany łódzki aktor Michał Szewczyk do Pierwszej Komunii Świętej poszedł zaraz po wojnie, w 1946 lub 1947 roku.

- Do pierwszej komunii przystąpiłem zaraz po tym jak otworzyli kościół pw. św. Franciszka w Łodzi – opowiadał nam Michał Szewczyk. - W czasie wojny w kościele znajdował się magazyn czapek wojskowych.

Rodzice przygotowali dla aktora garniturek, z krótkimi spodenkami. Zachowało się jego komunijne zdjęcie. Stoi na nim z rodzicami, siostrą, chrzestną.

- Bardzo cieszyłem się, że do komunii poszedłem w podkolanówkach, a nie pończochach, w których nieraz musieli chodzić chłopcy, bardzo ich nie lubiłem – wspominał Michał Szewczyk.

Aktor nie pamiętał przyjęcia komunijnego, ale znając swoich rodziców, uważał że na pewno było zorganizowane.

- W tej samej kamienicy przy ulicy Staszica mieszkała też moja chrzestna, więc przyjęcie musiało być - mówił nam pan Michał. - Nie pamiętam żebym dostał jakiś prezent. Wtedy nie było takiej mody. Rower dostałem kilka lat po niej. Miał jeszcze drewniane obręcze. Ten rower sam złożył mi tata Władysław. Uchodził za „złotą rączkę". Potrafił wszystko. Złożył nawet radio. Potem cała kamienica schodziła się do nas, by posłuchać radiowych audycji.

Po komunii Michał Szewczyk został ministrantem. Służył do mszy przez kolejne dziesięć lat. Bardzo to lubił.

- Mama zamawiała dla mnie wspaniałe komże – wspominał łódzki aktor. - Wyszywane, potem krochmalone. Uwielbiałem je!

Nie zapominajmy o istocie pierwszej komunii

Ks. dr Andrzej Blewiński, emerytowany proboszcz parafii Matki Bożej Dobrej Rady w Zgierzu, krytycznie patrzy na współczesne Pierwsze Komunie Święte.

- Rok albo dwa lata wcześniej rodzice załatwiają salę, w której ma się odbyć przyjęcie komunijne. Wybierają menu, zastanawiają się nad prezentami, a gubią istotę całej uroczystości – mówi. – A istotą jest sam sakrament Eucharystii. Pierwsza komunia wprowadza niejako do dorosłego życia religijnego. Po to dziecko chodzi cztery lata na katechezę. Lekcje religii odbywają się w przedszkolu, potem pierwszej, drugiej i trzeciej klasie szkoły podstawowej. Trwa więc przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej, katecheci się trudzą, a wielu rodziców spłaszcza całe zagadnienie, myśląc tylko co zewnątrz, a nie o tym co niesie z sobą przyjęcie tego sakramentu. A przecież Pierwsza Komunia Święta, pierwsza spowiedź są dużym przeżyciem dla dziecka. Tylko na tę sprawę zwracają niemal wyłącznie księża, katecheci. Dla większości rodziców ważne jest zupełnie co innego. Nie ma tu tej zgodności i jest to bolesne. Doprowadza to do tego, że uroczystość pierwszokomunijna staje się wydarzeniem o charakterze rekreacyjno-ludycznym. Zdarzało się, że dziecko podjeżdżało do kościoła na swoją pierwszą komunię białą karetą zaprzężoną w sześć koni.

Ks. Andrzej Blewiński przyznaje, że uroczystość Pierwszej Komunii Świętej skomercjalizowała się.

- Pamiętam, że w jednej z parafii rozmawiałem z dziećmi na temat prezentów komunijnych - wspomina. - Prześcigały się w opowieściach, co kto dostał. Były rowery, komputery, konsole. I odezwała się w końcu jedna dziewczynka, która powiedziała: Dla mnie największym prezentem był Pan Jezus w Komunii Świętej! Zaległa niesamowita cisza. Zaskoczyła kolegów i koleżanki. Ale ta dziewczynka dała bardzo dojrzałą odpowiedź. To nie oznacza, że nie powinno się dawać prezentów na Pierwszą Komunię Świętą. To sympatyczny element tej uroczystości, bo zawsze miło jest coś dostać, ale nie należy nastawiać dziecka na to, że ta uroczystość wiąże się tylko z upominkami. Nie można mówić dziecku, że przyjedzie wujek i da komputer, a ciocia – rower. Dziecko wtedy nastawia się tylko na te prezenty. Marzy o nich, rozmyśla. Gubi się wtedy to, co jest w Pierwszej Komunii Świętej najważniejsze. Dochodzi nawet do takich sytuacji, że tuż przed komunią świętą rodzicom przypomina się, że dziecko nie jest ochrzczone. W naszej parafii na przełomie kwietnia i maja będzie kilka takich chrztów. Jeszcze raz powtórzę, że podczas Pierwszej Komunii Świętej najważniejszy jest wymiar religijny, nie komercyjny. Niestety, ten głos jest zagłuszony. Często posyła się dziecko do pierwszej komunii dlatego, że tak wypada, bo idą jego koledzy, koleżanki. Eksponowane jest profanum, a sacrum jest pomijane.

Sam dobrze pamięta swoją Pierwszą Komunię Świętą. Przystępowała do niej setka dzieci.

- Cała uroczystość była skromnie przygotowana- opowiada. - Wiadomo, czasy były inne. Nie było takich wystawnych prezentów, obiadów, tylu gości. Do dziś pamiętam, że w czasie mszy świętej byłem rozproszony, rozglądałem się, by zobaczyć czy do komunii przystępują moi rodzice. Kiedy zobaczyłem ich u komunii, to uspokoiłem się...

Po uroczystości był w domu obiad. Byli na nim tylko rodzice, brat i siostra oraz chrzestni z rodzinami. Ks. Andrzej zapamiętał, że mama ugotowała rosół, a od chrzestnego dostał w prezencie radziecki zegarek i małe radio tranzystorowe.

eprasa.pl bd0d45656b

Gazeta Lubuska
Piątek, 8.05.2026

– Zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie – mówi Alina Gabrel-Kamińska z Białegostoku, fotografka porodowa

Urszula Śleszyńska

SFOTOGRAFOWAŁA JUŻ 30 PORODÓW I PRZY KAŻDYM MOCNO SIĘ WZRUSZA

Poród to bardzo intymny moment w życiu zarówno kobiety, jak i całej rodziny. Jak to się stało, że zaczęłaś w tę intymność wchodzić z aparatem?
To było 10 lat temu, w 2016 roku, ponad rok po porodzie mojego drugiego dziecka. Miałam depresję poporodową, problemy z karmieniem, więc szukałam wsparcia na kręgach kobiet. Robiłam zdjęcia na tych spotkaniach. Później zaczęłam też fotografować kobiety karmiące i jedna z mam, która była w pierwszej ciąży, spytała się, czy bym zrobiła reportaż z jej porodu. Od razu się zgodziłam. I od razu wsiąkłam w tę tematykę. To był poród domowy, podczas którego płakałam jak bóbr, razem z rodzicami. Miałam bardzo trudne warunki, bo była noc i tylko kilka świeczek. Rodzice nie wyrazili zgody na publikację tych zdjęć, więc nie mogłam się pochwalić, że byłam przy porodzie. Ale te emocje, ta adrenalina, te endorfiny – tego nie da się porównać do niczego innego.

Ile porodów już sfotografowałaś?
Około trzydziestu.

Nie jesteś jedyną fotografką porodową w Polsce.
Kiedy zaczynałam 10 lat temu, było nas może trzy osoby, w tym jeden mężczyzna. Dziś w Polsce jest coraz więcej fotografek i fotografów porodowych.

Myślisz, że kobietom jest łatwiej fotografować porody niż mężczyznom?
Tak, wydaje mi się, że kobietom jest łatwiej. Poród to bardzo intymny moment. Ja zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie. I myślę, że łatwiej jest zrobić takie zdjęcie mi, czyli kobiecie, która też już rodziła, niż mężczyźnie. Mój pierwszy osobisty poród był naturalny, a drugi – za pomocą cesarskiego cięcia, więc mam różnorodne doświadczenia i myślę, że dzięki temu jest mi łatwiej.

Kiedy podczas porodu najczęściej naciskasz spust migawki?
Trudno znaleźć konkretne momenty. Naciskam spust, kiedy czuję, że te kadry opowiedzą całą historię narodzin. Często fotografuję mało oczywiste detale, jak kosmyk włosów spadający na czoło, splecione dłonie rodziców...

Fotografia porodowa to chyba najintymniejsza z istniejących dziedzin fotografii?
Myślę, że tak. Ale wiem, że są też tacy, którzy robią jeszcze bardziej intymną, na przykład zdjęcia w trakcie... poczęcia.

Czy zdarza się, że przygotowująca się do porodu kobieta bardzo chce mieć fotograficzny zapis tego najważniejszego w jej życiu wydarzenia, a jej mąż czy też partner nie chce?
Tak się zdarza. Bywa, że mężczyzna się nie zgadza, bo uważa, że to zbyt intymne. Albo też nie zgadza się na robienie zdjęć w trakcie porodu, bo się boi, że zostaną na nich pokazane jego ogromne emocje. Ja w takich sytuacjach nigdy nikogo nie namawiam, bo to jest ich poród i to musi być ich wspólna decyzja. Ale przede wszystkim musi być zgoda kobiety, bo to jest jej ciało i jej przestrzeń.

Podczas porodów domowych kobieta i mężczyzna wpuszczają cię do swojej prywatnej przestrzeni i tam, w takiej intymnej atmosferze, z pewnością łatwiej jest fotografować poród niż w szpitalu?
To jest przepaść. Porody domowe to dużo większa swoboda dla rodziców, ale i dużo większa swoboda dla mnie. W domu rodzącą kobietę otaczają bliscy, rodzina i każdy, kogo rodząca zaprosi. Kiedyś tak właśnie wyglądały porody, że była obecna cała rodzina, tworzono krąg kobiet. I ten poród domowy to jest taki powrót do tych więzi, do wspólnoty, na swoich warunkach. Jest pełna swoboda – rodząca kobieta może chodzić, ruszać się, wyjść nawet na spacer czy też zjeść coś, na co akurat ma ochotę.

FOT. MAGDALENA WŁASZEK

– Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno narodzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś takiego, co warto zatrzymywać w pamięci – mówi Alina Gabrel-Kamińska

A w klinice raczej nie jest to możliwe.

W robieniu zdjęć podczas porodów domowych zapewne pomaga ci to, że pracujesz zazwyczaj ze sprawdzonymi położnymi, które dobrze znasz?
Tak. To działa w obie strony. Czasem podpowiedzą, w którą stronę układa się główka dziecka podczas porodu, żebym ją sfotografowała. Ja z kolei mogę podać im coś, czego potrzebują.

Czy bywa, że w szpitalach trafiasz na opór – że rodzice bardzo chcą mieć zdjęciowy reportaż z porodu, ale personel szpitalny nie chce?
Tak. Uzyskanie zgody jest największym wyzwaniem. W jednym ze szpitali uzyskałam zgodę dopiero po bardzo długim staraniu, a w drugim – odmowę. Próbowałam różnymi metodami. To był bardzo długi proces. Myślę, że wiele osób z medycznego środowiska nie ma świadomości, że dla innych poród to nie tylko medyczne procedury, ale również relacje, emocje... Brak zgody na obecność doświadczonego fotografa odbiera rodzicom możliwość zatrzymania w kadrach tak ważnej historii. Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno narodzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś, co warto zatrzymywać w pamięci. Kiedyś pani anestezjolog, obecna przy porodzie, zapytała mnie: co pani tu fotografuje? Powiedziałam, że wszystko: relacje, dotyk, nie tylko te czysto medyczne sytuacje. Widać było, że troszkę zrozumiała, ale nie do końca (śmiech). Jeden z lekarzy ginekologów też mnie kiedyś zapytał, co ja chcę fotografować. Przecież tutaj nic nie ma! Krocze pani będzie fotografować? – dziwił się. Pokazałam mu reportaże z porodu domowego i z kliniki. Zobaczył różne momenty, które dzieją się pomiędzy medycznymi procedurami – bliskość, napięcie, emocje, jak tata trzyma mamę za rękę, ale też uchwycony moment, kiedy wszyscy się śmieją, jedzą. I w końcu jak przytulają dziecko.

I jak zareagował?
Powiedział: Teraz wiem, co pani chce fotografować. Po czym zapytał: A jak jest podczas porodu z cesarką? Co pani pokazuje? Odpowiedziałam, że pokazuję pewne elementy procedur medycznych, ale to też jest coś, dzięki czemu kobiety się uczą, oswajają strach, bo widzą, jak to wygląda. Widzą, że to nie jest tak, jak się większości wydaje, że to prosty zabieg. To jest poważna operacja, ale też są przy tym bardzo duże emocje. Fotografuję i mamę, i personel – jeżeli się zgodzi. Te porody – naturalny i za pomocą cesarskiego cięcia – różnią się przede wszystkim szybkością. Bo emocje podczas jednego i drugiego są tak samo duże.

Jednak fotografowanie cesarki jest chyba dużo trudniejsze?
Jest trudniejsze technicznie, bo na sali operacyjnej mogę stać tylko w jednym miejscu i nie wolno mi niczego dotykać – mam więc bardzo ograniczone pole manewru. Jeżeli postawią mnie w miejscu, gdzie nie będę miała dobrego widoku – to nie zrobię tego, co bym chciała. Ale na razie widzę otwartość w klinice, w której mogę robić porodowe zdjęcia, więc to mnie cieszy. Rozcięcie powłok brzusznych czy wyciąganie dziecka – w emocjach i w kadrach to jest coś pięknego. Na zdjęciach już widać twarz dziecka i to poczucie, że mama zobaczy ją dopiero za chwilę... Maluszka pokazują jej tylko przez moment, dają do pocałowania i zabierają. Ja też wtedy idę na pierwsze spotkanie taty z dzieckiem, kiedy może je zobaczyć i przytulić.

Wspomniałaś o wielkich emocjach rodziców, którym rodzi się dziecko. Ale chciałam też zapytać o twoje emocje – czy łzy u ciebie nadal się pojawiają?
Już mniej, ale przy każdym porodzie mocno się wzruszam. Przy pierwszym porodzie bardzo płakałam, razem z rodzicami. Chłonę te ich emocje, ale staram się też zatrzymywać kadry, fotografować, jak rodzice płaczą. Jakbym sama się rozkleiła, to w ogóle żadnych zdjęć bym nie zrobiła (śmiech).

Ostatnio jedna z twoich porodowych fotografii – „Released" – zdobyła Silver Award oraz Members' Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP.
Pierwszy raz wysłałam zdjęcia na taki stricte porodowy konkurs. Moja nagroda to dyplom International Association of Professional Birth Photographers. To największe międzynarodowe stowarzyszenie fotografów porodowych z siedzibą w Australii. Moje zdjęcie nagrodzono srebrnym laurem w kategorii Delivery oraz Members' Choice Award, które są przyznawane w głosowaniu przez profesjonalne fotografki porodowe z całego świata! Te zdjęcia pochodzą z przepięknego porodu, który miałam okazję fotografować w listopadzie 2025 roku. Mama zgodziła się na publikację tych zdjęć. To był już jej czwarty poród i był wspaniały.

Spotkałaś się wcześniej z tą rodziną, aby omówić zdjęcia?
No właśnie nie. Zazwyczaj umawiam się z rodzicami dużo wcześniej i czekam na telefon z informacją, że poród się rozpoczął, ale na ten poród nie miałam fotograficznego zlecenia. To był trochę inny przypadek. Moja znajoma miała kręcić

eprasa.pl bd0d45656b

film na zaliczenie do szkoły o tym, jak się pracuje przy porodach. Byłam tym podekscytowana, tylko musiałam znaleźć rodzącą mamę. Wiedziałam, że do szpitala czy też kliniki nie wpuszczą kolejnej osoby, więc taki poród od razu odpadał. Jednak dzięki zaprzyjaźnionej położnej, która przyjmuje porody domowe, udało mi się znaleźć mamę, której zbliżał się termin porodu. Powiedziałam, że zrobię zdjęcia bez wynagrodzenia, a rodząca mama będzie miała na pamiątkę i zdjęcia, i film. Tylko warunek jest taki, że zgodzi się na publikację. Zgodziła się. Przed porodem rozmawiałyśmy przez telefon, wszystko ustaliłyśmy i kiedy już dostałam sygnał, że poród się zaczął, zadzwoniłam od razu do tej dziewczyny od filmu. Okazało się jednak, że ją to przerosło i nie zdecydowała się jechać na poród. Byłam na nią zła, ale sama pojechałam. Było już ciemno. Usłyszałam, że w jednym z domów płacze dziecko. Pomyślałam, że się spóźniłam. Na szczęście okazało się, że to płakało starsze dziecko. Weszłam tam zestresowana, patrzę – a mama stoi uśmiechnięta i rozmawiają z położną. To był długi, ale i piękny poród. Było dużo śmiechu, a to nagrodzone potem zdjęcie powstało już pod koniec. Asia rodziła bardzo długo, bo skurcze zaczęły się dużo wcześniej. Ja byłam tam koło godziny 20, a ona urodziła po 6 rano i była wykończona. Była tak zmęczona, że nie dała rady stać na nogach – mąż ją trzymał. To nagrodzone zdjęcie wykonałam w momencie, kiedy Asia poczuła już ulgę i mogła odpocząć z tym małym dzieckiem na piersi.

Co jest najpiękniejsze w fotografii porodowej?
Wszystko. To oczekiwanie, te emocje. Nawet nie sam moment porodu, chociaż on jest kulminacyjny. Piękne jest to, jak się to wszystko rozwija. Piękna jest mama, która – mimo że jest jej bardzo trudno – to ma ogromną siłę i robi wszystko, by jej dziecko przyszło na świat. Piękny jest tata, który ją wspiera, a gdy widzi swoje dziecko po raz pierwszy, to płacze. Piękne jest to, że kobiety później mogą zobaczyć na zdjęciach, jak bliscy je wspierali. Nie umiem tego słowami opisywać. Mogę to pokazać na zdjęciach.

Zdarzają się też pewnie trudne chwile?
To te, kiedy nie możesz pomóc... Kiedy widać, że rodzącą mamę bardzo boli, a ja nie mogę nic zrobić. Mogę jedynie trzymać ją za rękę. Co też robię. Czasem więc odkładam aparat i po prostu jestem obok. Trzymam za rękę lub masuję plecy.

FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA/ BEZ SŁÓW

Zdjęcia Aliny Gabrel-Kamińskiej wykonane podczas porodów domowych. Jedna z fotografii – „Released" (powyżej) – zdobyła nagrodę Silver Award oraz Members' Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP

MATERIAŁ INFORMACYJNY GMINY PRZYTOCZNA

0011518272

WODA W GMINIE PRZYTOCZNA – WYZWANIA I KONKRETNE DZIAŁANIA

I. Woda w Przytocznej — lokalne zasoby i naturalne uwarunkowania
Woda w Gminie Przytoczna to zasób szczególny — nie tylko dlatego, że decyduje o codziennym komforcie życia mieszkańców, ale również dlatego, że jest silnie związana z charakterem całego obszaru. Gmina położona jest niemal w całości w zlewni rzeki Warty, a jej krajobraz tworzą liczne jeziora oraz rozległe kompleksy leśne. Na jej terenie znajduje się blisko **470 hektarów jezior**, w tym popularne w regionie jeziora Lubikowskie, Rokitno czy Wierzbno. To ogromny potencjał środowiskowy, ale jednocześnie zobowiązanie do odpowiedzialnego gospodarowania wodą.

Podstawą zaopatrzenia mieszkańców w wodę są lokalne ujęcia podziemne oraz stacje uzdatniania wody. System ten, typowy dla gmin wiejskich, zapewnia dostęp do dobrej jakości wody pitnej, ale wymaga stałych inwestycji i modernizacji.

Co istotne, Gmina Przytoczna od kilku lat notuje dodatnie saldo migracji – coraz więcej osób decyduje się tu zamieszkać, doceniając czyste środowisko, dobre skomunikowanie oraz warunki do budownictwa jednorodzinnego. To dobra wiadomość dla rozwoju gminy, ale jednocześnie realne wyzwanie dla infrastruktury wodno-kanalizacyjnej.

II. Wyzwania infrastrukturalne i odpowiedź gminy
Rozwój osadnictwa i rosnące potrzeby mieszkańców sprawiają, że istniejąca infrastruktura wodno-kanalizacyjna w wielu miejscach wymaga modernizacji i rozbudowy.

W strategii rozwoju gminy jednym z kluczowych kierunków działań jest właśnie **rozwój infrastruktury wodno-ściekowej oraz modernizacja stacji uzdatniania wody**.

Odpowiedzią na te potrzeby jest realizowany obecnie projekt:

„Uporządkowanie gospodarki wodno-ściekowej na terenie Gminy Przytoczna poza aglomeracją"
W jego ramach:

- powstanie ponad **10 kilometrów nowej sieci wodociągowej i kanalizacyjnej**,
- rozbudowana zostanie oczyszczalnia ścieków w Wierzbnie,
- powstaną nowe przyłącza dla mieszkańców,
- rozbudowana zostanie infrastruktura na odcinkach Przytoczna – Lubikowo oraz Rokitno – Przytoczna.

Szczególnie ważny jest rozwój sieci w kierunku miejscowości takich jak Lubikowo czy Rokitno, gdzie rozwój zabudowy i obecność obiektów wrażliwych (np. domów pomocy społecznej) wymagają stabilnych i bezpiecznych dostaw wody oraz sprawnej kanalizacji.

III. Inwestycja w jakość życia i środowisko
Nowoczesna infrastruktura wodno-kanalizacyjna to nie tylko wygoda mieszkańców. To również jeden z najważniejszych elementów ochrony środowiska. W przypadku Gminy Przytoczna ma to szczególne znaczenie – ze względu na liczne jeziora, cieki wodne i wysokie walory przyrodnicze.

Rozbudowa i modernizacja systemu:

- ograniczy ryzyko zanieczyszczeń wód powierzchniowych i gruntowych,
- poprawi efektywność oczyszczania ścieków,
- zmniejszy awaryjność przestarzałych instalacji,
- zwiększy bezpieczeństwo dostaw wody dla mieszkańców.

To działania wpisujące się w długofalową wizję rozwoju gminy, która zakłada równowagę między rozwojem infrastruktury a ochroną środowiska naturalnego.

IV. Woda to wspólna odpowiedzialność
Nawet najlepsza infrastruktura nie zastąpi odpowiedzialnych codziennych wyborów mieszkańców.

Oszczędzanie wody, racjonalne korzystanie z kanalizacji czy dbałość o środowisko to działania, które mają realny wpływ na przyszłość lokalnych zasobów.

Dlatego jednym z elementów projektu są także działania edukacyjne – skierowane zarówno do dorosłych, jak i dzieci i młodzieży. Oszczędzanie wody to nie tylko obowiązek, ale i inwestycja w przyszłość. Każdy z nas może w prosty sposób przyczynić się do ochrony lokalnych zasobów.

Warto pamiętać o kilku prostych zasadach:

- kontroluj szczelność instalacji — nawet małe przecieki to duże straty,
- wybieraj prysznic zamiast kąpieli,
- zakręcaj kran podczas mycia zębów i naczyń,
- korzystaj z pralki i zmywarki przy pełnym załadunku,
- zbieraj deszczówkę do podlewania ogrodu,
- podlewaj rośliny rano lub wieczorem,
- unikaj mycia podjazdów wodą,
- stosuj baterie z perlatorami.

To drobne zmiany, które w skali całej gminy mają ogromne znaczenie.

Bo w Przytocznej – podobnie jak wszędzie – każda kropla wody ma znaczenie.
Wokamid Sp. z o.o.,
ul. Dworcowa 8,
66-340 Przytoczna,
www.wokamid.pl

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY
Rzeczpospolita Polska
Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU

eprasa.pl bd0d45656b

Gazeta Lubuska
Piątek, 8.05.2026

Znamy go przede wszystkim jako ojca chrzestnego polskiego bluesa. Popularność zdobył, wykonując dziarskiego rock and rolla jako Shakin' Dudi. Teraz do księgarń trafia wywiad rzeka o jego twórczości – „No. 1". Nam Irek Dudek opowiada, jak zakochał się od pierwszego wejrzenia w swej obecnej żonie

Paweł Gzyl

IREK DUDEK: RADZĘ NIE SIĘ ZAŁAMYWAĆ, TYLKO POKONYWAĆ TRUDNOŚCI

FOT. ŁUKASZ RAK

Irek Dudek: nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię

Wczoraj były pana 75. urodziny. Wszystkiego najlepszego!
Bardzo dziękuję za życzenia.

Trudno uwierzyć w to, że ma pan 75 lat. Energii, optymizmu i kondycji mógłby panu pozazdrościć niejeden młodzieniaszek.
To miłe, iż pan uważa, że nie wyglądam na swoje lata. To prawda: mam jeszcze dużo siły do grania i organizowania festiwalu Rawa Blues. Może to zasługa tego, że mieszkam w górach i oddycham świeżym powietrzem.

Ma pan za sobą kilka trudnych przeżyć: poważne operacje i wypadek samochodowy. Te doświadczenia nie odebrały panu energii?
Zawsze miałem w życiu pod górkę, musiałem więc ciągle się mobilizować. Kiedy miałem ten wspomniany wypadek, w którym pogruchotało mi obie nogi, leżałem na wyciągu w szpitalu, poprosiłem więc żonę, by przyniosła gitarę i wykorzystałem ten czas, by lepiej nauczyć się grać na tym instrumencie. Teraz mam problemy z sercem, wszczepiono mi trzy bypassy, gorzej mi się więc oddycha. Na przekór temu wziąłem harmonijkę ustną i ćwiczę na niej codziennie. Tego rodzaju wyzwania i noszenie swego krzyża z pogodą ducha, jest najlepszym panaceum na te ciężkie doświadczenia. Dlatego wszystkim radzę nie załamywać się, tylko pokonywać trudności.

Takie okrągłe urodziny to okazja do podsumowań. To stąd pomysł na wywiad rzekę „No. 1"?
Tak. Tytuł książki to nawiązanie do płyty, którą nagrałem jeszcze za czasów komuny z własnym big-bandem. Jeśli ktoś przeczyta tę książkę, to zrozumie dlaczego „No. 1".

Zadowolony jest pan z tej książki?
Tak. Miałem tylko kilka uwag. Generalnie nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię. Każdy ma inną wrażliwość i inaczej postrzega różne wydarzenia. Czasami jest to dyskusyjne, ale poddaję się temu. Jacek Kurek jest rzetelnym dziennikarzem i widziałem, że mu zależało. Przyjeżdżał do mnie i wszystko nagrywał. Myślę więc, że dobrze wyszło. To fajny prezent na urodziny.

Dużo miejsca poświęca pan w tej rozmowie pana korzeniom. Na ile Śląsk ukształtował pana osobowość?
To właśnie na Śląsku zakochałem się w bluesie. W połowie lat 60. w Katowicach był klub Ciapek, gdzie moi starsi koledzy grali do tańca utwory The Animals, The Pretty Things czy The Rolling Stones. Ponieważ byłem za młody na wejście, stałem tam pod oknem z kumplem i słuchałem przez kilka godzin. Pewnego razu wyszedł do nas basista Wojtek Toboł i pyta: „Co wy tu robicie?". „Chcielibyśmy grać tak jak wy" – odparłem. „To masz harmonijkę, naucz się, to może zagrasz z nami" – powiedział. I faktycznie: pół roku później już z nimi występowałem.

Co pana zafascynowało w bluesie, że jest pan mu wierny do dzisiaj?
Wychowałem się na rock and rollu. A on przecież wziął się z bluesa. Znalazłem więc najpierw Johna Mayalla. Nauczyłem się nawet grać jego utwory jeden do jednego. To był biały blues. Potem wiedziony ciekawością, dotarłem do nagrań tych, którzy go inspirowali. To byli już czarni bluesmani z Ameryki – Muddy Waters czy Johnny Lee Hooker. W ich muzyce była prawda i szczerość – i to mnie przede wszystkim ujęło.

W latach 60. władza lansowała hasło „polska młodzież śpiewa polskie piosenki". A pan wykonywał bluesa po angielsku. Miał pan przez to pod górkę?
Tak. Na siłę lansowano wtedy big-bitowe zespoły, które śpiewały tylko po polsku. Dlatego trafiłem na ścianę – nie mogłem nic nagrać ani dla radia, ani na płytę. Raz tylko udało mi się w Poznaniu zarejestrować cztery utwory, ale gdzieś przepadły i nie było szans, żeby je wylansować.

Duża część pana kariery to czas komuny. Jakie sobie pan radził z ówczesnymi władzami?
Występowałem przede wszystkim w klubach studenckich, a one były otwarte na taką muzykę. Nie było wtedy jeszcze dyskotek, więc po prostu graliśmy do tańca. Nie miałem żadnych oficjalnych przeszkód. Brakowało mi tylko nagrań, przez co długi czas byłem mało znany.

Co sprawiło, że się pan nie poddał?
Z perspektywy czasu te dziesięć lat tułania się po studenckich klubach wyszło mi na dobre. Wykonując standardy rhythm and bluesowe i bluesowe nauczyłem się dobrze grać na harmonijce ustnej, poznałem arkana improwizacji, dowiedziałem się, jak aranżuje się piosenki i jak się prowadzi zespół. To wszystko zaowocowało, kiedy objawiłem się jako Shakin' Dudi. Ten czas grania i śpiewania w klubach sprawiły, że wokal do pierwszego utworu tej grupy nagrałem w cztery i pół godziny. Byłem bowiem przygotowany do wejścia do studia. A wtedy nie było żadnych komputerów, które czyściły fałsze. Dlatego uważam, że czasami dobrze jest długo ćwiczyć, zanim dokona się pierwszych nagrań.

Pod koniec lat 70. wyjechał pan do Ameryki, a dekadę później do Holandii. Nie chciał pan nigdy zostać na Zachodzie i tam próbować zaistnieć?
Kiedy byłem w Amsterdamie, poszedłem z moją płytą „No. 1" do jednego z klubów. Kiedy puściłem im, jak śpiewam bluesa po angielsku, powiedzieli mi: „Wszystko dobrze, ale my możemy mieć prawdziwych bluesmanów z Ameryki. Po co więc mamy ciebie angażować? Śpiewaj po polsku, to zobaczymy". Uznałem więc, że mają rację. Ponieważ miałem już za sobą nagrania Shakin' Dudi, opanowałem technikę śpiewania po polsku, musiałem ją tylko przenieść na bluesa. To było trudne – ale uznałem, że skoro jestem Polakiem, to powinienem śpiewać po polsku. Tak narodził się pomysł na projekt Symphonic Blues, z którym udało mi się pograć na Zachodzie. Mój menedżer Thomas Ruf wydał płytę z naszym koncertem w słynnym klubie jazzowym Subway w Kolonii. Była więc szansa na dużą karierę. Mnie się marzyło jednak nagranie albumu w Polsce z NOSPR-em. Wróciłem więc do ojczyzny, ale wycofał się sponsor i pomysł spalił na panewce. Ruf się na mnie obraził i zostałem z niczym.

W czasie PRL-u polski show-biznes był przesiąknięty alkoholem. Pan też nie wylewał za kołnierz. Nie dało się wtedy być muzykiem i nie pić wódki?
Z moich obserwacji raczej nie. Była to trochę rozpusta: alkohol, dziewczyny. Po latach dopiero udało mi się nad tym zapanować dzięki mojej mamie, która wymodliła, żebym przestał tak żyć i dzięki mojej żonie, która powiedziała, że wyjdzie za mnie, jeśli przestanę pić. Najgorzej było w tym pierwszym okresie mojej działalności, kiedy występowałem w klubach. Gdzie się bowiem nie wjeżdżało, tam od razu wyciągano alkohol. Nie byłem wówczas jakąś gwiazdą, ale dużo koncertowałem, więc znano mnie

eprasa.pl bd0d45656b

w tym środowisku. Dlatego każdy chciał się ze mną napić. A że grałem prawie za darmo, ten alkohol był wtedy prawie jedyną gratyfikacją za występ. Dlatego nie odmawiałem.

Wzorem gwiazd rocka z Zachodu demolowaliście pokoje hotelowe i wyrzucaliście krzesła przez okna. To wódka dawała taką fantazję?
Ja akurat tego nie robiłem, ale moi koledzy z zespołu trochę szaleli. Zabawa była na całego i czasem musiałem na drugi dzień na recepcji płacić za wyrządzone szkody.

Alkohol sprawił, że wysiadła panu trzustka i omal nie przypłacił pan tego życiem. To wtedy przyszło otrzeźwienie?
Tak. Zło przyniosło dobro. Kiedy po raz trzeci wylądowałem w szpitalu i lekarze dawali mi nikłe szanse na przeżycie, powiedziałem, że muszę wszystko robić na trzeźwo. Nagrałem potem cztery najważniejsze w moim życiu płyty bez jakichkolwiek wspomagaczy. Sam byłem trzeźwy i tego samego wymagałem od moich kolegów-muzyków. Tak jest zresztą do dzisiaj. Nawet na kacu nikt nie wychodzi ze mną na scenę.

Nigdy nie sięgnął pan po narkotyki?
Nigdy. Coś mnie powstrzymało. Może boża opatrzność? A byłem świadkiem, jak dwaj moi koledzy produkowali na własny użytek polską czarną heroinę. Mnie jakoś to nie brało. Wiedziałem, że narkotyki są wielką krzywdą dla organizmu. Koledzy się dziwili, ale tutaj się nie ugiąłem. I całe szczęście.

Wielki sukces osiągnął pan w latach 80. jako Shakin' Dudi. Jak to się stało, że coś, co miało być wygłupem, okazało się strzałem w dziesiątkę?
Byłem wtedy zafascynowany punkiem. Kupiłem sobie nawet płytę Sex Pistols. Miałem już wtedy trzydzieści lat, nie mogłem więc sam być punkowcem. Pomyślałem zatem, że poszukam tych rytmów, które kręciły wtedy młodzież, w przeszłości. I znalazłem je w garażowym rock and rollu z lat 50. W radiu leciał wtedy na okrągło angielski piosenkarz Shakin' Stevens, który wykonywał taką muzykę na dyskotekową modłę. Denerwowało mnie to i pomyślałem: „Ja będę śpiewał prawdziwego rock and rolla". Namówiłem więc dwóch punkowców, dwóch jazzmanów i jednego bluesmana – i założyliśmy grupę Shakin' Dudi. „Robimy happening muzyczny: rozwalamy, co się da!" – powiedziałem. Poprosiłem Darka Duszę ze Śmierci Klinicznej, żeby napisał proste i dosadne teksty, opisujące ówczesną rzeczywistość. Barwa mojego głosu i sposób śpiewania były bardzo charakterystyczne. „Gramy źle, tak jakbyśmy nie umieli grać" – zakomenderowałem. Ale jak tu powiedzieć muzykom, którzy grają dobrze, że mają grać źle? Jakoś się jednak udało – i to chwyciło. Ludzie nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywam i kiedy pojawiłem się gdzieś publicznie, to wołali za mną: „Hej, Shakin' Dudi!". (śmiech)

Dawaliście wtedy wręcz szalone koncerty. Naprawdę rozwalał pan fortepiany na scenie?
Tak. Pierwszy raz wydarzyło się to na festiwalu Rock Arena. Ale tylko dlatego, że był to zły instrument. Potem dyrektor się miotał, a ja mu na to: „Mogę odkupić to pianino po cenie detalicznej". „A to pan sprytny" – nagle zmienił front, bo wtedy nie było instrumentów w sklepach. (śmiech) Z kolei na festiwalu w Jarocinie poprosiłem o wąż strażacki i lałem wodą ludzi pod sceną. Nie bardzo umiałem sobie z nim poradzić i woda tryskała nawet na głośniki i wzmacniacze. Dlatego ich właściciel bardzo się zdenerwował i wpadł przerażony na scenę. Wtedy całe 25 tysięcy widzów zaczęło wrzeszczeć: „Zabij go!", żeby nie przeszkadzał mi w tym laniu wodą. (śmiech) Wrzasnąłem więc do Darka „Graj dalej" i polewałem tłum. Na koniec skoczyłem z blisko trzymetrowej sceny w ludzi. Ale stało tam sześciu wcześniej umówionych punkowców i mnie złapali. Czasem był to więc żywioł, a czasem coś było aranżowane.

Złota płyta" Shakin' Dudi pokryła się potrójną platyną, a pan rozwiązał zespół. Dlaczego zdecydował się pan zarżnąć kurę znoszącą złote jaja?
Bo to miał być tylko happening. Kiedy „Złota Płyta" odniosła wielki sukces, mogłem pójść dalej tym tropem i kosić niezły szmal. Nie po to jednak wymyśliłem ten zespół. Dlatego, aby być wiernym swoim słowom, musiałem go rozwiązać. Postanowiłem jednak przenieść doświadczenia z Shakin' Dudi na moją własną twórczość. I tak jako Irek Dudek nagrałem autorską płytę „No. 1". Wtedy okazało się, że mam równie co w rock and rollu dużo do powiedzenia w bluesie. Szef festiwalu w Jarocinie Walter Chełstowski namówił mnie, żebym połączył te dwa projekty w jednym programie „Stereo i w kolorze". Tak też się stało i graliśmy koncerty w wielkich salach, które ludzie wypełniali do ostatniego miejsca. To były czasy komuny, a my mieliśmy swoją aparaturę i jeździliśmy kilkoma TIR-ami oraz autobusem, jak jakieś gwiazdy rocka z Zachodu. To było wielkie przedsięwzięcie.

Wykonywał pan potem bluesa na różne sposoby: z bigbandem, symfonicznie, jazzowo, swingowo. Który z tych projektów jest panu najbliższy?
Symphonic Blues. Zjechałem z nim nie tylko bluesowe, ale i rockowe festiwale na Zachodzie. Chyba ten pomysł był najbardziej mój i inny od wszystkich pozostałych. Dużo walorów muzycznych ma jednak też płyta „No. 1", nagrana z moim własnym big-bandem – choćby klasyczny już dziś utwór „Something Must Have Change". W tym roku zagram go w katowickim NOSPR-ze podczas Rawy Blues. Ważna jest dla mnie też płyta „Dudek Bluesy", ponieważ dostałem za nią Fryderyka. To miało początkowo być demo, ale realizator powiedział, że nagra to w pełni profesjonalnie. Posłuchałem potem tego materiału i pomyślałem, że dołożę sekcję rytmiczną. Zaangażowałem uznanych jazzmanów i dałem im wolną rękę. Tak fajnie to wyszło, że zadzwoniłem jeszcze po pianistę. I wtedy stwierdziłem: „To jest bardzo dobre!". Fryderyk to potwierdził, ale koncertów zagraliśmy bardzo mało. Sam nie wiem dlaczego.

Kiedyś pan powiedział: „Koncertuję rzadko, żeby być świeżym". To dobra zasada?
Bardzo dobra. Nie lubię chałtur. Do każdego koncertu przygotowuję się bardzo długo. Jesienią zagram na Rawie Blues – i będę się do niego przygotowywał pięć miesięcy. Ktoś by powiedział: „Czyś ty zwariował?". Ale ja chcę wyjść na scenę i być zauważonym znowu w inny sposób.

Mówi się, że bluesman jest jak wino: im starszy, tym lepszy. To prawda?
Tak mi się wydaje. Trzeba się jednak dobrze starzeć. Bo jeśli wino się rozpuści, to zwietrzeje i zepsuje się. Dlatego bluesman musi opierać swą działalność nie tylko na wieku, ale przede wszystkim na ciężkiej pracy.

Pana dzieckiem jest też festiwal Rawa Blues, który odbywa się w Katowicach od 1981 roku i ciągle gromadzi kilka tysięcy widzów. Na czym polega jego sukces?
Przygotowując jego program, patrzę na bluesa szeroko. To nie tylko czarni muzycy z Chicago, ale też biali wykonawcy z pogranicza jazzu i rocka. To daje dużą świeżość. Dlatego te zespoły, które grają podczas finału Rawy, brzmią zupełnie inaczej. To przyciąga ludzi, którzy nie są koneserami bluesa, ale po prostu lubią posłuchać granej na żywo dobrej muzyki. I kiedy raz przyjdą na Rawę, to potem chodzą już co roku. A nawet z czasem zabierają swoje dzieci i wnuki. W tym roku festiwal odbędzie się w dwóch salach NOSPR-u, bo uznałem, że czas pokazać wirtuozów bluesa w sali, mającej najlepszą akustykę w Polsce. Wszystko będzie więc na najwyższym poziomie.

Kiedyś muzyk amerykańskiego zespołu Canned Heat powiedział: „Na Rawie rządzi muzyka, nie biznesman". Może i w tym tkwi sukces tego festiwalu?
To powiedział perkusista, jedyny członek oryginalnego składu tej grupy z lat 60., który zjeździł cały świat. Jego zdaniem biznes tak przewala niektóre festiwale, że po prostu je topi. Ja staram się tego uniknąć. Dla mnie liczy się przede wszystkim muzyka.

Kiedyś wyznał pan: „Nie przywiązywałem wielkiej wagi do pieniędzy, ale jakoś się mnie trzymają". Jak to możliwe?
Kiedy nie gonisz za pieniądzem, to on sam do ciebie przyjdzie. Jeśli robisz coś, co jest twoją pasją, to będzie to coś dobrego i ludzie się tym zainteresują. Wtedy ten pieniądz się znajdzie. Gdyby zależało mi na pieniądzach, to za czasów PRL-u nie tułałbym się po klubach, tylko pojechałbym do Zielonej Góry czy Kołobrzegu. (śmiech) Tymczasem ja grałem za pół darmo, wystarczało mi na wino i kolację. Trzeba więc umieć zaryzykować w życiu i postawić na swoją pasję. Wtedy gdzieś się te pieniądze znajdą. U mnie znalazły się dopiero przy Shakin' Dudi. Dziś też nie narzekam. Wybudowałem dom, posadziłem drzewa, mieszkam praktycznie w lesie. Czasem wychodzę sobie na przyzbę i gram na harmonijce. Bardzo dużo ćwiczę, bo chcę pokazać na Rawie, że właśnie zacząłem od tego instrumentu.

KIEDYŚ MIAŁEM PROPOZYCJĘ ZREALIZOWANIA FILMU O SOBIE, ALE ODMÓWIŁEM, BO NAPISALI MI GŁUPAWE DIALOGI: „NIE BĘDĘ Z SIEBIE ROBIŁ WARIATA"

W 1986 roku na festiwalu w Opolu poznał pan przyszłą żonę Iwonę. To była miłość od pierwszego wejrzenia?
Tak. Podeszła do mnie z prośbą o autograf dla swego brata. Siedziałem wtedy z muzykami z Shakin' Dudi przy jednym ze stolików na uboczu. Pogadaliśmy chwilę i zaproponowałem, żebyśmy się gdzieś przeszli. Spacerowaliśmy w sumie cztery godziny i w końcu mówię: „Ty będziesz moją żoną". (śmiech) Zorientowaliśmy się wtedy, że poznaliśmy się już wcześniej.

Czyli?
Iwona występowała w tanecznym zespole Arabeski. I w latach 70. spotkaliśmy się w Łodzi podczas programu „Lato, lato". Spałem w tym samym hotelu co ona i zalecałem się do niej, ale dostałem kosza. Iwona zadzwoniła więc do koleżanki w Paryżu z Arabesek i pyta się jej, czy zna Irka Dudka. A ona: „Pewnie, to taki fajny chłopak z długimi włosami". A ja już wtedy miałem krótką fryzurę. (śmiech) Te dziewczyny pamiętały mnie więc, a Iwona nie. Powiedziałem jednak, że zostanie moją żoną. A ona myślała, że ja żartuję. Zaprosiłem ją potem do Warszawy do hotelu Europejskiego. Z czasem zrozumiała, że ja tak na poważnie.

I jesteście do dziś razem.
Kiedy zakochałem się w Iwonie, ona pracowała jako modelka w Amsterdamie. Chodziła w poważnych pokazach, jej zdjęcie było na wielkich plakatach. Zarabiała dziesięciokrotnie więcej niż ja w Polsce. Postanowiłem więc pojechać do niej, obejrzeć trochę koncertów i spróbować samemu gdzieś pograć. Posiedziałem kilka lat w Amsterdamie, bo nie chciałem jej ograniczać. Kiedy urodziły się jednak nasze córki, powiedziałem: „Wychowajmy dzieci po polsku. Wracajmy do kraju".

Zawsze prezentuje się pan na scenie w stylowych garniturach. To żona, jako była modelka, odpowiada za pana garderobę?
Do pewnego stopnia. Często są to moje pomysły. Kiedy mieszkaliśmy w Amsterdamie, miałem ulubiony butik Paula Smitha, angielskiego projektanta, który szył ubrania w stylu lat 60. Pasowało mi to, więc co roku przed Rawą Blues chodziłem tam i kupowałem sobie cały zestaw, żeby być inaczej ubranym. Mam więc trochę tych garniturów w szafie, ale ostatnio przytyłem trochę i muszę popracować nad sobą, żeby się w któryś z nich wbić.

Pana córka Agata została klasyczną pianistką. To pana zasługa?
Chyba tak. Kiedy moja pierwsza córka Dorotka umarła w wieku ośmiu lat, nie chciałem, żeby Agatka poszła do tej samej podstawówki. Znalazłem dla niej szkołę muzyczną w Bielsku-Białej. Zaczęła więc grać na fortepianie. Kiedy miała iść do liceum, spytałem czy chce dalej się kształcić na tym instrumencie. Powiedziała, że tak, więc kupiłem jej poważny fortepian – Yamahę. Skończyła potem liceum i dostała się na Akademię Muzyczną w Katowicach. Miała bardzo dobrych profesorów i teraz przygotowuje się do nagrania płyty z muzyką Liszta. To trudne kompozycje, ale wymyśliła sobie, że to był rock and rollowiec swych czasów i chce zinterpretować je w taki właśnie sposób. Być może dzięki temu po ten album sięgną ci, którzy na co dzień nie są słuchaczami klasyki. Myślę, że to niezły pomysł i uda się jej.

Nie ukrywa pan, że bardzo ważną rolę odgrywa w pana życiu wiara. Trudno przyznawać się do Jezusa w polskim show-biznesie?
Ja tego nie odczuwam i nie zastanawiam się nad tym. Zostałem wychowany po katolicku, moja mama bardzo dbała o wiarę w rodzinie. Dlatego przestrzegaliśmy wszystkich tradycji. Dzięki temu zauważyłem, że jakoś inaczej przeżywa się rok ze względu na kolejne święta. Nawet ten zwykły tydzień pracy z niedzielą, poświęconą Bogu i na odpoczynek, też ma głębszy sens. Od kilku lat chodzę codziennie do kościoła na mszę o siódmej rano i przyjmuję sakrament. To pomaga mi unieść te wszystkie choroby, które mnie nie omijają. Jestem inwalidą, choruję na serce i na cukrzycę, ale mam wrażenie, że niosę ten krzyż z uśmiechem. Kiedy leżałem na trzustkę lub ostatnio na te bypassy w szpitalu, to zawsze szukałem szpitalnej kaplicy. Modlitwa była dla mnie podporą, aby tę chorobę zwyciężyć. I zawsze się udawało.

O pana życiu powinien powstać film fabularny. Jakiego aktora widziałby pan w roli Irka Dudka?
Kiedyś miałem propozycję zrealizowania filmu o sobie, ale odmówiłem, bo napisali mi głupawe dialogi. „Nie będę z siebie robił wariata" – powiedziałem. (śmiech) A dziś kto mógłby mnie zagrać? Nie mam pojęcia. Na pewno musiałby być to ktoś młodszy ode mnie, żeby mógł zagrać mnie w moich najlepszych latach.

eprasa.pl bd0d45656b

Gazeta Lubuska
Piątek, 8.05.2026

BYŁ KILKANAŚCIE RAZY W CZARNOBYLU. OBALA MITY

Tomasza Górskiego ciągnęła do Czarnobyla chęć zweryfikowania obiegowych przekonań. – Miałem wrócić ze strefy śmierci schorowany i święcący w ciemności. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna!

Agnieszka Domka-Rybka

Minęło 40 lat od momentu, gdy 26 kwietnia 1986 r. niebo w okolicy Prypeci, w obecnej Ukrainie, rozświetliła łuna. Radioaktywny materiał wydobywał się z uszkodzonego reaktora czwartego bloku elektrowni atomowej w Czarnobylu. Tak było naprawdę. - Jednak z czasem mity na temat katastrofy zaczęły mieszać się z faktami. Z biegiem lat coraz trudniej ocenić, co jest fikcją, a co rzeczywiście tam się stało. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna - podkreśla Tomasz Górski, bydgoski „poszukiwacz tajemnic", z wykształcenia archeolog i psycholog, z zamiłowania podróżnik.

Bydgoszczanina szczególnie pasjonują wyprawy do miejsc, które kryją sekrety, kręci go atmosfera opuszczonych miast i podziemi. Do tej pory odwiedził ponad 100 krajów, a w Czarnobylu był kilkanaście razy. Rozmawiał z ludźmi, m.in. byłymi mieszkańcami Prypeci, pracownikami elektrowni i słuchał specjalistów od energii jądrowej.

„Nie było żadnego grzyba atomowego"

To nie jest przypadek, że spotykamy się na terenie po byłym, bydgoskim Zachemie. Dokładnie przy rampie, która służyła do załadunku i wyładunku towarów. Na dole wciąż są nieużywane tory kolejowe (złomiarze jeszcze ich nie rozkradli), którymi kiedyś przyjeżdżały cysterny z chemikaliami.

- Mnie to miejsce kojarzy się ze strefą czarnobylską. Tam również linia torów kolejowych, tzw. eksterytorialna, przez teren Białorusi biegnie do samej elektrowni, czyli miejsca, w którym 40 lat temu doszło do katastrofy - wspomina pan Tomasz.

Skąd wzięła się jego fascynacja Czarnobylem? - Obejrzałem w telewizji film „Dzwony Czarnobyla", wyprodukowany w 1996 r. Opowiadał, co działo się 10 lat od wybuchu reaktora. Była w nim pokazana Prypeć (obwód kijowski), czyli legendarne, opuszczone miasto duchów. I pojawiła się ogromna chęć, żeby je zobaczyć. Długo nie dawało mi to spokoju, aż pojawiła się możliwość, żeby tam pierwszy raz w życiu pojechać, w 2008 r. Wówczas nie było to miejsce modne, a raczej wypad tylko dla ekscentryków. Gdy powiedziałem, że wybieram się do Czarnobyla, niektórzy pukali się w głowę: „wrócisz ciężko chory" lub „w ogóle nie wrócisz" albo „będziesz świecił w ciemnościach".

Opowiada, że rzeczywistość okazała się zupełnie inna: - Dziś już wiemy z perspektywy czasu, że do wybuchu wojny w Ukrainie była to prawdziwa perełka turystyczna. Zjeżdżały tam tysiące osób i przewodników. Ci przewodnicy mówili, że po emisji serialu „Czarnobyl" zaczął się taki napływ turystów, że wycieczki trzeba było rezerwować z dużym wyprzedzeniem.

Najbardziej pamięta swoje pierwsze wyjazdy, gdy strefa była nieznana i to, jak zderzył się z mitem: - Wystarczy wpisać Czarnobyl w Google i mamy obraz katastrofy: tysiące ofiar, olbrzymi obszar skażenia na tysiące lat, nic tam nie żyje, nic się nie dzieje, strefa śmierci. Youtuberzy nagrywali filmiki: „Byliśmy w Czarnobylu, nawet ptaki nie śpiewają". Bzdury! Słyszałem ptaki, wiele ptaków. Dziś to ogromny rezerwat przyrody, raj dla zwierząt, który powstał na bazie czegoś ekstremalnie tragicznego. Można było normalnie wejść - relacjonuje i od razu tłumaczy się, że nie odwiedził strefy od wybuchu wojny w Ukrainie: - Na pewno teren jest zaminowany, stacjonowały tam wojska rosyjskie. Po wojnie trudniej tam będzie pojechać, bo przecież w Ukrainie są ważniejsze miejsca do rozminowania niż Czarnobyl.

Gwoli wyjaśnienia: wraz z upadkiem ZSRR zamknięta strefa wokół Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej uległa podziałowi na dwie części: Ukraińską i Białoruską. Obie znacznie się od siebie różnią i są zarządzane niezależne od siebie. Strefa ukraińska jest bardziej znana i łatwiej dostępna. To tam znajduje się elektrownia, miasteczko Czarnobyl oraz słynne „opuszczone miasto" Prypeć. Strefa białoruska przez wiele lat była niedostępna dla osób z zewnątrz. Jest tam mnóstwo opuszczonych wsi, utworzono też „Państwowy Rezerwat Ekologiczny Polesie".

FOT. AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

Rampa po bydgoskim Zachemie. „Tory jak w Czarnobylu"

FOT. ARCHIWUM/TOMASZ GÓRSKI

Pan Tomasz w sterowni bloku czwartego czarnobylskiej elektrowni. Dokładnie w nim doszło do katastrofy w 1986 r.

Według bydgoskiego „poszukiwacza tajemnic", katastrofa jest już mitem samym w sobie: - W filmach popularnonaukowych widzimy, że nagle doszło do potężnego wybuchu. Kojarzę scenę, jak rodzina je kolację i w ułamku sekundy domem mocno trzęsie, a gdzieś za oknem widać na horyzoncie grzyba atomowego. Nic takiego się nie wydarzyło! Katastrofa była bowiem rozciągnięta w czasie. Zacznijmy od tego, że to nawet nie miała być elektrownia. Produkowano w niej pluton na potrzeby wojska do broni nuklearnej. I stworzono miejsce, które miało udawać elektrownię. Nietypowa konstrukcja z mnóstwem dziwactw technicznych. Reaktory o wiele większe niż standardowe, więc trudno je było zamknąć w obudowach bezpieczeństwa. Plątanina tysięcy rur i spawów, nad którymi trudno zapanować, więc w końcu musiało dojść do rozszczelnienia, właściwie na życzenie ludzi - tak postrzega to Tomasz Górski. Jak twierdzi, ktoś wymyślił, żeby przeprowadzić eksperyment, jak zachowa się reaktor w przypadku zaniku zasilania: - Wyznaczono już nawet datę próby i przeszkoloną do tego załogę. Wtedy z Kijowa przyszła informacja, że trzeba wstrzymać test w związku z bardzo dużym zapotrzebowaniem na prąd. Zaczęto więc ten dzień przesuwać w czasie. W tzw. międzyczasie zmieniały się ekipy pracowników i przychodzili kolejni, mniej zorientowani w temacie. W końcu przeprowadzono eksperyment w nocy i uruchomił on lawinę zdarzeń. Jednak nie doszło, jak jest to przedstawiane, do wielkiego wybuchu nuklearnego z grzybem atomowym. Ciśnienie rozsadziło metalową konstrukcję, która zawierała materiał radioaktywny. Zaczął się wydostawać na zewnątrz. Pierwsza eksplozja była mała, kolejna to wybuch chemiczny wodoru i wtedy też zginęła pierwsza osoba, Walerij Chodemczuk. Był w tym momencie w pobliżu płyty reaktora, jego ciała nigdy nie znaleziono. Blisko bloku czwartego do dziś wisi tablica upamiętniająca pierwszą ofiarę Czarnobyla - pan Tomasz mówi, że widział tę tablicę.

Dodaje, że w przypadku ogólnej liczby ofiar, także mamy do czynienia z bardzo dużym rozrzutem: - Internet „informuje" nawet o tysiącach ofiar, natomiast w samej katastrofie, pożarze reaktora, zginęło 35 osób. Choć i to może być zawyżony wynik, bo wśród tych 35 ofiar były cztery, które znalazły się tam zupełnie przypadkowo. Według pana Tomasza, mitem są również opowieści, jak przebiegała ewakuacja, to, że ludzi zabrano i nie mogli tam wrócić. Miałem okazję rozmawiać z mieszkańcami Prypeci. Wspominali, że najpierw pojechali do specjalnych obozów, potem przenoszono ich do różnych hoteli robotniczych i był też czas, że pozwolono im wrócić, aby zabrać swoje rzeczy, odzież czy nawet meble. Często przydzielano rodzinom mniejsze lokale i część przedmiotów już nie była im potrzebna.

Dziś wyobraźnię rozbudza samotne przejście ulicami pustej Prypeci: - Mnie przypomina osiedle Błonie w Bydgoszczy sprzed 30 lat. Błonie bez ludzi. W Prypeci są tylko pracownicy strefy czarnobylskiej. Pilnują, żeby nie była rozkradana. Jednak lokalni złomiarze też działają.

Oczywiście, są miejsca bardziej skażone, gdzie chmura osiadała, jak m.in. w okolicy Czerwonego Lasu. Ale np. przy ścianie sarkofagu elektrowni (stalowa powłoka ochronna reaktora jądrowego, zbudowana po katastrofie) jest teraz promieniowanie radioaktywne mniej więcej na poziomie jak w Indiach (Rejon Kerala), gdzie ludzie normalnie żyją.

Tomasz Górski był w kilku lokalizacjach „grozy", np. w sławnym czwartym bloku elektrowni, na płycie reaktora, gdzie doszło do wybuchu (łącznie znajdują się tam właśnie cztery bloki): - On robi największe wrażenie. Ta pustka, surowość miejsca, lecąca woda radioaktywna. Gdy pojechałem do Czarnobyla pierwszy raz, dużym wyczynem było w ogóle wejście do samej elektrowni, dwóch pierwszych bloków, z czasem strefa coraz bardziej się otwierała. W czwartym bloku byłem z kolegą. Oprowadzał nas pan, który miał klucze do wszystkich miejsc. Zapytał: „Panowie, to co chcecie zobaczyć?". I tak zobaczyliśmy wszystko, co tylko się dało.

Kombinezony strażaków. One wciąż promieniują

Przypadkiem zobaczył słynne zdjęcie ciężko chorego dziecka - „Igora z Czarnobyla": - Mały chłopiec miał być zdeformowany, bo jego mama będąc w ciąży została napromieniowana. Nieszczęście Igora nie miało jednak związku z katastrofą. W jego życiu płodowym pępowina owinęła się wokół nóżek i to miało dramatyczne skutki. Historie opowiadane także o innych niepełnosprawnych dzieciach też można między bajki włożyć.

Pan Tomasz nie kryje, że od początku ciągnęła go do Czarnobyla właśnie potrzeba weryfikacji mitów. Wciąż powstają nowe. Kit dosłownie sprzed tygodnia, gdy była 40-rocznica katastrofy: - Wydawać by się mogło, że oglądam poważny program w telewizji. Była rozmowa ze strażakiem, który uczestniczył w akcji gaszenia pożaru w 1986 roku. Opowiadał niestworzone rzeczy. Mówił, że przyjechali gasić ogień i wykonali niesamowitą pracę, bowiem, gdyby nie ich działalność, to doszłoby do wielkiego wybuchu. Powstałby krater o średnicy 200 kilometrów, a strefa skażenia miałaby średnicę 800 kilometrów. Tymczasem nie było wybuchów jądrowych, które dokonałyby takich zniszczeń. Tak to wygląda, że z czasem fikcja miesza się z rzeczywistością, że coraz trudniej ocenić, co było naprawdę.

***

Czy pan Tomasz znalazł się kiedyś w sytuacji zagrożenia? - Tak, w podziemiach szpitala w Prypeci. Trafili do niego strażacy, którzy uczestniczyli w początkowej akcji opanowywania pożaru. Oni najbardziej ucierpieli, zmarli po kilku dniach na chorobę popromienną. Strasznie cierpieli. Ich kombinezony trafiły do ponurych piwnic szpitala. Będąc tam, przypomnę, że wiele lat po katastrofie, musiałem je niechcący musnąć butem. Leżało tam mnóstwo różnych przedmiotów, szmaty, widziałem hełm czy butle po tlenie medycznym. Wraz z przesuwaniem się po korytarzach nasz licznik Geigera (promieniowania jonizującego - red.) zaczął intensywnie narastać, aż przełączył się na tryb alarmowy. Wychodząc ze strefy przechodzi się kontrolę promieniotwórczą. Przy mnie zapaliła się kilka razy czerwona lampka, znaczy „Groźno" (zielona to „czysto" i świadczy o braku napromieniowania). Przeszedłem dezynfekcję i dopiero wtedy opuściłem strefę. Szok, że tyle lat minęło, a te kombinezony wciąż promieniują. Szok. ©℗

eprasa.pl bd0d45656b

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne lub nekrolog?
Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

NASZE BIURA OGŁOSZEŃ

ZIELONA GÓRA al. Niepodległości 25
czynne pon.-pt. 8.00-15.00
tel. 510 026 518
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

GORZÓW WLKP. ul. Sikorskiego 111 (Park 111, II p.)
czynne pon.-pt. 8.00-16.00
tel. 510 026 986
e-mail: bog.gazetalubuska@polskapress.pl

SŁUBICE ul. T. Kościuszki 6/1
czynne pon.-pt. 8.30-16.30
tel. 95 75 80 760
e-mail: bos@gazetalubuska.pl

RUBRYKI I PODRUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH

NIERUCHOMOŚCI
- mieszkania - sprzedam
- mieszkania - kupię
- mieszkania - do wynajęcia
- mieszkania - wynajmę
- mieszkania - zamienię
- domy - sprzedam
- domy - kupię
- domy - do wynajęcia
- domy - wynajmę
- domy - zamienię
- lokale użytkowe - sprzedam
- lokale użytkowe - kupię
- lokale użytkowe - do wynajęcia
- lokale użytkowe - wynajmę
- lokale użytkowe - zamienię
- działki, grunty - sprzedam
- działki, grunty - kupię
- gospodarstwa
- garaże
- pośrednictwo
- inne
- bank stancji

HANDLOWE
- AGD
- RTV
- elektronika, komputery
- telefony
- car audio
- antyki
- kolekcjonerstwo, sztuka
- jubilerstwo
- filmy, muzyka
- foto, książki
- instrumenty muzyczne
- lombardy
- sport i rekreacja
- maszyny urządzenia
- materiały budowlane
- materiały opałowe
- tekstylia, odzież
- dla dziecka
- meble
- inne

MOTORYZACJA
- samochody osobowe
- ciężarowe, dostawcze
- busy autobusy
- rolnicze
- przyczepy, naczepy
- zabytkowe
- uszkodzone, rozbite
- motocykle
- części i akcesoria
- zamienię
- motofinanse
- motousługi
- inne

FINANSE BIZNES
- kredyty, pożyczki
- usługi finansowe
- usługi prawne
- biura rachunkowe
- ubezpieczenia
- oferty
- inne

NAUKA
- szkoły
- kursy/szkolenia
- języki obce
- korepetycje
- inne

PRACA
- zatrudnię
- urzędy pracy
- szukam pracy
- inne

ZDROWIE
- apteki
- pomoc całodobowa
- chirurgia
- ginekologia
- interna
- neurologia
- pediatria
- psychologia
- psychiatria
- stomatologia
- urologia
- inne specjalizacje
- przychodnie, kliniki
- laboratoria
- zabiegi
- opieka
- sprzęt medyczny
- uroda
- inne

USŁUGI
- agd rtv foto
- budowlano-remontowe
- instalacyjne
- biurowo - projektowe
- komputerowe
- krawiectwo
- montażowe
- ogrodnicze
- porządkowe
- przeprowadzki
- reklamowe
- stolarskie
- radio taxi
- transportowe
- rozrywka
- uroczystości
- zabezpieczające
- inne

TURYSTYKA
- agroturystyka
- kraj
- świat
- biura podróży
- obozy i kolonie
- wycieczki
- przewozy
- inne

ZWIERZĘTA
- lecznice
- usługi
- inne

MATRYMONIALNE

RÓŻNE

KOMUNIKATY

ŻYCZENIA/PODZIĘKOWANIA

GASTRONOMIA
- dania na telefon
- usługi
- inne

ROLNICZE
- maszyny rolnicze
- ogrodnictwo
- płody rolne
- zwierzęta hodowlane
- inne

TOWARZYSKIE

USŁUGI KAMIENIARSKIE

USŁUGI POGRZEBOWE

0011521095

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 6 maja 2026 roku
w wieku 71 lat odszedł od nas
mój kochany Tata, Teść, Dziadek i Brat

ś†p

Stanisław Babiński

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się Mszą Św.
11 maja 2026 roku o godz. 13.00
w kaplicy na cmentarzu w Świdnicy.
Po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłego
na miejsce wiecznego spoczynku.

Pogrążona w żałobie
Rodzina

0011521245

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 7 maja 2026 roku
odszedł od nas w wieku 76 lat
Ukochany Mąż, Tato, Dziadek i Brat

ś†p

Jerzy Tomaszewski

Pogrzeb odbędzie się w poniedziałek
11 maja 2026 roku o godzinie 13.00
na cmentarzu w Jędrzychowie.

Pogrążona w żałobie
Rodzina

Praca

ZATRUDNIĘ

PRZYJMĘ do pracy na parkingu strzeżonym w Zielona Góra pana - emeryta.
Tel. 608 520 490.

Usługi

MONTAŻOWE

OKNA, bramy drzwi, roletki, naprawy okien, montaż PlastMat. Tel. 68 470 19 70, Wrocławska 35.

OKNA- rolety. Montaż- regulacja- naprawa. Ptasia 32/7B, tel. 535 530 555

INNE

STUDNIE głębinowe. Tel. 883 982 224

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

REKLAMA 0011516434

INFORMATOR POGRZEBOWY

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY
Zielona Góra, Masarska 13,
tel. **68-3202235, 68-3202232,** przewóz zwłok,
kompleksowa obsługa pogrzebów **601798365** całą dobę.

KAMIŃSCY Zielona Góra, ul. Kościelna 4, Zyty 19,
tel. **693 424 440; 68-3230509** oraz Polkowice ul. Spokojna 1;
Legnica ul. Chojnowska 7; Szprotawa ul. Kościuszki 31A
przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja
pogrzebów oraz transmisja pogrzebu online.

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. **95-7810083**
Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24 h.

REKLAMA 0011459133

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

REKLAMA 0011515938

REKLAMA 0011492021

REKLAMA 0011504916

AUTOREKLAMA

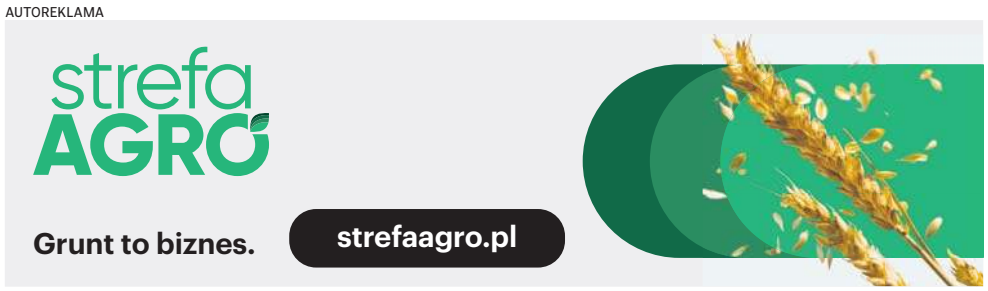

Krzyżówka panoramiczna

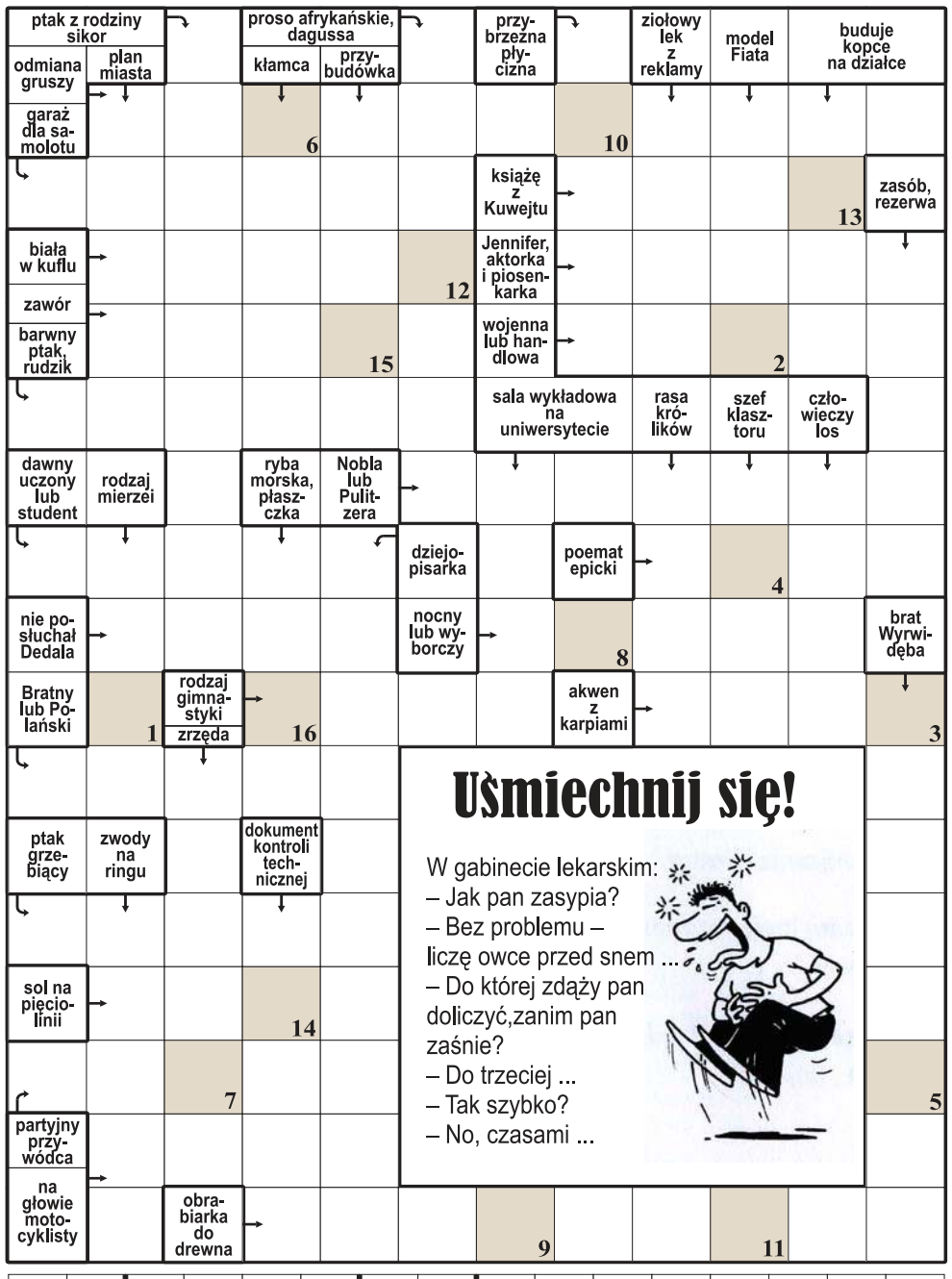

Uśmiechnij się!

W gabinecie lekarskim:
– Jak pan zasypia?
– Bez problemu – liczę owce przed snem ...
– Do której zdąży pan doliczyć,zanim pan zaśnie?
– Do trzeciej ...
– Tak szybko?
– No, czasami ...

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 16 utworzą rozwiązanie – dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

A) Indianie z Dzikiego Zachodu (6).
B) aktor z filmu „Titanic" (5,4).
C) naczynie do picia wina (6).
D) ssak morski z podrzędu waleni (8).
E) rdzenny mieszkaniec Grenlandii (7).
F) wystawne przyjęcie na czyjąś cześć (4).
G) słaby i nudny utwór literacki, film (5).
H) „... traw", sfilmowana powieść Trumana Capote (5).
I) najważniejszy bóg w hinduizmie (5).
J) odmiana fasoli o dużym, białym ziarnie (6).
K) coś, co istnieje realnie lub jest wyraźnie określone (7).
L) pylasta skała osadowa (4).
Ł) głośny odgłos, stukot (5).
M) osoba udzielająca pełnomocnictwa (9).
N) niewielki gryzoń polny (6).
O) oszklona rama stanowiąca górną część inspektu (4).
P) drobne, żółtobrunatne plamki na skórze (5).
R) łagodzi wstrząsy samochodu (5).
S) nieruchoma część silnika, stator (6).
T) trudne lub niemiłe sytuacje, kłopoty (8).
U) mięsny pierożek w barszczu (5).
W) firma produkująca kultowe „Ptasie mleczko" (5).
Z) chorobliwy majak (4).
Ż) ruchoma część szczęki (6).

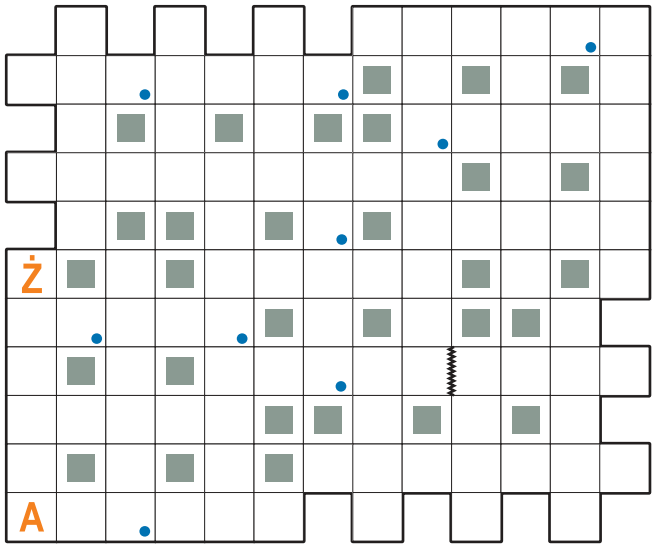

Krzyżówka z hasłem

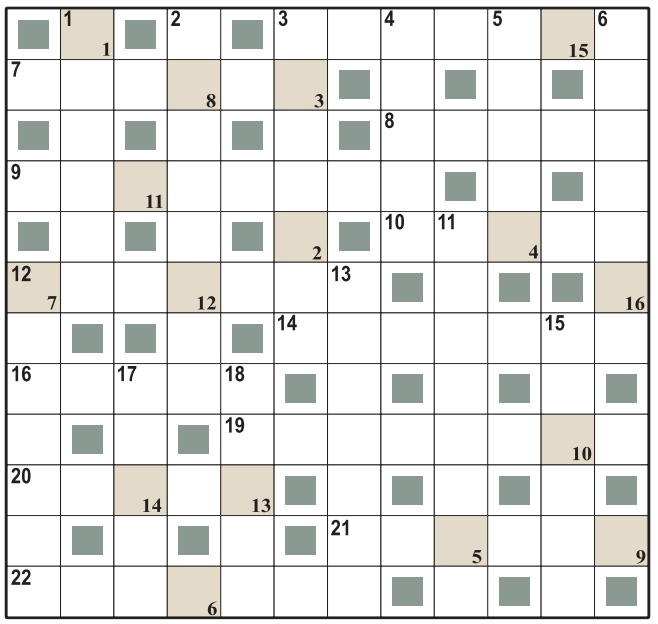

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 16 utworzą rozwiązanie: przysłowie.

Poziomo:
3) zakrywa czoło,
7) pieniądz metalowy,
8) olbrzym ulepiony z gliny,
9) drobiazg, błahostka,
10) tandem lub damka,
12) tatrzański harnaś,
14) zbrojownia, cekhauz,
16) ... Orlich Gniazd,
19) dokument księgowy,
20) polski taniec ludowy,
21) książka z paragrafami,
22) dawny pojazd konny.

Pionowo:
1) wskazówka od lekarza,
2) poetycka przenośnia,
3) duży obiekt handlowy,
4) odmierza czas,
5) grozi wezbranej rzece,
6) generał w marynarce,
11) greckie nimfy morskie,
12) zasłona twarzy Arabki,
13) przybór kreślarski,
15) wiekowe ludwiki,
17) środek odkażający,
18) dawna pieszczota.

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł baletu.

Duet jolek

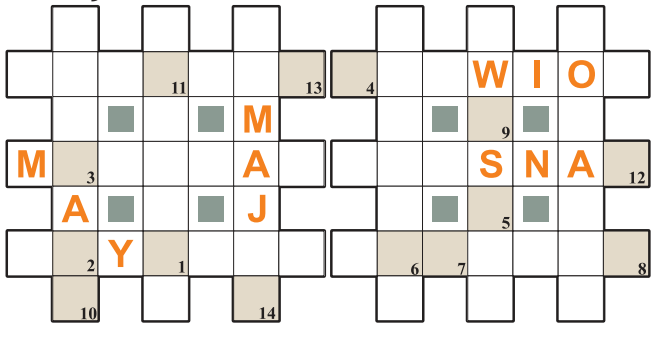

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 14 utworzą rozwiązanie. W przypadkowej kolejności:

– surowa recenzja
– wyspa ze stolicą w Kingston
– bajkowy skrzat
– przegrana na boisku
– żartobliwie o Francuzie
– np. Henryk Kwinto
– chudeusz, chuchro
– robocza część koparki
– manele, klamoty
– powłoka na kołdrę
– chroniony ssak górski
– tkanina z wełny owiec

Logogryf

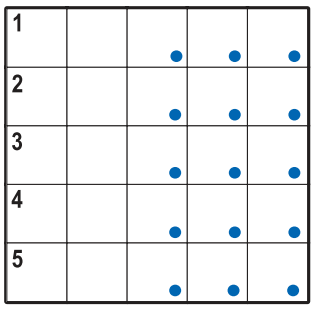

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł filmu.
1) z gondolą w powietrzu,
2) deser na mleku,
3) potocznie o nartach,
4) stolica Afganistanu,
5) podnośnik samochodowy.

Szyfr

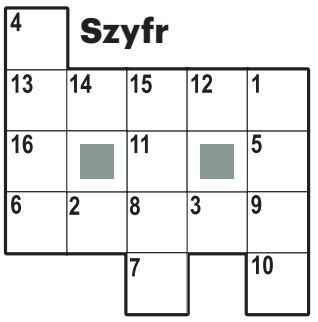

Litery z pól od 1 do 16 utworzą rozwiązanie: przysłowie.
Poziomo:
13) sworzeń, trzpień,
6) w boksie trwa 2 lub 3 minuty.
Pionowo:
4) zbój, łotr,
15) cuma lub hol,
1) James, aktor z filmu „Ojciec chrzestny".

Krzyżówka

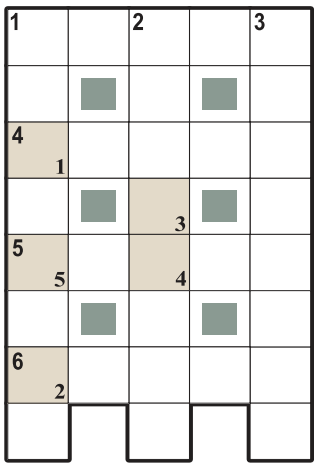

Litery z pól od 1 do 5 utworzą rozwiązanie: nazwę miasta.
Poziomo:
1) kurtka dżokeja,
4) potrawa meksykańska,
5) rosyjskie imię kobiece,
6) ostra przyprawa kuchenna.
Pionowo:
1, 2, 3) miasta w Polsce.

Rozwiązania

Krzyżówka panoramiczna: ... do wpół do czwartej; **krzyżówka z hasłem:** Prawda jest gorzka; **logogryf:** „Londyński bulwar"; **wirówka panoramiczna:** "Popołudnie Fauna"; **krzyżówka:** Tczew; **duet jolek:** Tristan i Izolda; **szyfr:** Cudza rana nie boli; **krzyżówka A-Ż:** antresola.

eprasa.pl bd0d45656b

drugi pokos trawy
dział lingwistyki
wyłapuje buble
trzepot flagi
dawny żaglowiec
filmowa Eva Perón
leczy zwierzęta
nietakt
niemieckie województwo
sucha gałązka
wyznacza kurs statku
wywar z ziół
nauka o ciałach niebieskich
stolica nad Nilem
jądro + elektrony
ogrodowe łóżko
sklep z antykami
jony dodatnie
23
powieść Stanisława Lema
zbierana przez skarbnika
ważna w historii
7
papier na ścianie
sportowa ekipa
8
tytułowa książki
np. Eminem
1
natarcie na wroga
13
szybka, cięta odpowiedź
lawendowy olejek
gobelin
kamizelka ratunkowa
ludowy zwyczaj witania wiosny
stan w USA
stolica Piotrowa
20
kosmate nakrycie łóżka
12
koń ze stadniny w Janowie Podlaskim
hrabia z „Ballądyny”
największe miasto Moraw
miasto nad Mleczną
obwódka wokół czapki pułkownika
werwa, wigor
góralski gospodarz
grecki bóg wojny
nagana
Celine, piosenkarka
utwór poetycki
14
dramat Witkacego
brak połysku
wigilijna ryba
przyrząd gimnastyczny
jeden ze zmysłów
25
elf z „Władcy Pierścieni”
egzotyczna jaszczurka
oficer w armii
rupieciarnia
kita wiewiórki
odmiana esperanto
ocena, opinia
buduje kopce na działce
2
może być na okaziciela
22
główna w sztuce
model Opla
wyższa izba parlamentu
ssak z Tybetu
anglosaska miara gruntu
tył jachtu
Piotr, skoczek narciarski
ostra krawędź
arlekin, błazen
zieleń lub czerń
wyspa w Indonezji
„piłka” do hokeja
16
9
kara za grzechy
harnaś z Tatr
19
posiada rozległą wiedzę
znak zodiaku
japońskie zapasy
bogini zwycięstwa
Boeing lub Airbus
kuzyn arbuza
płyn do płukania tkanin
17
kuchenna siekierka
rabuś, łupieżca
stolica Mali
odcień czerwieni
prasowe ogłoszenie
szwedzki kwartet muzyczny
6
jaź złoty
26
italska bogini wegetacji i urodzajów
umowa międzynarodowa
materiał opatrunkowy
okrycie dla siwka
stan atmosfery
śpiewak w klatce
z trzciny lub buraka
krawędź żagla
drzewo z Afryki, drążnik
auto z Lublina
wsteczny w aucie
mebel z półkami
interesuje speleologa
góralska zadymka śnieżna
śląska gra w karty
niewinny flircik
... Fleming, twórca Bonga
wypełniony ziemniakami
10
3
niewielki kram
miękki metal
mieszkańcy Podhala
medykament
koczownik
szal futrzany
piec alchemika
żądlący owad
imię Thurman
ustęp tekstu
27
cesarz rzymski, następca Nerwy
5
odmiana chalcedonu
dawna katedra
wulkaniczny
4
bystry w potoku
twórca opery „Wolny strzelec”
futerał na naszyjnik
klasztor pustelników
statek marynarki wojennej
18
młody student
małpka z Azji
11
piąty miesiąc
żyzna gleba
oświetla pole walki
roztwory koloidowe
24
„... Racławicka”, słynny cykloramiczny obraz
jasne piwo z pubu
sułtanat z Maskatem
miara ilości papieru
albańska metropolia
imię polskiego kosmonauty
15
sztuczny basen w porcie
agresywny stwór z książek Tolkiena
świętuje 1 września
21
M-1 zakonnicy
pies pokojowy
ptak-śmieszka
28
... Biedrzyńska, aktorka
legendarny stwór morski

AUTOPROMOCJA 0011227873
GAZETA LUBUSKA
w prenumeracie
z Tele Magazynem
68 381 70 52

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie: aforyzm Adama Decowskiego.

SŁOWNIK: ATANOR, CEKROPKA, KURNIAWA, NARD, ORK, TIMOR.

ROZWIĄZANIE: POETKI TEŻ UŻYWAJĄ MĘSKICH RYMÓW.

eprasa.pl bd0d45656b

Barcelona o krok od tytułu. Czyt to ostatnie El Clasico Roberta Lewandowskiego?

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **FC Barcelona 10 maja może świętować kolejne mistrzostwo Hiszpanii. Do wywalczenia tytułu ekipie z Camp Nou brakuje zaledwie punktu, ale rywalem będzie teraz Real Madryt.**

Cztery kolejki przed końcem sezonu, Duma Katalonii ma 11 punktów przewagi nad Realem Madryt i tak naprawdę, podopiecznym Hansiego Flicka wystarczy remis, aby zagwarantować zdobycie tytułu.

W tym sezonie oba kluby mierzyły się dwukrotnie. Jesienią, w lidze górą był Real, wygrywając 2:1. Barcelona zdążyła już jednak wziąć rewanż, pokonała „Królewskich" w styczniowym finale Superpucharu 3:2, a jedną z bramek w tym starciu strzelił Robert Lewandowski.

W ostatnich tygodniach coraz częściej mówi się o jego przyszłości. Obecny kontrakt naszego rodaka wygasa wraz z końcem sezonu, ale wciąż nie wiadomo, czy doświadczony napastnik zostanie na Camp Nou. Kataloński klub proponuje, aby przedłużył umowę, tyle że na innych niż dotąd warunkach. Kapitan reprezentacji Polski nie ma jednak zamiaru - jak wszystko wskazuje - zgadzać się na drastyczną obniżkę pensji i przypisanie roli rezerwowego. Wydaje się więc, że to może być ostatnie El Clasico z udziałem Lewandowskiego.

Nie wiadomo oczywiście, czy Robert znajdzie się w wyjściowym składzie na El Clasico, czy jako dżoker usiądzie na ławce. Nie jest natomiast tajemnicą, że w Realu panuje burza wokół Kyliana Mbappe. Francuz walczył z czasem, aby wrócić do pełnej sprawności na ten mecz. Serwis „Cadena SER" podaje, że Mbappe nie zagra jednak w El Clasico, ale nie z powodu urazu, a przez... konflikt z trenerem.

El Clasico FC Barcelona - Real Madryt w niedzielę 10 maja o godzinie 21:00. Transmisja z Camp Nou w Canal + Sport 3 i Eleven Sports 1.
©℗

FOT.GRZEGORZ WAJDA

Czy niedzielne El Clasico będzie ostatnim z udziałem Roberta Lewandowskiego jako piłkarza Barcelony?

Wielki finał dla Lechii Zielona Góra i Odry Bytom Odrzański

Robert Gorbat
rgorbat@gazetalubuska.pl

PIŁKA NOŻNA. **Środowe, półfinałowe mecze lubuskiego Pucharu Polski przyniosły jedną niespodziankę. Do finału awansowały drużyny z Zielonej Góry i Bytomia Odrzańskiego.**

O ile można się było spodziewać triumfu Lechii Zielona Góra nad Wartą w Gorzowie, o tyle zaskakuje zwycięstwo czwartoligowej Odry Bytom Odrzański nad grającą o klasę wyżej Cariną Gubin.

Piłkarska statystyka przemawiała za Lechią

W Gorzowie miejscowa Warta uległa Lechii Zielona Góra 1:3 (0:3). Bramki zdobyli: Jakub Iskra (58) - Marcel Kurek (2), Tymon Ziarkowski (8), Dawid Dębski (30).

Wynik był niemal identyczny, jak w dwóch ligowych potyczkach tych zespołów w bieżącym sezonie. Zielonogórzanie zwyciężyli bowiem 3:0 u siebie i 3:1 w Gorzowie. Za przyjezdnymi przemawiała także pucharowa statystyka. Lechia ma w dorobku 13 pucharowych triumfów na szczeblu OZPN w Zielonej Górze oraz 7 w województwie lubuskim. Warta może się pochwalić tylko dwoma trofeami z dawnego województwa zielonogórskiego, wywalczonymi w 1962 i 1963 roku. Strasznie dawno. We współczesnych czasach bordowo-granatowi pięć razy grali w finałach lubuskiego PP i... pięć razy przegrali decydujące pojedynki.

Drużyny wreszcie w pełnych składach

Rozgrywki o Puchar Polski nie zaliczają się do sowicie nagradzanej finansowo punktacji Pro Junior System, więc obydwa zespoły wystąpiły na stadionie przy ul. Olimpijskiej w optymalnych składach. Bardziej niespokojny o formę swoich podopiecznych mógł być trener gospodarzy Grzegorz Bajko, bo warciarze w pięciu ostatnich ligowych spotkaniach zanotowali zaledwie dwa remisy i aż trzy porażki. Boiskowa rzeczywistość pokazała, iż obawy te były w pełni uzasadnione.

FOT. ROBERT GORBAT

Pojedynek stopera Warty Patryka Walisia (z lewej) z Dawidem Dębskim. Za chwilę padnie pierwszy gol dla Lechii

Zielonogórzanie załatwili sprawę błyskawicznie. Już w 2 min Marcel Kurek precyzyjnie wykończył uderzeniem z pierwszej piłki dynamiczną akcję i podanie Dawida Dębskiego z prawej strony pola karnego. Sześć minut później - po dośrodkowaniu Dominika Więcka z rzutu rożnego - podobnym wyczynem popisał się Tymon Ziarkowski. By nie było żadnych wątpliwości, kto rządzi na murawie, w 30 min Dębski wystartował do prostopadłego podania z głębi pola i w sytuacji „sam na sam" z 19-letnim Szymonem Wadasem precyzyjnie posłał futbolówkę w dalszy róg bramki. 0:3 i... było praktycznie po zawodach.

Warciarzom trzeba oddać, że nie spuścili głów i po przerwie ambitnie dążyli do poprawienia wyniku. Trafili raz, za sprawą Jakuba Iskry, który w 58 min przyjął prostopadły pass ze środka pola, „wjechał" z piłkę w pole karne rywali i bez problemów pokonał Jakuba Bursztyna. Więcej klarownych okazji nie mieli, za to sami mogli stracić czwartego gola, gdyż w doliczonym czasie gry goście mieli rzut karny po faulu na Szymonie Osińskim. Wadas okazał się jednak lepszy od Wiktora Nehrebeckiego, broniąc jego półgórny strzał. Zawodnik Lechii pokazał, jak... nie należy wykonywać „jedenastek".

Czwartoligowiec pokazał charakter

O ile w Gorzowie mierzyli się dwaj trzecioligowcy, to w Bytomiu Odrzańskim stanęły naprzeciw siebie zespoły z różnych klas rozgrywkowych. Miejscowa, czwartoligowa Odra po dramatycznym spotkaniu pokonała trzecioligową Carinę Gubin 2:1 (0:1).

Goście już w 21 min stanęli przed szansą na objęcie prowadzenia, kiedy to po faulu na Mateuszu Nazarze sędzia wskazał na „wapno". Do rzutu karnego podszedł Mateusz Szela, ale jego intencje idealnie wyczuł Bartosz Szafer i obronił „jedenastkę". Gubinianie ostatecznie dopięli swego w 36 min po trafieniu Szeli. Druga połowa należała już do gospodarzy. Wyrównującego gola strzelił w 67 min Mateusz Magdziak, zaś niemal równo z upływem regulaminowego czasu gry, w 90 min, piłkę do bramki przyjezdnych posłał Mykyta Loboda. Odra broni lokalnego trofeum, zdobytego w poprzednim sezonie.

W wielkim finale, zaplanowanym na 27 maja na stadionie gorzowskiego OSiR zmierzą się zatem Lechia i Odra. Zdobywca lubuskiego Pucharu Polski będzie reprezentował nasz region na centralnym szczeblu współzawodnictwa.©℗

Poznaliśmy finalistów Ligi Mistrzów. PSG przed niepowtarzalną szansą

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **PSG awansowało do finału po wygraniu dwumeczu z Bayernem (7:6). W rewanżu padł remis 1:1. O losach rywalizacji przesądziły gole Ousmane'a Dembele i Harry'ego Kane'a.**

Piłkarze PSG po szalonym dwumeczu z Bayernem awansowali drugi rok z rzędu do finału Ligi Mistrzów. Drużyna prowadzona przez Luisa Enrique w rewanżu błyskawicznie objęła prowadzenie - już w 3. minucie spotkania Dembele dał radość przyjezdnym. Bayern zdołał odpowiedzieć dopiero w doliczonym czasie . Do siatki trafił Kane, dla którego był to już 55. gol w sezonie.

Kontrowersje w roli głównej

Więcej niż o samej grze po spotkaniu mówiło się jednak o kontrowersjach, które pojawiły się w pierwszej połowie. Sędzia João Pedro Pinheiro z Portugalii nie ukarał Nuno Mendesa za zagranie ręką, a później nie podyktował rzutu karnego dla Bayernu. Vitinha wybijał bowiem piłkę ze swojego pola karnego, ale przypadkowo trafił nią w rękę swojego kolegi João Nevesa. Decyzja? Brak jedenastki dla gospodarzy, którzy momentalnie ruszyli do niego z pretensjami.

Jak się okazało, arbiter podjął słuszną decyzję w myśl obowiązujących interpretacji.

- Bardzo często o tym mówiłem. To jest taki przepis, który powiem szczerze, nie podoba mi się, ale pragnę podkreślić - bo widzę, że piłkarze Bayernu na czele z trenerem tego nie znali - że nastrzelenie partnera z drużyny w rękę, kiedy ten nie miał czasu na reakcję, nie jest przewinieniem - tłumaczył na antenie Canal+ Sport ekspert sędziowski Adam Lyczmański.

Paryżanie jak... Real Madryt?

W finale w Budapeszcie PSG będzie broniło tytułu wywalczonego przed rokiem po efektownym zwycięstwie 5:0 nad Interem Mediolan. Paryżanie staną przed szansą zapisania się w historii - jako druga drużyna, po Realu Madryt, która wygra rok po roku elitarne rozgrywki spod szyldu UEFA.

Tym razem rywalem będzie Arsenal Londyn, który osiągnął drugi finał Champions League w historii. Poprzednio Kanonierzy walczyli o to trofeum dokładnie 20 lat temu, przegrywając z FC Barceloną.

Zdecydowany faworyt bukmacherów

Podopieczni Mikela Artety w półfinale wygrali rewanż z Atletico Madryt 1:0 (a cały dwumecz 2:1). Nie jest tajemnicą, że przed decydującym starciem w Budapeszcie faworytem bukmacherów będzie PSG. Francuski zespół miał znacznie trudniejszą drogę do finału - po drodze eliminował nie tylko Bayern, ale również Liverpool i Chelsea FC. Arsenal przed półfinałem mierzył się natomiast ze Sportingiem Lizbona oraz Bayerem Leverkusen.

Finał odbędzie się w sobotę, 30 maja, o godzinie 18.00.
©℗

eprasa.pl bd0d45656b

Zastalowcy kapitalni na finiszu. Dziki Warszawa rozbite w Zielonej Górze!

Maciej Noskowicz
mnoskowicz@gazetalubuska.pl

KOSZYKÓWKA. **Piorunująca pierwsza kwarta ustawiła losy spotkania w hali CRS. Orlen Zastal Zielona Góra pewnie pokonał Dziki Warszawa na zakończenie zasadniczej fazy Orlen Basket Ligi. Zielonogórzanie rzutem na taśmę wywalczyli ósme miejsce w tabeli. Teraz zagrają w fazie play inn.**

Orlen Zastal Zielona Góra	105
Dziki Warszawa	86

Kwarty: 29:14, 26:25, 26:29, 24:18.
Orlen Zastal: Maughmer 23 (5x3, 9/11 z gry), Szumert 12 (1x3), Mazurczak 11 (1x3, 8 asyst), Garrison 9 (1x3, 13 asyst, 9 zbiórek), Sulima 2 oraz Fayne 20 (8/8 z gry, 8 zbiórek), Lewis 10, Cartier 7 (1x3), Majewski 6 (2x3), Woroniecki 3 (1x3), Wilson 2.
Dziki: Horton 18 (1x3), Edge 14 (2x3), Soares 12 (3x3), Frąckiewicz 7, Vander Plas 0 oraz Kamiński 20 (7/10 z gry, 4x3), Chavez 13 (3x3, 7 asyst), Oguama 2, Kempa 0, Gałązka 0.

FOT. JACEK KATOS

Conley Garrison (z piłką) świetnie zagrał w meczu z Dzikami

Inauguracyjna odsłona była popisem biało-zielonych. Choć Dziki zaczęły obiecująco, prowadząc po minucie 5:0, gospodarze błyskawicznie przejęli kontrolę nad wydarzeniami na parkiecie. Intensywność w defensywie i nieprawdopodobna skuteczność w ataku pozwoliły Zastalowi zdobyć 14 punktów z rzędu bez żadnej straty.

W 5 min, po trafieniu Andy'ego Mazurczaka, było już 14:5. Stołeczni gracze sprawiali wrażenie zagubionych, nie potrafiąc znaleźć drogi do kosza, podczas gdy Zielonogórzanie „dziurawili" ich obręcz raz za razem. Gdy na minutę przed końcem pierwszej kwarty celnym rzutem popisał się Chauvaghn Lewis, przewaga miejscowych urosła do 15 „oczek" (27:12).

W drugiej kwarcie Warszawianie odzyskali nieco rezon w ataku, ale rozpędzony Zastal nie zamierzał zwalniać tempa. W 16 min halę do czerwoności rozgrzał Phil Fayne - po jego efektownym wsadzie gospodarze po raz pierwszy przekroczyli barierę 20 punktów przewagi (46:25). Mimo prób odrabiania strat przez gości, schodząc na przerwę Zastal prowadził bezpiecznie 55:39, notując imponującą, 58-procentową skuteczność rzutów z gry.

Po zmianie stron boiska Dziki za wszelką cenę próbowały odwrócić losy meczu. Przyjezdnym brakowało jednak świeżości i pomysłu na sforsowanie defensywy gospodarzy. Mały przestój Zastalu nastąpił pod koniec trzeciej części meczu, gdy po punktach Landriusa Hortona dystans zmalał do 10 punktów (78:68).

Nadzieje Dzików na powrót do wyrównanej rywalizacji szybko zgasił Jayvon Maughmer. Amerykanin rozegrał fantastyczne zawody, zdobywając 23 punkty, przy bezbłędnej skuteczności z dystansu (5/5 za trzy!). - Trening jest konieczny, to zasługa ciężkiej pracy. Nie ukrywam, że czułem zmęczenie po ostatnim spotkaniu, ale dziś wszystko wpadało - mówił po meczu MVP spotkania.

Obok niego świetne zagrali Phil Fayne oraz Conley Garrison, który rozdał aż 13 asyst. Niestety, końcówka meczu przyniosła niepokojące zdarzenie. W jednej z akcji obronnych zderzyli się ze sobą gracze Zastalu - Chauvaghn Lewis i Miłosz Majewski. Amerykanin padł na parkiet i długo się z niego nie podnosił. Ostatecznie zawodnik został przetransportowany do szpitala z podejrzeniem wstrząśnienia mózgu.

Co dalej? Kierunek Włocławek! Zwycięstwo 105:86 przypieczętowało ósmą lokatę Zastalu przed fazą play inn.

- Zagraliśmy drużynowo, szczególnie w pierwszej połowie. Cieszy mnie, że utrzymaliśmy tę przewagę. Pogadaliśmy ze sobą męsko po ostatnim meczu i to podziałało - podsumował Jakub Szumert.

Teraz przed Zielonogórzanami walka o rozstawienie w play offach. Już dziś o godz. 18.00 Zastal zagra we Włocławku z Anwilem (transmisja TV w Polsacie Sport 3). Wygrana zapewni zastalowcom grę w play off z siódmego miejsca. W przypadku porażki, o ostatnią przepustkę zielonogórski zespół powalczy w niedzielę (o godz. 20.15 we własnej hali) ze zwycięzcą meczu drużyn z miejsc 9-10, czyli z MKS Dąbrowa Górnicza lub Stalą Ostrów Wlkp.

Pozostałe wyniki 30. kolejki: Energa Czarni Słupsk - Tauron GTK Gliwice 80:89, Arriva Lotto Twarde Pierniki Toruń - AMW Arka Gdynia 95:86, Tasomix Rosiek Stal Ostrów Wlkp. - Górnik Zamek Książ Wałbrzych 86:74, Anwil Włocławek - Energa Trefl Sopot 94:79, Legia Warszawa - King Szczecin 88:84, Miasto Szkła Krosno - WKS Śląsk Wrocław 66:88, MKS Dąbrowa Górnicza - PGE Start Lublin 105:100.©℗

1. Legia	30	52	2603:2401
2. King	30	51	2538:2479
3. Śląsk	30	50	2687:2537
4. Trefl	30	49	2640:2534
5. Dziki	30	48	2726:2549
6. Arka	30	48	2570:2465
7. Anwil	30	47	2653:2537
8. Zastal	30	46	2538:2438
9. MKS	30	46	2651:2600
10. Stal	30	46	2485:2524
11. Górnik	30	45	2464:2532
12. Twarde Pierniki	30	42	2647:2716
13. PGE Start	30	40	2489:2717
14. Czarni	30	39	2491:2621
15. GTK	30	37	2419:2676
16. Miasto Szkła	30	34	2449:2724

PIŁKARSKI WEEKEND

III liga
Mecze lubuskich drużyn: sobota – godz. 17.00: Warta Gorzów – Polonia Nysa, Carina Gubin – MKS Kluczbork, godz. 20.00: Lechia Zielona Góra – Pniówek Pawłowice. Górnik Polkowice – Stal Jasień 3:0 (walkower, zespół z Jasienia został wycofany z rozgrywek).

IV liga
Sobota – godz. 12.00: Zorza Port 2000 Mostki - Grupa Chmiel Polonia Słubice, godz. 16.00: Odra Nietków - ZAP Syrena Zbąszynek, godz. 17.00: Pogoń Świebodzin - Victoria Szczaniec, Czarni Żagań - Lechia II Zielona Góra, Ilanka Rzepin - Pogoń Skwierzyna, Dozamet Nowa Sól - Róża Różanki, Stal Sulęcin - Odra Bytom Odrzański; niedziela – godz. 12.00: Stilon Gorzów - Łucznik Strzelce Krajeńskie, godz. 16.00: Piast Iłowa - Sprotavia Szprotawa.

Klasa okręgowa - grupa zielonogórska
Piątek – godz. 18.00: Korona Kożuchów - TS Przylep Zielona Góra; sobota – godz. 16.00: Cargovia Kargowa - Budowlani Lubsko, Zorza Ochla - Pogoń Wężyska, Dąb Sława Przybyszów - Błękitni Ołobok, godz. 17.00: ŁKS Łęknica - Bóbr IMPE Bobrowice; niedziela – godz. 14.00: Pogoń Wschowa - Promień Żary, godz. 16.00: Unia Kunice Żary – Relax Grabice. Tęcza Homanit Krosno Odrz. - Dozamet II Nowa Sól 3:0 (walkower, zespół z Nowej Soli został wycofany z rozgrywek).

Klasa okręgowa - grupa gorzowska
Sobota – godz. 14.00: GKP Bogdaniec - Sokół Gościm, Piast Karnin - TS Celuloza Kostrzyn nad Odrą, godz. 15.00: Orzeł Międzyrzecz - MKS Spójnia Ośno Lubuskie, Spartak Deszczno - Warta II Gorzów, godz. 16.00: Warta Słońsk Browar Pavco - Pionier Zwierzyn, Lubuszanin Drezdenko - Toroma Torzym, godz. 17.00: Czarni Browar Witnica - Uran Trzebicz; niedziela – godz. 17.00: Stilon II Gorzów - Radowiak Drezdenko.

Centralna Liga Juniorów U-15. Sobota – godz. 12.00: Lechia Zielona Góra - Śląsk Wrocław.
(cekon)

FOT.FACEBOOK/LECHIA ZIELONA GÓRA/KRZYCHA FOTKI

MOIM ZDANIEM

ZADANIE ZOSTAŁO WYKONANE

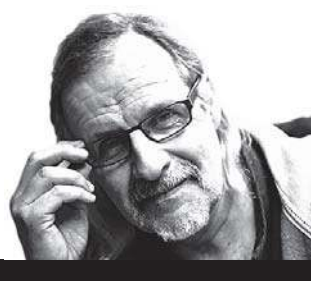

Andrzej Flügel

Koszykarze ekstraklasy zakończyli zasadniczą rundę. Orlen Zastal zajął ósme miejsce co oznacza, że ma jeszcze szansę, by w obowiązujących od ubiegłego sezonu play inn, czyli dogrywce, awansować na siódmą lub utrzymać ósmą lokatę. A ta da mu przepustkę do walki o wyższą pozycję. Na oceny jeszcze przyjdzie czas, ale już dziś można powiedzieć, że udział w play inn był planem minimum i zadanie zostało wykonane. Jeśli coś się jeszcze uda ugrać w dodatkowej, ekspresowej dogrywce (mecze w piątek i w niedzielę), będzie to wartością dodaną. Warto jednak już dziś zaznaczyć, że to pierwszy od bodaj trzech lat sezon, kiedy zielonogórzanie nie musieli się bać o utrzymanie, nie spoglądali ze strachem na dół tabeli, a każda niespodziewana porażka nie była katastrofą. Ważne jest, że klub odzyskuje dobre imię w koszykarskim światku i sportowo potrafi się postawić najlepszym.

A kibice? Postawa zielonogórskich fanów basketu była w tym sezonie rewelacją! Pokażcie mi drugi zespół, który zajmuje miejsce w środku tabeli, a na jego mecz przychodzi ponad cztery tysiące widzów! Licząc na to, że w play inn pokażemy charakter czekam na spokojne, wyważone opinie o tym sezonie i pomysł, by w przyszłym zielonogórzanie byli jeszcze lepsi.

W trzeciej lidze piłkarskiej do końca rozgrywek, które finiszują w sobotę, 30 maja, zastało jeszcze pięć kolejek. To może być jeden z najważniejszych w ostatnich latach miesięcy w historii Lechii. Zielonogórzanie mają tyle samo punktów, co Górnik Polkowice, wygrany pierwszy mecz u siebie 5:0 i zdecydowanie lepszą różnicę bramek. Wielu starszych kibiców przypomina sezon 1994-1995, kiedy przez kilka ostatnich kolejek Lechia i Moto Jelcz Oława w walce o drugą ligę (wtedy zaplecze ekstraklasy!) długo miały tyle samo punktów. Nasza ekipa prowadziła, bo w bezpośrednich meczach była lepsza o jednego gola (3:1 i 1:2). Rzeczywiście, mogą się nasuwać podobieństwa. Tyle, że wtedy w ostatniej kolejce Lechia walczyła już ze zdegradowaną Stalą w Chocianowie i było pewne, że spokojnie wygra, co też uczyniła. Teraz ostatni mecz jest właśnie w Polkowicach. Jeśli 30 maja obydwie ekipy będą miały tyle samo punktów, to mecz Górnik - Lechia będzie grą o wszystko.

Ucieszyłem się z wygranej Cariny na trudnym terenie w Goczałkowicach Zdroju, bo na dole tabeli jest coraz goręcej. W czwartej lidze gorzowski Stilon pokonał lidera - Odrę Bytom Odrzański i traci do niej już tylko cztery punkty. Do końca jeszcze siedem kolejek. Druga ekipa już musi patrzeć na czwartą ligę dolnośląską, bo nasz wicemistrz w półfinałach baraży zagra z ich wicemistrzem, więc pojedzie do Lechii Dzierżoniów lub do Piasta Żmigród. Swoją drogą szkoda, że w tych barażach nie ma rewanżu, a gospodarz jest wyłaniany w losowaniu. Przed rokiem nasz zespół też grał na wyjeździe...

Tak czy inaczej - maj jest fascynujący!©℗

eprasa.pl bd0d45656b

SPORT

www.sportowy24.pl

ŻUŻEL

Żużlowcy Stali Gorzów wygrali na zielonogórskim torze turniej 3. rundy eliminacyjnej Drużynowych Mistrzostw Polski Juniorów. Gorzowianie już zapewnili sobie awans do ćwierćfinału rozgrywek. Stalowcy zdobyli 42 pkt., wyprzedzili Polonię Piła - 34, PSŻ Poznań - 24 i miejscowy Falubaz - 20. Po trzech rundach Zielonogórzanie zamykają tabelę i są o krok od odpadnięcia z dalszej rywalizacji.

FOT. DAMIAN GRABSKI

PIŁKA RĘCZNA

W ostatniej, 26. serii spotkań w Lidze Centralnej mężczyzn Rajbud Development Stal Gorzów zmierzy się jutro o godz. 15.00 z Eneą Grunwaldem w Poznaniu. Pierwszy mecz tych drużyn gorzowianie wygrali po serii karnych.

Czy na toruńskim torze Falubaz pokaże moc?

Cezary Konarski
ckonarski@gazetalubuska.pl

ŻUŻEL. **Aktualny mistrz Polski - Pres Grupa Deweloperska Toruń - będzie dziś rywalem żużlowców Stelmetu Falubazu Zielona Góra w meczu 5. kolejki PGE Ekstraligi. Spotkanie na toruńskiej Motoarenie rozpocznie się o godz. 18.00.**

FOT. JAROSŁAW PABIJAN

Leon Madsen przed Patrykiem Dudkiem. Czy dziś kibice obejrzą podobny obrazek?

Zielonogórscy żużlowcy w minionej serii spotkań sięgnęli wreszcie po upragnione zwycięstwo w tym sezonie. Wyraźnie pokonali na własnym torze najsłabszy w lidze zespół z Częstochowy. Choć była to dla Falubazu wygrana obowiązkowa, to - po trzech porażkach z rzędu - na pewno mocno podniosła morale zespołu.

- Bardzo cieszę się ze zwycięstwa, ale teraz zobaczymy, jak nasza drużyna będzie wyglądała w meczu wyjazdowym - mówił Grzegorz Walasek, menedżer zielonogórskiej drużyny. - Mam nadziej, że w Toruniu damy z siebie na tyle dużo, by osiągnąć dobry rezultat.

Kapitan Falubazu, Przemysław Pawlicki, też z optymizmem wypatruje kolejnego meczu. - Wyciągnęliśmy kolejne wnioski, z meczu na mecz będziemy pokazywać swoją moc. Cieszymy się po wygranej z Włókniarzem, ale już myślimy o kolejnych meczach - powiedział „Przemo", który w starciu z Częstochowianami był nieomylny, zdobył „czyściutki" komplet punktów.

Czy moc Falubazu, o której wspomniał Przemysław Pawlicki osiągnie na tyle wystarczający poziom, by na torze mistrza Polski Zielonogórzanie mogliby pokusić się o sprawienie niespodzianki? Za taką należałoby uznać choćby podział punktów meczowych. W tym sezonie już dwie drużyny „ocierały" się w Toruniu o remis. Unia Leszno przegrała 44:46, a GKM Grudziądz 42:48.

Gdyby „Myszom" udało się zdziałać coś więcej niż wymienionym wyżej ekipom, byłaby to wielka sprawa. Bo zielonogórscy żużlowcy już dawno w Toruniu nie świętowali zwycięstwa, ostatni raz w 2017 roku. Wygrali 46:44 po kapitalnie rozegranym ostatnim wyścigu. Bohaterami tej gonitwy byli Patryk Dudek i Piotr Protasiewicz. Pierwszy z nich w dzisiejszym meczu również wystartuje tyle, że po stronie miejscowych „Aniołów", których bar broni już piąty sezon.

Patryk Dudek jest jednym z filarów toruńskiego zespołu, który „na papierze" ma znakomity skład. Obok „Duzersa" trzon ekipy tworzą Emil Sajfutdinow, Robert Lambert i Mikkel Michelsen. Seniorów nieźle wspomaga młodzież, a to oznacza, że gospodarze będą zdecydowanymi faworytami konfrontacji z Falubazem.

Prosto z Torunia na mistrzostwa Europy

Po meczu w Toruniu wielu chwil na odpoczynek nie będzie miał kapitan Falubazu. Przemysław Pawlicki z pewnością prosto z Grodu Kopernika obierze kierunek na Rzeszów. Zielonogórski zawodnik powołany został bowiem przez selekcjonera reprezentacji Polski, Stanisława Chomskiego, do drużyny, która stanie do rywalizacji w finale Drużynowych Mistrzostw Europy. Biało-czerwonych barw bronić będą też: Bartosz Zmarzlik, Piotr Pawlicki, Bartłomiej Kowalski i Bartosz Bańbor (w składzie może być tylko jeden zawodnik startujący w cyklu Grand Prix i musi znaleźć się junior, pełniący rolę rezerwowego).

Polacy wygrali wszystkie cztery poprzednie edycje DME, w dwóch ostatnich ścigał się Przemysław Pawlicki. Sobotni turniej, w którym oprócz Polaków rywalizować będą Duńczycy, Łotysze i Szwedzi, rozpocznie się o godz. 16.15, transmisja w TVP Sport.©℗

TORUŃ - ZIELONA GÓRA

Piątek - godz. 18.00

Motoarena im. Mariana Rosego przy ul. Pera Jonssona w Toruniu.

Transmisja TV: Canal+ Sport i Canal+ Sport 5
Relacja live: www.gazetalubuska.pl

Składy drużyn

Pres Grupa Deweloperska Toruń:
9. Patryk Dudek
10. Robert Lambert
11. Norick Blödorn
12. Mikkel Michelsen
13. Emil Sajfutdinov
14. Mikołaj Duchiński
15. Antoni Kawczyński

Stelmet Falubaz Zielona Góra:
1. Dominik Kubera
2. Michał Curzytek
3. Przemysław Pawlicki
4. Andrzej Lebiediew
5. Leon Madsen
6. Mitchell McDiarmid
7. Oskar Hurysz

W meczu outsiderów stalowcy pojadą pod Jasną Górą. Będzie pierwsze zwycięstwo?

Robert Gorbat
rgorbat@gazetalubuska.pl

ŻUŻEL. **W piątej rundzie PGE Ekstraligi Gezet Stal Gorzów zmierzy się w niedzielę z Krono-Plast Włókniarzem w Częstochowie. Początek meczu o godz. 17.00.**

Tabela najwyższej klasy rozgrywkowej jest dla obydwu zespołów okrutna. Gorzowianie zajmują przedostatnie miejsce z jednym „oczkiem" na koncie, zaś częstochowianie dzierżą „czerwoną latarnię" z zerowym dorobkiem.

Liczby nie mówią jednak całej prawdy. Stalowcy zebrali wiele pochwał za remis w Grudziądzu, wyrównany mecz z wrocławianami na „Jancarzu" i dzielną postawę w Lesznie, podczas gdy „Lwy" od początku sezonu zbierają cięgi. Ekipa spod Jasnej Góry w żadnym z dwóch domowych i dwóch wyjazdowych pojedynków nie zdołała przekroczyć bariery 40 zdobytych punktów. Trener Mariusz Staszewski dysponuje teoretycznie najsłabszym składem w PGE Ekstralidze, a fachowcy wydali wyrok na tę drużynę jeszcze przed rozpoczęciem zmagań.

Po czwartej z rzędu porażce rozczarowania nie krył przed kamerami stacji Canal+ Sport Jaimon Lidsey. - Ostatnio zmagam się z różnymi rzeczami. Otrzymałem pewne uwagi, ale to zaczyna być frustrujące - mówił. - Na papierze nie jesteśmy w tym roku najsilniejsi i wszyscy o tym wiedzą. Ale myślę, że jeśli każdy z nas pojedzie dobre zawody tego samego dnia, to nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy wygrać. Szczególnie na własnym torze.

FOT. MARCIN IMIŃSKI/STAL GORRZÓW

Adam Bednar zaliczył przed tygodniem upadek w Landshut. Na szczęście młody Czech nie doznał w nim obrażeń

„Lwy" nie ukrywają, że bardzo liczą na pierwsze zwycięstwo w niedzielnym pojedynku z gorzowianami. Tym bardziej, że Stal przyjedzie pod Jasną Górę bez swego lidera i kapitana Andersa Thomsena, wciąż leczącego złamania po wypadku w Pardubicach. Za Duńczyka będzie oczywiście stosowane zastępstwo zawodnika, ale to jednak nie to samo, co zdrowy Anders na torze.©℗

CZĘSTOCHOWA - GORZÓW

Niedziela - godz. 17.00

Transmisja TV: Canal+ Sport.

Krono-Plast Włókniarz:
9. Jaimon Lidsey
10. Sebastian Szostak
11. Jakub Miśkowiak
12. Mads Hansen
13. Rohan Tungate
14. Szymon Ludwiczak
15. Bartosz Śmigielski

Gezet Stal:
1. Paweł Przedpełski
2. Marcel Szymko
3. Jack Holder
4. Oskar Chatłas
5. Anders Thomsen
6. Oskar Paluch
7. Adam Bednar

GAZETA LUBUSKA
www.gazetalubuska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktor naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinkowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Aleksandra Sobolewska**

Redakcja al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra
skr. pocztowa 120, tel. 68 32 48 600, 68 32 48 805
fax 68 32 48 872, redakcja@gazetalubuska.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gazetalubuska.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl bd0d45656b